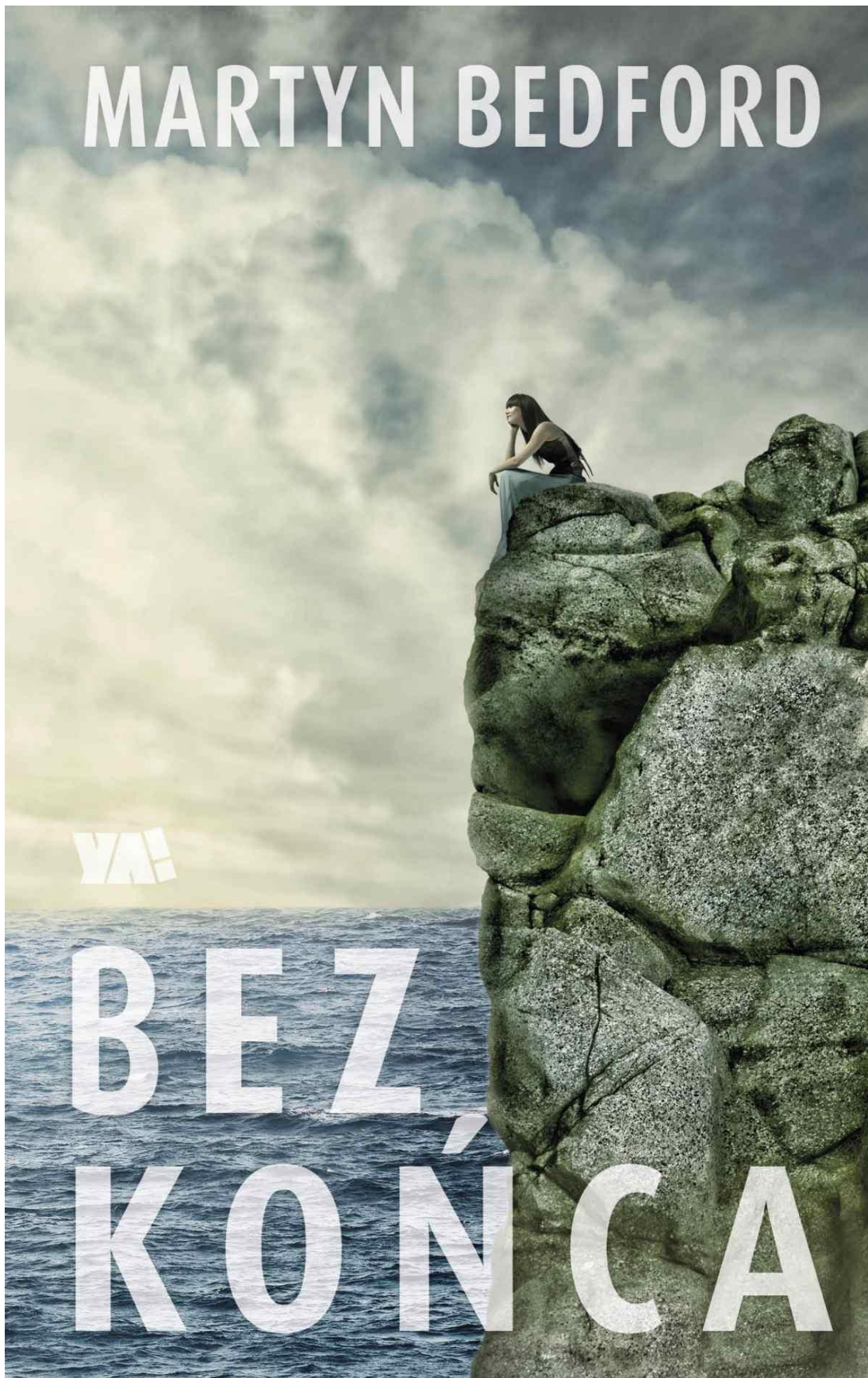


MARTYN BEDFORD

Y&I

BEZ  
KOŃCA



Martyn Bedford

**BEZ KOŃCA**

przełożył Kamil Maksymiuk



Tytuł oryginału: *Never Ending*

Copyright © 2014 by Martyn Bedford

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal,  
MMXV

Copyright © for the Polish translation by Kamil Maksymiuk,  
MMXV

Wydanie I

Warszawa MMXV

Dedykacja

Przed Kyritos

Po Kyritos

1

Kyritos

2

3

Kyritos

4

Kyritos

5

Kyritos

6

Kyritos

7

Kyritos

8

Kyritos

9

Kyritos

10

Kyritos

11

Kyritos

12

13

Kyritos

14

15

Kyritos

16

17

Powrót na Kyritos

Podziękowania

## Przypisy

*Dla Pat Croxall oraz moich krewnych: Aimee Croxall, Beth, Jeda  
i Tashy Deveyów, Meghan i Rosie Hodgsonów, Catie McMahon*

## Przed Kyritos

Obudziła się przed świtem, gdy było jeszcze ciemno i chłodno. Leżąc w łóżku, wyobrażała sobie, jak pierwszy raz spojrzy na roziskrzony basen czekający na nią u kresu ich podróży.

Czując na całym ciele słońce oblewające jej skórę niczym rozgrzany miód, stanie nad krawędzią basenu wypełnionego płynnym światłem. Błękitnym, białym, srebrnym i złotym.

A potem zanurkuje.

Wspomnienie wielogodzinnej, wyczerpującej podróży w jednej sekundzie uleci z jej pamięci niczym bąbelki powietrza wirujące pod wodą, uciekające ku powierzchni. Będzie się zanurzała, coraz głębiej i głębiej, a następnie zacznie się wznosić i z uśmiechem na ustach wypłynie, a raczej wystrzeli prosto w nowy, ekscytujący poranek.

To będą najlepsze wakacje w jej życiu.



Początek czegoś nowego.

Od wielu godzin jadą do odległego zakątku kraju, w którym Siobhan nigdy nie była. Nawet nie wiedziała, że takie miejsce istnieje. Słucha muzyki, spogląda na krajobraz przesuwany się za szybą albo patrzy na niekończącą się szosę, skubiąc brzeg fotela tak uporczywie, aż szew się rozrywa, po czym wsadza do środka palce i kawałek po kawałeczku wydłubuje piankę.

Po paru chwilach uświadamia sobie, co robi. I przestaje.

Obok niej siedzi tato z nieruchomym wzrokiem utkwionym w jezdni i dłońmi zakleszczonymi na kierownicy, jakby się obawiał, że w każdej chwili ktoś może mu ją wyrwać.

Od czasu do czasu coś jej pokazuje: samotną sarnę na skraju lasu, parolotnię szybującą po niebie albo znak drogowy z nazwą miasta, w którym mieszkał, zanim poznał mamę.

Za każdym razem pada parę słów, a potem znowu zalega długa cisza.

Na widok strzępków pianki piętrzących się w zagłębieniu przy fotelu robi jej się niedobrze; nie czuje mdłości, tylko odrazę do samej siebie. Jak ktoś na diecie, kto przyrzekał, że nie tknie słodyczy, a nagle widzi puste opakowania po wszystkich tabliczkach czekolady, które potajemnie zjadł. Ma pozdzieraną skórę na opuszkach palców i złamany paznokieć.

– Tato... – odzywa się, zaczynając kolejną krótką rozmowę.

„Uśmiechaj się, gdy chcesz coś powiedzieć, a będziesz mówiła miłsze rzeczy”.

Tak mówiła babcia O’Driscoll. Ta, po której dostała imię Siobhan. Sama skraca je do Shiv, choć babcia nigdy nie używała tego zdrobnienia i zawsze zwracała się do niej Siobhan, czyli „Shiv-on”. Na przykład: „Shiv-on, czy raczysz się uśmiechnąć, zanim kąciki twoich ust opadną do ziemi?”. Teraz Shiv z całych sił próbuje się zmusić do uśmiechu. Chce być przyjemnym kompanem podróży. Normalną osobą. Tato nie zasługuje na to, żeby w jego towarzystwie barykadowała się w swojej głowie. Kocha ją. To dlatego to robią. To dlatego tam jadą.

Chce mu powiedzieć, że ona też go kocha, lecz słowa zamierają jej w gardle.

– Jak się z tym czujesz? – pyta tato. „To” oznacza cel ich podróży. Shiv wzrusza ramionami.

Ojciec nie odrywa wzroku od jezdni.

– Nie chcesz się wycofać?

Wycofać. Nie „zmienić zdanie”, co oznaczałoby to samo, a jednak coś trochę innego.

– Nie – burczy pod nosem Shiv. – Nie chcę się *wycofać*.

Znowu wyszła z niej jęzda. Wytrwała w byciu miłą jakieś dziesięć minut.

Tato nie ciągnie dalej tego tematu. Zbyt wiele razy już to wszystko omawiali. „Wycofanie się” oznaczałoby powrót do domu. Musiałyby dalej mieszkać – w takim stanie, w jakim się znajduje – razem z mamą. Z mamą i tatą, w takim stanie, w jakim *oni* się znajdują. Najczęściej jednak bez taty. Oraz, oczywiście, bez Declana. Dla Shiv oznaczałoby to przede wszystkim przebywanie we własnym towarzystwie, czyli sam na sam z osobą, którą się stała. Długie tygodnie letnich wakacji jawiły się jej jako labirynt bez końca, bez wyjścia.

Choć odpowiedziała stanowczo, że nie chce się wycofać, tak naprawdę wcale nie jest taka pewna swojej odpowiedzi.

Problemem nie jest to, co było, tylko to, co będzie. Po wielu tygodniach niecierpliwego oczekiwania – żałowała, że nie potrafi przewijać czasu do przodu – wreszcie nadszedł ten dzień. Zdaje sobie sprawę, że jeśli nie będzie miała się na baczności, jej determinacja osłabnie.

Co będzie, jeśli to nie pomoże?

Musi pomóc. Nic innego nie zadziałało. To jej ostatnia deska ratunku.

– Nie chcę dłużej taka być – rzuca do ojca.

On odkleja rękę od kierownicy i chwyta jej dłoń. Odzywa się, ale jego głos jest ochrypły, więc próbuje jeszcze raz:

– Dwa miesiące to wcale nie tak długo, Shivvers.

„Shivvers”. Nie zwracał się tak do niej od czasów podstawówki.

Gdy po paru chwilach tato chce zabrać rękę, Shiv go

powstrzymuje, mocno ściskając jego palce, przez co musi prowadzić auto jedną dłonią trochę dłużej.

Przed zjazdem z autostrady zatrzymują się na obiad. Shiv nie jest głodna, ale tato każe jej zamówić kanapkę. Zanoszą swoje jedzenie do stolika przy oknie.

Przygląda się swoim palcom. Cholernie ją szczypią.

Tato najwyraźniej nie dostrzegł, że zniszczyła fotel w samochodzie. Co by powiedział, gdyby zauważył? Nic. Przed Kyritos wściekłby się z powodu czegoś takiego. Ale teraz już nie. Wszystko się zmieniło.

– Dobrze się czujesz, Shiv?

– Mm-hmm.

Tylko przemyka wzrokiem po jej palcach, a potem spogląda przez okno.

– Jeszcze godzina drogi. Mniej więcej.

Podróżowanie z nim, tylko we dwójkę, przypomina jej wycieczkę do Londynu sprzed roku, miała wtedy „fazę na sztukę”. Tato postanowił zabrać ją w weekend na wystawę. Pojechali pociągiem i nocowali w eleganckim hotelu. To było wspaniałe uczucie – przez dwa dni mieć tatę tylko dla siebie. W sklepie z pamiątkami w Tate Modern kupił jej papier i przybory do rysowania oraz elegancką czarną teczkę, którą przez wiele kolejnych tygodni wszędzie ze sobą nosiła, aż zapełniła ją swoimi szkicami.

Dwa z jej dzieł tato zawiesił na ścianie w swoim gabinecie. Chyba wciąż tam wiszą.

Shiv przygląda mu się, jak siedzi naprzeciwko niej, wsypuje cukier do herbaty i miesza ją łyżeczką. Jego koszula jest wygnieciona od podróży. Wygląda na zmęczonego. Parę poprzednich dni spędził na Kyritos, chociaż patrząc na jego bladą twarz, nikt by tego nie odgadł. Znowu tam poleciał, żeby załatwić coś w związku ze sprawą sądową. Wrócił do domu dopiero wczoraj w nocy. Shiv podejrzewa, że dalej siedziałby w Grecji, gdyby nie ona. I gdyby mama nie była w tak fatalnym stanie.

Tato, czując na sobie jej wzrok, unosi głowę i uśmiecha się do niej. Shiv odwzajemnia uśmiech, ale ma wrażenie, że jest on czymś

sztucznym, jak doczepiane wąsy albo jakby zapomniała, jak to się robi, i musiała nauczyć się tego na nowo. Uśmiech taty sprawia podobne wrażenie.

W kawiarni jest zbyt ciepło. Shiv zdejmuje bluzę z kapturem i zawiesza ją na oparciu krzesła. Zauważa, że tato wpatruje się w jej koszulkę.

– Co? – Jej ton jest ostry.

– Nic.

– Często noszę jego ubrania. Wiedziałbyś o tym, gdybyś nie spędzał tyle czasu w pracy. Albo w Grecji.

Znowu siedzą w milczeniu. Przy jednym z pobliskich stolików pojawia się kelnerka, żeby posprzątać po klientach. Na chwilę zatrzymuje spojrzenie na Shiv. Może widziała jej twarz w wiadomościach telewizyjnych albo gazetach? Nie, w minie kelnerki nie dostrzega niczego, co by na to wskazywało.

– Przepraszam, tato.

Zbývá jej przeprosiny machnięciem ręki. Prawie już skończył swoją kanapkę. Shiv tylko popija gorącą czekoladę.

– Jedz – rzuca tato z pełnymi ustami, wskazując na jej talerz.

Shiv dalej ignoruje swoją kanapkę. Z głośników leci piosenka, ta, którą śpiewała razem z Laurą i Katy w szkole na gwiazdkowym karaoke, przeraźliwie fałszując i zaśmiewając się do łez. To było zaledwie siedem miesięcy temu. Teraz wręcz nie jest w stanie uwierzyć, że mogła być kiedyś tak wesoła, tak szczęśliwa.

– Nie jest z nią lepiej, prawda? – odzywa się tato.

Chodzi mu o mamę. Widocznie jej złośliwa uwaga, że nie spędza wystarczająco dużo czasu w domu, skłoniła go do rozmyślań na ten temat.

– Rozmawia z nim – odpowiada Shiv. – Przez większość dnia tylko leży w jego łóżku.

– A ty nosisz jego T-shirt.

Jak łatwo byłoby wylać mu herbatę na spodnie. Zamiast tego wyobraża sobie, że pakuje swój gniew do pudełka, które potem wkłada do drugiego pudełka – tak jak ją nauczono. Tato patrzy na stół, na swoje jedzenie, na okno – wszędzie, byle nie na nią.

– Nie jesteśmy w tym najlepsi, prawda? – odzywa się Shiv łagodniejszym tonem.

– Tak. – Tato kiwa głową. Śmieje się, ale słabo mu to wychodzi.

– Muszę do łazienki.

W toalecie Shiv wyobraża sobie, że coś demoluje. Rozwaliłaby suszarkę do rąk albo dozownik z mydłem, zanim któraś ze znajdujących się tutaj kobiet zdążyłaby zainterweniować. Zamyka się w kabinie. Od wielu dni nie czuła tak silnej żądy niszczenia. To tak, jakby ta „zła” część jej mózgu wiedziała, dokąd jada, i chciała jej przypomnieć, że nie podda się bez walki, gdziekolwiek Shiv ucieknie i cokolwiek zrobi.

Wychodzi z kabiny, staje przy umywalce i spogląda w lustro.

*Powiedz mi, jak mam to powstrzymać.*

Po chwili mówi szeptem:

– Powiedz. Pomóż mi, proszę.

Usta w lustrze otwierają się i zamykają, jakby to jej odbicie prosiło ją o pomoc, a nie na odwrót. Shiv nawet nie jest w stanie stwierdzić, która z nich jest prawdziwa – dziewczyna w lustrze czy ta przed lustrem.

Gdy wraca do stolika, tato siedzi nad mapą i sprawdza trasę.

– Gotowa? – pyta, próbując dodać jej otuchy uśmiechem.

Shiv wie, że strasznie wygląda. Widzi, jak ojciec stara się ukryć niepokój.

„Podtrzymuj ją na duchu” – oto jego strategia. „Cały czas bądź pozytywnie nastawiony”. Ona może się tylko domyślać, ile to wymaga od niego wysiłku, biorąc pod uwagę wszystko, przez co przeszedł.

Wkrótce się pożegnają i rozstaną. Tato odda ją w ręce obcych ludzi. Nie zobaczą się przez dwa miesiące.

Przywykła już do ról, które odgrywają: ona – poturbowana psychicznie córka, on – troskliwy ojciec, starający się robić to, co dla niej najlepsze. Podczas kontaktów z policją, prasą, urzędnikami konsularnymi, pracownikami socjalnymi, adwokatami, nauczycielami, jej wychowawcą i dyrektorem szkoły, sędziami, lekarzami, psychologami i terapeutami.

– Siobhan, sam już nie wiem, kim jesteś – powiedział jakiś miesiąc temu, gdy pewnego dnia w ogrodzie za domem ułożyła w stos wszystkie

swoje podręczniki szkolne, polała je naftą wygrzebaną z szopy i podłożyła pod nie ogień.

– Ja też nie.

Ostatni odcinek trasy prowadzi przez malowniczo pofałdowane pola uprawne. Idylliczne, jak mówi tato. Bardzo jej się podoba to słowo. GPS przestaje działać, więc Shiv musi patrzeć na mapę i podpowiadać drogę. Podziwia widoki za oknem: łaciate krowy skubiące trawę przy wijącej się rzece, słońce pokrywane złotą warstewką porośnięte drzewami wzgórza stłoczone ponad doliną, pierzaste chmurki płynące po błękitnym niebie. Wszystko wygląda jak wiejski krajobraz namalowany przez dziecko.

Przed skrzyżowaniem w kształcie litery „T” tato pyta:

– W prawo czy w lewo?

– Ciągle prosto – odpowiada odruchowo.

To jeden z żartów jej brata. Oboje się śmieją – z początku szczerze i swobodnie, a potem z wyczuwalnym zakłopotaniem. Ich śmiech jest podszyty echem straty; widmo poczucia humoru Declana pojawia się i znika, jak błakający się w eterze sygnał radiowy.

– Skręć w lewo – mówi Shiv.

Tato zmienia bieg i bierze zakręt.

Wyłącza klimatyzację i opuszcza szyby, żeby wpuścić do środka świeże powietrze, zapachy krzewów i kwiatów oraz śpiew ptaków. Wspomnienie przydrożnej kawiarni – hałaśliwej, zbyt dusznej, zbyt jasnej i cuchnącej żarciem – wylatuje przez okna, razem z napięciem, które było pomiędzy nimi.

– Dzień dobry – odzywa się tato. – Chciałbym nabyć złotą rybkę.

– Już się robi, psze pana – odpowiada. – Życzy pan sobie akwarium?

– Dobrze, niech będzie. Czyli zostaną mi jeszcze dwa życzenia, tak?

Kolejny straszny dowcip Declana. Ich śmiech znowu jest podszyty smutkiem. Żartują jeszcze przez parę minut, potem milkną, lecz uśmiech nie znika z twarzy Shiv aż do momentu, gdy dojeżdżają do następnego skrzyżowania i tato wyrywa ją z zamyślenia pytaniem, w którą stronę mają skręcić.

– Ach, hmm... w prawo. Chyba. – Zerka na mapę i potwierdza: – Tak, w prawo.

Zbliżają się do celu. Zapada cisza.

Brama znajduje się na końcu wąskiej alejki, na której zmieściłoby się tylko jedno auto. Nie ma tu zresztą innych samochodów. Od tak dawna nie minęli nikogo – ani jednego kierowcy, rowerzysty czy nawet pieszego – jakby w okolicy obowiązywała godzina policyjna. Zatrzymują się przed wysoką bramą z kutego żelaza. Kamera zamontowana na jednym z kamiennych filarów wycelowana jest prosto w ich auto. Po obu stronach, jak okiem sięgnąć, biegnie mur, wysoki naco najmniej pięć metrów. Na prawym filarze widać wyryte w kamieniu, porośnięte mchem litery. „Eden Hall”. Nie ma żadnej innej, nowszej tabliczki, żadnego napisu informującego, co się znajduje w środku.

Tato wyciąga rękę przez opuszczoną szybę i wciska guzik domofonu przymocowanego do żelaznego słupka. Głośnik przez chwilę trzeszczy, a następnie ktoś prosi o podanie „nazwiska rezydenta”.

– Siobhan Faverdale – oznajmia tato i recytuje numer identyfikacyjny, widniejący na potwierdzeniu przyjęcia.

Wielka brama się otwiera. Wjeżdżają do środka.

Po obu stronach podjazdu rosną szpalery drzew, strzeliste topole strzegące drogi niczym żołnierze gwardii honorowej. Za zakrętem aleja zaczyna prowadzić pod górę, drzewa ustępują miejsca ścianom azalii. Wszędzie dookoła rośnie soczyście zielona trawa. W oddali widać las. Nagle Shiv dostrzega budynki.

– O, łał!

Po tak długiej podróży i tylu tygodniach oczekiwania, podczas których kumulowały się w niej nadzieje i obawy, prawie nie może uwierzyć, że wreszcie się tutaj znalazła.

Główny budynek mógłby z powodzeniem służyć za scenografię w jakimś filmie kostiumowym. Wzniesiony z kamienia w odcieniu piasku, z czasem pociemniał i przybrał miodową barwę. Oblany cytrynowym słońcem wygląda tak apetycznie, że ma się ochotę odłamać i zjeść kawałek ściany. Gmach jest szeroki, trzypiętrowy, z dachem pokrytym terakotą i wieżą zegarową, którą wieńczy kopuła. Parę

mniejszych budynków – dawna stajnia, powozownia i domek ogrodnika – ustawionych jest wokół dziedzińca. Znak wskazuje drogę do parkingu dla gości.

W prześwicie pomiędzy krzewami azalii Shiv dostrzega nagle w oddali – na niżej położonej części posesji – ogromne jezioro. Promienie słońca posrebrzają jego powierzchnię pomarszczoną od wiatru. Po chwili woda znika za iglastym żywopłotem.

Trwa to tak krótko, jakby było jedynie wytworem jej wyobraźni.

*To tylko jezioro – uspokaja się w myślach. Nic więcej. Nie ma się czego bać.*

Jej oddech zaczyna jednak wracać do normy dopiero, gdy tato zatrzymuje auto na dziedzińcu i gasi silnik.

Przez kilka chwil po prostu siedzą i milczą. Nawet jeśli tato zauważył jezioro, nie wspomina o tym ani słowem, ale reakcja Shiv na pewno nie umknęła jego uwadze. Wyciąga ze schowka teczkę z dokumentami i zaczyna w skupieniu je przeglądać, chociaż każdy z nich sprawdził już dzisiaj pięć razy.

Na parkingu stoi kilka samochodów. Shiv zastanawia się, czy należą do rodziców innych osób, które przyjechały tu dzisiaj tak jak ona, a jeśli tak, to kim są pozostali „rezydenci”, dlaczego tutaj trafili, kiedy ich pozna.

Przełyka głośno ślinę. Wyciera wilgotne dłonie o szorty. Zauważa, że oboje wciąż siedzą z zapiętymi pasami. Jakby byli gotowi do nagłej ucieczki, jeśli któreś z nich jednak się rozmyśli.

– Można by się spodziewać, że ktoś wyjdzie nas powitać – mówi tato.

Dokładnie w tym momencie otwierają się drzwi, z których wyłania się jakaś kobieta. W oślepiającym słońcu widać jedynie jej sylwetkę i słycać odgłos butów stukających o bruk, gdy zbliża się do ich samochodu.

Za plecami kobiety Shiv dostrzega przytwierdzoną do ściany budynku tabliczkę z niebieskimi literami na szarym tle:

**Witamy w Klinice Korsakoffa**



Resztę popołudnia wypełniają formalności związane z przyjęciem Shiv do kliniki. Na początku towarzyszy jej tato – podpisuje różne papiery i tak dalej – ale w końcu (zbyt szybko) nadchodzi czas, żeby odjechał.

Żegnają się na parkingu, obok jej walizki stojącej przy nich niczym posłuszny pies. Tato przyciąga Shiv do siebie, ściska ją z całych sił i całuje w policzek. Jego oddech pachnie tuńczykiem, majonezem i słodką herbatą.

– Pa – udaje się jej wykrztusić.

– Pa, skarbie – szepcze jej do ucha. – Uważaj na siebie, dobrze?

Chciałaby usłyszeć, jak znowu nazywa ją „Shivvers”, ale on tego nie robi. Kiedy wypuszcza ją z ramion, Shiv zauważa, że jeden z jej włosów zaczepił się o kępkę zarostu, którą tato ominął żyletką podczas porannego golenia. Wygląda to tak, jakby ktoś napisał literę „C” na jego szczęce cienkim, czarnym flamastrem. Jego oczy są zaczerwienione i wilgotne.

– Dasz radę – mówi do niej.

Shiv nie wie, czy próbuje dodać otuchy jej czy sobie. W każdym razie jego ton brzmi niemalże błagalnie.

Po rozstaniu z tatą wraca do recepcji, gdzie się uspokaja, ociera twarz i próbuje się skupić na kolejnym etapie procedury przyjęcia do kliniki. Pokazują jej listę „zabronionych przedmiotów”, których nie można wносить do środka. Papierosy, zapalniczki, zapalaki, nożyczki, żyletki, narkotyki, lekarstwa, alkohol i tak dalej. Zakazany jest również wszelki sprzęt elektroniczny. Shiv nie może zabrać ze sobą iPoda ani telefonu (podobno i tak nie ma tutaj zasięgu). Pieniądze także figurują na liście – nie można mieć zarówno gotówki, jak i kart (płatniczych i kredytowych). Musi również oddać swoją legitymację uprawniającą do zniżek na przejazdy koleją.

Żadnych przedmiotów, które by ją rozpraszały, którymi mogłaby zrobić sobie krzywdę, które umożliwiłyby jej ucieczkę z tego miejsca.

Recepcjonistka unosi brwi, gdy Shiv oświadcza, że nie ma przy sobie żadnych lekarstw na receptę. Tłumaczy, że przez kilka tygodni po

tym, co się wydarzyło, zażywała środki uspokajające, ale teraz nic już nie bierze, chociaż jej lekarz i terapeutka uważają, że powinna.

Sprawdzają jej walizkę, żeby się upewnić, że nie próbuje niczego przemycić.

Potem badania. Młoda pielęgniarka w niebieskim kitlu – Zena, jak ma napisane na plakietce z imieniem – odprowadza ją do swojego gabinetu, w którym unosi się mocna woń środków dezynfekujących. Pomieszczenie jest tak czyste, że Shiv czuje się jak flejtuch, stawiając stopę na lśniącej podłodze. Szczupła pielęgniarka z jasną skórą, długimi blond włosami i błękitnymi oczami wygląda tak, jakby dopiero co przestała być nastolatką.

– Będzie mnie pani badała?

– Bez obaw. Przed zagłębieniem w najbardziej intymne miejsca zakładam gumowe rękawiczki. – Ton jej głosu i uśmiech sugerują, że to żart mający na celu rozładowanie atmosfery.

Shiv przygląda się jej dokładnie. Pielęgniarka przypomina nimfę wodną z obrazka w książce z bajkami, którą miała w dzieciństwie.

– Jestem zdrowa – oświadcza. – To znaczy fizycznie.

Zena wręcza jej fartuch i pokazuje parawan, za którym może się przebrać.

– Ciśnienie, temperatura, tętno, waga, krew. To wszystko, co chcę sprawdzić. Aha, musisz też zrobić siusiu do buteleczki – dodaje z przyjaznym uśmiechem. – Tego ostatniego nie musisz robić przy mnie.

Po badaniach Shiv zostaje odprowadzona do głównego budynku, gdzie na drugim piętrze mieści się jej pokój z łazienką. Dowiaduje się, że jest jednym z sześciorga rezydentów. Mieszkają tu cztery dziewczyny i dwóch chłopaków w wieku od trzynastu do siedemnastu lat.

Znowu to słowo. „Rezydenci”, a nie pacjenci.

Pozostałą piątkę pozna podczas kolacji.

Gdy wreszcie zostaje sama w pokoju, wciąga walizkę na łóżko, otwiera ją i zaczyna układać ubrania w szafie i szufladach. Zawsze to robi, gdy gdzieś wyjeżdża – w pierwszej kolejności wypakowuje bagaże.

Jej brat *nigdy* się nie rozpakowywał. Po prostu wygrzebywał ciuchy z walizki, kiedy akurat ich potrzebował.

Tę samą walizkę zabrała ze sobą na Kyritos. Nic w tym dziwnego,

bo innej nie ma. Musiała o tym wiedzieć, kiedy pakowała się przed przyjazdem do kliniki, ale dopiero teraz dociera to do jej świadomości. Już wcześniej usunęła wszystkie naklejki, jakie przylepia się do bagaży na lotniskach, ale zostawiła czerwoną wstążkę, którą przywiązała do uchwytu, żeby szybciej wypatrzeć walizkę na taśmociągu bagażowym.

Zastanawia się, czy jej również nie powinna zerwać i wyrzucić. Ostatecznie decyduje się jej nie ruszać.

Pokój jest w porządku. Skromny, ale funkcjonalny. Oprócz szafy i wąskiego łóżka znajduje się w nim brązowy fotel, na oko niezbyt wygodny, pewnie z Ikei, oraz mała komoda z kilkoma szufladami. Meble wyglądają na zrobione z drewna sosnowego, sufit i ściany pomalowane są na biało, natomiast zasłony i dywan pokrywają żółto-brązowe esy-floresy, co kojarzy się jej z ciastem czekoladowym polanym sosem toffi. Na jednej ścianie wisi grafika przedstawiająca drzewa w kształcie lizaków.

Tak wyglądają pokoje w tanich hotelach.

Jej determinacja, żeby mieć optymistyczne nastawienia, gwałtownie słabnie, gdy znowu odzywa się w niej ta „druga Siobhan”, dziewczyna opętana żądzą niszczenia. Niełatwo jest ją zignorować, ale Shiv jakoś to się udaje, przynajmniej w tej chwili. Skupia uwagę na pokoju, na uchylonym oknie, przez które wlatuje łagodny wiatr, poruszający lekko zasłonami. Gdzieś w oddali rozbrzmiewa płaczliwe, samotne zawodzenie bażanta.

Chciałaby porozmawiać z tatą.

Fakt, że zabrali jej telefon, który i tak nie łapałby tutaj sygnału, jedynie potęguje to pragnienie. Zupełnie jednak nie wie, co mogłaby mu powiedzieć.

Przez całą drogę miała wyłączoną komórkę. Ostatni raz sprawdziła wiadomości przed śniadaniem; jak zwykle nikt do niej nie napisał. Tydzień temu zmieniła numer, ponieważ zaczął do niej wydzwaniać jakiś dziennikarz. Jej nowy numer zna tylko garstka osób: mama, tato, jej terapeutka oraz Laura i Katy, które od tamtej pory ani razu się do niej nie odezwały. Obie przebywają obecnie zagranicą – Laura pływa na kajakach w Kolorado, a Katy razem z rodzicami zwiedza Włochy. Przygnębia ją myśl, że jej najlepsze przyjaciółki są zbyt zajęte, żeby

napisać do niej parę słów, na przykład: „hej shiv co u ciebie?”. Po co na zakończenie roku szkolnego przytulały ją i zapewniały ze łzami w oczach, że będą tęsknić? Po co obiecywały, że będą w kontakcie? Shiv odniosła wrażenie, że Laura i Katy w głębi ducha odetchnęły z ulgą, gdy skończyła się szkoła. Ucieszyły się, że w ciągu lata nie będą musiały się z nią widywać. Ani z nią rozmawiać.

Z drugiej strony, ona też ani razu się do nich nie odezwała. Nawet nie wiedzą, że wyjechała do klinki. Nie mają pojęcia, jak się czuje. To, jak często – a raczej jak rzadko – ze sobą rozmawiały, odkąd wróciła z Grecji, tylko jej uzmysłowiło, jak bardzo się od siebie oddaliły przez to, co się wydarzyło...

Podchodzi do okna. Minęła już szósta wieczorem, ale na dworze nadal jest bardzo widno. Spogląda na znajdujący się za budynkiem ogródek warzywny, rosnący za nim sad jabłoniowy i pustą łąkę, ciągnącą się aż po zalesione wzgórze.

Z okna nie widać jeziora. Na szczęście.

Jej uwagę przyciąga jakieś monotonne buczenie. Wysoko na niebie dostrzega samolot. Zastanawia się, dokąd leci. Podejrzewa, że nie na Kyritos. Oczami wyobraźni widzi pasażerów, którzy siedzą w fotelach, oglądają film, jedzą posiłek, spoglądają z wysokości tysięcy metrów na miniaturowy krajobraz, całkowicie nieświadomi jej istnienia.

Ma wrażenie, jakby od dnia, w którym leciała na Kyritos, minęło sto lat. Albo jakby to wszystko przydarzyło jej się w innym życiu, w innym wcieleniu. Pamiętała atrakcyjną stewardesę rozdającą pasażerom kolorowe landrynki do ssania, żeby podczas startu nie zatkały im się uszy. Jej brat poprosił o dwa cukierki, po jednym na każde ucho. Stewardesa zaśmiała się, jakby pierwszy raz w życiu usłyszała ten dowcip.

Jej oczy zachodzą łzami. Ostatnio często się to zdarza. Z jej gardła wydobywa się głośnie, gwałtowne łkanie, którym prawie się dławi.

Wreszcie łzy przestają płynąć. Stoi przy oknie, zaciskając dłonie na parapecie.

– Dżizas, o co chodzi z tym dywanem?

Shiv odwraca się gwałtownie. W progu pokoju stoi starsza od niej dziewczyna w krótkiej, jaskrawej sukience.

– Żółty i brązowy? Serio? – ciągnie dalej nieznajoma. – Wystrój wnętrza ufundowała miejscowa cukiernia czy coś w tym guście? Nic dziwnego, że chciałaś skoczyć z okna. Chociaż, hmm, drugie piętro... Myślisz, że to wystarczająco wysoko, żeby popełnić samobójca?

Shiv nie może powstrzymać śmiechu. Rękawem bluzy ociera policzki. Płakała już przy tylu obcych ludziach, że nie przejmuje się kolejną osobą, która zobaczyła łzy na jej twarzy.

– Mam na imię Caron. Pisane przez „C”. – Dziewczyna wskazuje na ścianę, na której zawieszony jest obraz z drzewami jak lizaki. – Zajmuję sąsiedni pokój. Możemy w nocy pukać w ścianę, żeby przekazywać sobie zaszyfrowane wiadomości. – Po paru chwilach uśmiecha się i podpowiada: – Teraz chyba twoja kolej, żeby powiedzieć, jak masz na imię.

– Och... Shiv.

Dziewczyna marszczy czoło.

– To nie jest imię. To sylaba.

Shiv znowu się śmieje.

– To skrót od Siobhan. – Wyjaśnia, że to irlandzkie imię, ale ona jest Angielką.

– Cześć, Siobhan vel Shiv.

Caron wchodzi w głąb pokoju i wykonuje piruet na środku wzorzystego dywanu. Ma długie, kruczoczarne włosy, opadające na odkryte ramiona, oraz grzywkę obciętą na ukos. Shiv przygląda się, jak dziewczyna zdejmuje buty na wysokim obcasie i w jaskrawoczerwonym kolorze, pasującym do jej sukienki i kolczyków.

– Te buty mnie wykończą. – Odsuwa je od siebie bosymi stopami. – Ale nie mogłam ich upchnąć do walizki, boby się zgmiotły. – Pokazuje łóżko i pyta: – Mogę? – Po czym na nie opada.

Shiv powinna traktować ją jak intruza. Z reguły nie przepada za ludźmi, których jej mama określa mianem „silnych osobowości”, ale ta dziewczyna budzi w niej odruchową sympatię. Po spędzeniu kilku minut w jej towarzystwie czuje się sto razy lepiej niż wcześniej, gdy stała przy oknie i płakała.

– Siedem cholernych godzin w samochodzie – jęczy Caron. Leży na plecach, z nogami dyndającymi za krawędzią łóżka oraz uniesionymi

rękami, którymi wykonuje w powietrzu ruchy tai-chi, jakby malowała coś na suficie niewidzialnym pędzlem. – Skąd przyjechałaś?

Shiv siada na fotelu. Wymienia nazwę miasta, w którym mieszka.

Caron przestaje wymachiwać rękami, podpira się na łokciach i wpatruje w nią z nagłą powagą.

– Jak masz na nazwisko?

Shiv mogłaby skłamać, ale postanawia powiedzieć prawdę.

– Faverdale.

Caron wstaje i siada na krawędzi łóżka, nie odrywając wzroku od twarzy Shiv, a potem mówi prawie szeptem:

– O Boże, jesteś siostrą tamtego chłopaka.

Caron wpada na pomysł, żeby przed kolacją wybrały się na spacer po terenie kliniki. Mówi, że po całym dniu podróży przyda im się trochę świeżego powietrza. Shiv podejrzewa jednak, że chodzi o to, żeby obie wyrwały się z ponurego nastroju, który je ogarnął, gdy powiedziała, jak się nazywa.

Przed wyjściem Caron idzie do swojego pokoju, a potem zjawia się w karmazynowych sandałkach.

– Nosisz tylko czerwone ubrania? – pyta Shiv.

– Nieee. To byłoby chore, nie sądzisz?

Wychodzą na dwór i spacerują bez celu po wysypanych żwirem ścieżkach ogrodu różanego. Wieczór jest ciepły, a powietrze pachnie różami, skoszoną trawą i palącym się drewnem.

Po nagłej rozpacz, która ją ogarnęła w pokoju, nie ma już śladu; jej miejsce zajął błogi spokój. Nie może uwierzyć, że wcześniej poddała się tak silnym, negatywnym emocjom. Zawsze tak ma po tego typu kryzysach. Tak samo jak po napadach agresji.

– Stresujesz się całą tą kliniką? – pyta Caron.

– Tak. Ja i terapia to nie najlepsza para.

– Dżizas, wiem coś na ten temat.

Shiv chce zapytać, dlaczego Caron się tutaj znalazła, ale nie ma dość odwagi. Nie wie, co myśleć o tej dziewczynie. Krzykliwe ubrania, ogromna pewność siebie – tego typu osoby raczej nie trafiają do kliniki psychiatrycznej.

Gdy tylko znika im z oczu główny budynek, Caron zadziera

sukienkę i wsadza rękę w majtki.

– Wybacz. – Wyjmuje zapalniczkę i dwa papierosy. – Nie wszystko udało im się skonfiskować.

Zapala papierosa. Drugiego podaje Shiv, która kręci głową.

– Po pierwsze, nie palę. A po drugie... – Wskazuje miejsce, w którym Caron przemyciła fajkę.

– Spoko, rozumiem.

Docierają do końca ogrodu różanego, przechodzą przez łuk w żywopłocie, a następnie idą po schodkach do czegoś przypominającego małą grotę przy brzegu sztucznego stawu.

– Tutaj ma być inaczej – mówi Shiv, nawiązując do ich poprzedniej rozmowy. – Podobno ta terapia jest skuteczna.

– Podobno... – Caron zaciąga się papierosem, wydmuchuje dym z dala od Shiv i wskazuje głową starą, drewnianą ławkę. – Klapniemy na chwilę?

– Myślałam, że chcesz spacerować – odpowiada Shiv.

– Już spacerowałyśmy.

– Przeszłyśmy jakieś dwieście metrów.

– Dżizas, Shiv, masz fioła na punkcie fitnessu?

– Nie, tylko...

– Może jesteś triatlonistką albo coś w tym guście? Ile w ogóle masz lat?

– Piętnaście. A ty?

– Siedemnaście. Jestem starsza, więc ja tu rządzę. Siadamy.

– Chodzenie, siedzenie... A jaka jest trzecia dyscyplina triatlonu?

Palenie?

Caron parska śmiechem, wypuszczając dym.

– To było całkiem zabawne.

Siadają na ławce. Udziela im się spokój, którym tchnie otoczenie. Nie odzywają się, ale jest to przyjemne, komfortowe milczenie, jakby były starymi, dobrymi koleżankami, a nie dwiema osobami, które dopiero co się poznały.

– Dlaczego płakałaś? – pyta Caron, przerywając ciszę. Po chwili dodaje: – Poczekaj, cofam pytanie. Dlaczego miałabyś tego nie robić? Wszyscy powinniśmy tylko siedzieć i płakać. – Zaciąga się papierosem,

cmokając ustami jak podczas pocałunku. – Co jeszcze zrobiłaś, żeby tutaj wyłudować? Pomijając, no wiesz, *tamto*.

– Mam... napady. Niszczę różne rzeczy. Okna, drzwi. Butelki wina w Tesco. Wycieraczki samochodowe. Któregoś wieczoru szłam naszą ulicą i urywałam po kolei wszystkie wycieraczki. I niektóre boczne lusterka. Kiedy mam atak, demoluję wszystko, co popadnie.

– Serio?

Shiv opowiada Caron, jak podpaliła swoje podręczniki.

– W szkole, na lekcji?

– Nie, w domu. W ogródku.

Caron robi zawiedzioną minę.

– Pewnego razu – ciągnie dalej Shiv – tak bardzo odbiło mi przy szkolnej psycholog, że musiała wezwać pomoc. – Wzrusza ramionami. – To głupie, ale kiedy znowu poszłam do szkoły, no wiesz, po powrocie z Grecji, przykładałam się do nauki bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Zamieniłam się w kujona. – Przechodzi ją dreszcz. Powietrze robi się chłodniejsze. Zbliża się wieczór. – Poza szkołą zachowywałam się jak wariatka, ale... Nauka była chyba jedyną rzeczą, której mogłam się trzymać.

– Tak jak rozbitek trzyma się tratwy – wtrąca Caron.

– Właśnie. A potem, pewnego dnia, pomyślałam sobie: „Po co się wysilać? Dlaczego nie pozwolić, żeby mi do końca odbiło?” – Znowu wzrusza ramionami. – Gdyby nie „okoliczności łagodzące”, od razu wykopaliby mnie ze szkoły, ale jakoś wytrzymali ze mną do wakacji.

– Czyli jesteś teraz najpopularniejszą laską w szkole? – pyta Caron z ironią.

– Jestem dziwadłem. Takim, do którego nikt się nie odzywa. Jakbym była niewidzialna.

– No, cóż, to i tak lepsze niż *współczucie* – wypowiadając ostatnie słowo, Caron wydaje z siebie gardłowy odgłos, jakby miała zaraz wymiotować.

Shiv przygląda się jej z ukosa. Twarz Caron zdaje się bleda w półmroku, który panuje w grocie. Cieszy się, że spotkała kogoś, komu też robi się niedobrze na myśl o współczuciu. Kogoś, kto *rozumie*.

– A co z twoimi koleżankami?



Shiv myśli o Laurze i Katy.

– Często mnie przytulają. Ale traktują tak, jakbym była na coś poważnie chora. Nawet kiedy mnie ściskają, mam wrażenie, że wolałyby mnie nie dotykać, bo boją się, że się zarażą.

Caron kiwa głową.

– Chcą, żebyś znowu była taka jak wcześniej. Ale to niemożliwe, prawda? Nikt z nas już nigdy nie będzie taki jak kiedyś.

Dokładnie w momencie, gdy słyszą gong wzywający na kolację i wstają z ławki, żeby wrócić do budynku, Shiv nagle go dostrzega.

Jego biała koszulka błyska pomiędzy krzewami azalii rosnącymi przy podjeździe. Zatrzymuje się, jakby czuł, że jest obserwowany, i obraca się odrobinę w ich stronę. Potem znowu rusza i po chwili znika za krzewami. Wszystko trwa tylko sekundę czy dwie, ale Shiv mogłaby przysiąc, że to Declan.

Zdaje sobie sprawę, że wstrzymuje oddech, więc wypuszcza powietrze z płuc.

Z reguły widuje go na ulicy, w supermarkecie albo na szkolnym boisku – w zatłoczonych miejscach, gdzie nagle dostrzega jakiegoś chłopaka, który ma fryzurę lub sylwetkę taką jak Declan albo porusza się w podobny sposób, albo ma na sobie koszulkę podobną do tych, jakie nosił jej brat. Teraz pierwszy raz zobaczyła go w całkowicie pustym miejscu.

– Coś się stało? – pyta Caron, spoglądając tam, gdzie patrzy Shiv.

– Nie. Nic. Wszystko w porządku.

Samochód wyhamował gwałtownie na śnieżnobiałym żwirze przy willi. Shiv puściła klamkę, na której kurczowo zaciskała palce, i opadła na fotel, wydając z siebie dramatyczne westchnienie. Obok niej siedział Declan, zasłaniając twarz dłońmi. Ostrożnie rozsunał palce.

– Czy... my... jeszcze... żyjemy? – wydukał, udając, że szlocha.

– Kurka wodna – zaśmiał się z ulgą tato. – A ja myślałem, że to Włosi jeżdżą jak wariaci.

– To ty, tatusiu? – zapytał Declan teatralnym tonem pełnym dziecięcego zdumienia. – Czy może jestem już w niebie?

Shiv odwróciła się twarzą do szyby i spojrzała na kamienny mur prawie w całości opleciony kwitnącymi pnączami. Próbowwała skupić się na kolorowych kwiatkach i pszczołach zbierających pyłki, żeby stłumić w sobie histeryczny śmiech, który w niej wzbierał i potrzasał jej ramionami.

– Wspaniale się spisałeś, kochanie – odezwała się mama ironicznym tonem. – Zagraniczne drogi, wypożyczony samochód, kilkuset greckich kierowców-kamikadze, a ty zakląłeś zaledwie siedemnaście razy.

– Jednym z tych przekleństw było słowo na „k” – przypomniała Shiv. – Czy to przypadkiem nie liczy się potrójnie?

– Spójrzcie – tato oderwał dłonie od kierownicy i je uniósł – jak trzęsą mi się ręce.

– Mamo, słowo „kamikadze” pochodzi z języka japońskiego, a nie greckiego – zauważył Declan.

Tato wypuścił głośno powietrze, opierając głowę o zagłówek. Jego stopa ześlizgnęła się ze sprzęgła. Samochód ostatni raz wyrwał gwałtownie do przodu i znowu ostro wyhamował.

– O nieeee, znowu jedziemy! – krzyknął Declan, chowając twarz w dłoniach.

Cała czwórka wybuchnęła głośnym śmiechem.

Tato opuścił szyby. Do wnętrza auta wleciały kwiatowe i żywiczne zapachy, które Shiv doskonale pamiętała z poprzednich wakacji. Fala gorąca, która w nią uderzyła, była cudowna. Przed nimi mały gaj oliwny

oddzielał ich willę od sąsiedniego domu. Każde drzewo rzucało na ziemię jakby niedbale nabazgrany cień.

Wreszcie dojechali na miejsce! Wczesna pobudka, długa podróż... – wszystko to było już tylko niewyraźnym, nieistotnym wspomnieniem.

– Myślicie, że uda nam się przez dwa tygodnie nie korzystać z samochodu? – zapytał tato.

Podczas gdy tato wyładowywał walizki z bagażnika, Shiv poszła z mamą i bratem obejrzeć willę. Czuła, jak jej skóra chłonie wiosenne promienie słońca, za którymi tak tęskniła. Kiedy wyjeżdżali z domu, padał deszcz ze śniegiem – pogodowy prezent dla mieszkańców Anglii z okazji Wielkanocy. Choć przed zrobieniem rezerwacji dokładnie przyjrżeli się willi na zdjęciach zamieszczonych w internecie, na żywo dom zrobił na nich tak piorunujące wrażenie, że aż zatrzymali się w pół kroku.

– O mój Boże! – wykrzyknęła mama.

Stali na tarasie wyłożonym kamiennymi płytami, różowo-białymi, jak słodkie pianki, z widokiem na basen migoczący w słońcu, a dalej – na zatokę, szmaragdowe morze, tak nieruchome, jakby było namalowane. Po drugiej stronie niskiego, kamiennego murka, w cieniu drzewa skubała trawę samotna koza. Podniosła głowę i spojrzała w ich stronę nieodgadnionym wzrokiem.

– Ej, patrzcie, trampolina! – zawołał Declan, pokazując basen.

Gdzieś w trawie znalazł piłeczkę tenisową, którą teraz w kółko odbijał od ziemi. Ze swoją oliwkową karnacją i ciemnymi włosami mógłby prawie uchodzić za Greka.

– Tu jest tak...

– Pięknie – dokończyła za mamę Shiv.

– I jakże zagranicznie, nieprawdaż? – dorzucił Declan.

Shiv dźgnęła go z sympatią łokciem w żebra. Piłeczka wyleciała mu z rąk, odbiła się od schodków i wpadła do basenu z cichutkim pluskiem.

– Wiecie co? – odezwała się mama. – Myślę, że tutaj jest nawet lepiej, niż było na Sardynii.

Shiv spojrzała na nią z udawanym zdumieniem.

– Przecież mówiłaś, że to była willa nad wille...

– Jak sądzicie – przerwał jej Declan – czy ta koza stoi tu sama, bo ma w nosie inne kozy? No wiecie, takie małe, zielone.

Mama i Shiv skrzywiły się z obrzydzeniem. Shiv poczuła, jak wypełnia ją radość. Pierwsze dni wakacji czasami bywają ciężkie – zmęczenie po długiej podróży i tak dalej – ale ten dzień do takich nie należał.

Zeszła po schodkach, okrążyła basen i stanęła na murku na skraju ogrodu, żeby omieść wzrokiem zatokę. Na wydmach dostrzegła zygzakowatą ścieżkę prowadzącą na plażę, o której czytali na stronie internetowej: „Spokojnym spacerkiem dojdiesz do urokliwej wioski rybackiej kuszącej gościnnymi tawernami, a tuż za portem odkryjesz zaciszną, piaszczystą plażę, idealną do pływania”. Rozpostarła ramiona, przymknęła powieki i uniosła twarz ku słońcu.

Właśnie w tym momencie dostała w głowę mokrą piłeczką tenisową.

– Proszę państwa, tak oto Declan zalicza pierwszy celny rzut tych wakacji! Brawooooo!

Zanim dorwała brata i powaliła go na trawę, obojgu brakowało już tchu ze śmiechu. Rozpletli się i padli na plecy obok siebie, głośno łapiąc powietrze w płuca.

– Bijesz się jak dziewczyna – dogryzła mu.

– Tak się składa, że ty też.

Jej koleżanki nie cierpiały swoich młodszych braci, zwłaszcza tych nadmiernie inteligentnych, więc ona też raczej nie powinna przepadać za swoim. Declan jednak potrafił ją rozśmieszyć – zawsze mu się to udawało, od momentu gdy tylko nauczył się mówić. Byli dobrymi kumplami. Czasami bez słów odgadywali swoje myśli albo wybuchiali śmiechem z powodu żartu, którego nikt inny by nie zrozumiał.

„Jesteście dwuosobowym gangiem” – powtarzała często mama. Tato z kolei twierdził, że są bliźniętami, które przez przypadek urodziły się w odstępie dwóch i pół roku.

Shiv podobały się nawet ubrania Declana. Czasami je od niego pożyczowała, jakby był jej starszą siostrą, a nie młodszym bratem. Bardzo lubiła workowaty podkoszulek, który teraz miał na sobie – prezent urodzinowy, z którym praktycznie się nie rozstawał. Z przodu widniał

cytat z *Buszującego w zbożu*: „Lepiej nikomu nic nie opowiadajcie. Bo jak opowiecie – zaczniecie tęsknić za wszystkimi”.

Shiv nie do końca wiedziała, co to znaczy.

Pewnego razu ciocia Rosh zapytała Declana, kim chce zostać, gdy dorośnie. Bez chwili wahania odparł, że Holdenem Caufieldem.

Podeszła do nich mama i usiadła na jednym z leżaków. Wyciągnęła aparat i zaczęła pstrykać zdjęcia. Z każdych wakacji wracała z setkami zdjęć. Sama mogłaby pozować do magazynu o modzie. Wyglądała jak gwiazda filmowa z lat sześćdziesiątych. Miała na sobie żółtą sukienkę, oślepiającą w blasku słońca, a w jej okularach przeciwsłonecznych odbijała się willa.

– Na żywo wygląda na większą – powiedziała mama.

– Na żywo? Ten dom *żyje*? – zapytał Declan.

Shiv dopiero teraz porządnie przyjrzała się budynkowi utrzymanemu w greckim stylu: białe ściany, niebieskie okiennice i framugi okien, dach pokryty dachówką i opleciona pnączami pergola, rzucająca cień na stół ustawiony na tarasie. Balkon wychodził na basen i zatokę. Idealne miejsce do podziwiania nadmorskich zachodów słońca. Pomyślała, że pewnie tutaj rodzice będą wieczorami siedzieć we dwójkę przy butelce czerwonego wina. Wakacje zawsze kojarzyły jej się z długimi, ciepłymi dniami zwieńczonymi zasypianiem przy przytłumionych odgłosach rozmów, które mama i tato toczyli do późna gdzieś na zewnątrz.

– Znalazłem kosz powitalny! – zawołał tato z wnętrza willi.

– Dali nam wino? – zapytała mama.

– Owszem. Było, ale... się wypilo – odpowiedział tato udawanym pijackim głosem.

– To jest forma przemocy psychicznej – odezwał się Declan. – Dowcipy taty. Zakazane w czterdziestu siedmiu krajach na świecie.

– Czterdziestu sześciu – poprawiła go Shiv. – Korea Północna odmówiła podpisania tego traktatu.

– Ach, rzeczywiście. Słusznie prawisz, Shivoloppoulos. Nie mogę uwierzyć, że wypadło mi to z głowy.

Declan wstał i przysiadł na skraju leżaka, który zajęła mama. Shiv usiadła z drugiej strony. Mama objęła ich oboje ramionami.

– A więc, dziecko numer jeden i dziecko numer dwa, jak wam się tutaj podoba?

– Hmm – zaczęła Shiv. – Może być, jak na tani motel. Mam nadzieję, że w willi będzie lepiej – zażartowała.

Z wnętrza domu wyłonił się tato, w kąpielówkach i okularach pływackich oraz z nosem białym od kremu do opalania.

– No, dobra. Kto idzie się popluskać?

Po kolacji rezydenci zostają zaprowadzeni do małego pokoju bez okien, ze ścianami pomalowanymi błękitną farbą i sześcioma krzesłami ustawionymi w rzędzie naprzeciwko zwykłego, owalnego biurka, za którym stoją cztery inne krzesła. Zostają poproszeni o zajęcie miejsc. Shiv siada pomiędzy Caron a dziewczyną o imieniu Lucy – pulchną gadułą w wieku Shiv, z twarzą jak księżyc w pełni i przyjacielską aż do przesady. Podczas kolacji to ona najwięcej mówiła i najwięcej jadła. Obok niej siedzi dziewczyna, której imienia Shiv nie pamięta, a dalej jeden z chłopaków, ten młodszy. *Mikey? Tak, Mikey.* Ma chyba trzynaście lat, ale wygląda na dziesięć. Jest niski, chudy, emanuje nerwową energią, co chwila przeczesuje ręką włosy albo obgryza paznokcie.

– Nerwica natręctw – wyszeptała Caron do Shiv podczas posiłku, wskazując go głową.

Na samym końcu siedzi Docherty, który nalega, żeby zwracać się do niego po nazwisku. Ma siedemnaście lat, ale wygląda na dwadzieścia. Jest ostrzyżony na jeża, jak amerykański żołnierz, na prawym łokciu ma wytatuowaną pajęczynę. Przystojny, w typie twardziela, który lubi się wdawać w bójkę. W czasie obiadu prawie się nie odzywał. Kolacja była zresztą dziwna. Rozmowa się nie kleiła, wszyscy czuli się skrępowani. Odetchnęli z ulgą, gdy wstali od stołu i zostali wyprowadzeni ze stołówki przez sanitariusza, który pilnował ich podczas posiłku.

– Szkoda, że już koniec. Taka fajna impreza... – mruknęła Caron do Shiv, gdy wychodziły z sali.

Shiv z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Teraz, gdy siedzą w Błękitnym Pokoju, przez drugie drzwi wchodzi trzy osoby: dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Wszyscy mają na sobie niebiesko-szare uniformy, wyglądające jak skrzyżowanie dresu ze strojem ratownika medycznego. Za nimi idzie starsza kobieta w szarym kostiumie, niosąca stertę tekturowych teczek.

Ci w uniformach siadają na krzesłach, twarzą do rezydentów, natomiast kobieta w eleganckim ubraniu staje przy końcu biurka. Kładzie na nim teczki i mówi:

– Dobry wieczór. Witajcie w Klinice Korsakoffa.

Uśmiecha się promiennie i rozkłada ramiona, jakby chciała ich wszystkich objąć. Jej krótkie, obcięte po męsku, przyprószone siwizną włosy w świetle jarzeniówek lśnią srebrzystym blaskiem. *Ile ona może mieć lat? Pięćdziesiąt? Sześćdziesiąt?* Jej oczy, ukryte za stylowymi, zapewne drogimi okularami, mają taki sam zielony odcień jak oczy mamy Shiv.

– Nazywam się doktor Pollard. Jestem dyrektorką tej kliniki. A oto moi asystenci: pan Webb, pan Hensher i pani Sumner.

Shiv ich otagowuje. Webb to fajny czarny facet. Hensher to niezgrabny rudzielec. Sumner to blondynka ze sztuczną opalenizną i sztucznym uśmiechem. Wszyscy wyglądają na mniej niż trzydzieści lat.

– Rzecz jasna, w klinice pracuje więcej osób – kontynuuje dyrektorka. – Ogrodnicy, kucharze, ekipa sprzątająca, ochroniarze, konserwatorzy, pielęgniarka Zena, którą wszyscy już poznaliście, oraz kilku sanitariuszy. Ale to my czworo – wskazuje siebie i swoich asystentów – będziemy kierować waszym leczeniem. – Robi pauzę. – To my pomożemy wam wyzdrowieć.

Ktoś pogardliwie prychnął. Mikey.

Dyrektorka przenosi na niego wzrok i przez moment się waha, jakby się zastanawiała, jak zareagować: skomentować jego zachowanie czy zignorować. Ignoruje je.

Samym spojrzeniem potwierdza swój autorytet lepiej niż jakimikolwiek słowami.

– No, dobrze – mówi, z powrotem kierując swoją uwagę na grupę. – Co to za osobliwe miejsce, w którym się znajdujecie? Czym się zajmujemy w Klinice Korsakoffa?

Przesuwa wzrokiem po twarzach rezydentów, jakby czekała, aż któryś z nich podniesie rękę, albo – co gorsza – jakby zamierzała wywołać kogoś do odpowiedzi.

– Ci z was, którzy przeczytali materiały, które przysłaliśmy waszym rodzicom i opiekunom, mniej więcej się orientują, kim jesteśmy i czym się zajmujemy. Bez wątplenia niektórzy z was naszą klinikę... *wygooglowali* – wypowiada to słowo z pewną odrazą.

Shiv przeczytała materiały. Poszukała też w internecie.



Gdy tylko dostała skierowanie do kliniki, próbowała się o niej jak najwięcej dowiedzieć. Nie znalazła jednak zbyt wielu informacji – zwłaszcza o tym, co dokładnie się tutaj dzieje. Metody terapeutyczne stosowane w Klinice Korsakoffa to najwyraźniej pilnie strzeżona tajemnica. Nawet w oficjalnym folderze program leczenia jest jedynie mgliście naszkicowany. Większość tekstu skupia się na historii kliniki. Została ona założona przez Instytut Korsakoffa, psychoterapeutyczne centrum badawcze powołane do życia dziesięć lat temu dzięki funduszom otrzymanym od anonimowego i *bardzo* zamożnego amerykańskiego darczyńcy. Patronem kliniki jest neuropsychiatra, którego teorie stanowią podstawę „strategii terapeutycznej” tego ośrodka. Shiv niewiele z tego zrozumiała (a przynajmniej z definicji na Wikipedii). O teoriach Korsakoffa zrobiło się bardzo głośno w międzynarodowych kręgach psychiatrycznych. Najpierw otwarto trzy kliniki – w Stanach, Kanadzie i Niemczech – a potem czwartą, w Wielkiej Brytanii. Brytyjska placówka jest częściowo finansowana z budżetu państwa, odkąd zdobyła kontrakt na testowanie innowacyjnych metod terapii w małych grupach. Ponieważ rozpoczęła działalność rok temu, leczono w niej dopiero trzy grupy dorosłych.

Shiv i pozostali są pierwszymi nastoletnimi pacjentami.

– Po pierwsze, chciałabym wyjaśnić – mówi doktor Pollard – dlaczego zostaliście do nas przysłani. – Promienny uśmiech, który zgasiło prychnięcie Mikeya, znowu pojawia się na jej twarzy. W przerwie pomiędzy jej przednimi zębami prawie mógłby się zmieścić cały dodatkowy ząb. – Dlaczego spośród wszystkich młodych osób, które się do nas zgłosiły, wybraliśmy waszą szóstkę? Dlaczego jesteście tacy wyjątkowi?

– Bo jesteście świrusy nad świrusami – odpowiada Caron.

Kilka osób zaczyna się śmiać; nawet na twarzy pana Webba pojawia się szeroki uśmiech.

– Ty jesteś Caron, prawda? – pyta doktor Pollard. Gdy dziewczyna kiwa głową, dyrektorka składa dłonie i mówi: – Przykro mi, ale muszę cię rozczarować. – Znowu się uśmiecha, odsłaniając szparę między zębami. – Nie, nie jesteście najbardziej szalonymi młodymi ludźmi w tym kraju. Tak się jednak składa, że jesteście dokładnie takimi

świrusami, jakich najbardziej lubimy.

To miał być żart? Nikt nie jest do końca pewien.

– Rzecz jasna, każdy z was jest innym, osobnym przypadkiem – dyrektorka przemawia znowu poważnym tonem – lecz wszyscy znaleźliście się tutaj z tego samego powodu. A raczej z trzech powodów. Po pierwsze, straciliście bliską wam osobę. Po drugie, ta trauma spowodowała u was zaburzenia urojeniowe, przez co staliście się niebezpieczni zarówno dla siebie, jak i otoczenia. Po trzecie, konwencjonalne terapie nie zdołały wam pomóc.

Ktoś podnosi rękę.

– Słucham, Mikey. – Jak widać, dyrektorka nie musi go pytać o imię.

– Co to znaczy? – Chłopak pochyla się do przodu, a potem gwałtownie odchyła do tyłu. Zaczyna szarpać zębami paznokieć kciuka, jakby usiłował go odgryźć.

– Co dokładnie, Mikey?

– To, co pani powiedziała. – Przeczesuje dłonią swoją czuprynę. – Zaburzenia... jakieś tam.

– Zaburzenia urojeniowe. O to ci chodziło?

Chłopak kiwa głową z irytacją. Jego mina mówi: „*Wiadomo, że o to mi chodziło*”.

Dyrektorka poprawia okulary i odpowiada, nic nie wyjaśniając:

– Cóż, Mikey, właśnie tego zamierzamy się dowiedzieć w ciągu tych dwóch miesięcy.

Shiv wymienia spojrzenie z Caron i odczytuje z jej ust: „WTF?”.

W tym czasie dyrektorka bierze teczkę z wierzchu sterty.

– Zanim oddam głos mojemu asystentowi, panu Webbowi, chciałabym, żeby to było absolutnie jasne: bez względu na to, jakie mieliście do tej pory doświadczenia z leczeniem, niezależnie od form terapii albo, nie daj Boże, leków, które przyjmowaliście, u nas, w Klinice Korsakoffa, zaczynacie z czystym kontem.

Unosi pękatą teczkę i lekko nią potrząsa, niczym iluzjonista przed wykonaniem sztuczki. Shiv może zobaczyć, że jest ona wypchana papierami.

– Oto jedna z teczek, o które poprosiliśmy osoby opiekujące się

wami do tej pory – wyjaśnia dyrektorka. – To dokumentacja leczenia. – Spogląda na okładkę i pyta: – Która z was to Lucy?

Pulchna dziewczyna obok Shiv podnosi rękę.

Zwracając się bezpośrednio do niej, doktor Pollard mówi:

– Przeczytałam twoją dokumentację medyczną, Lucy, oczywiście, że przeczytałam. Zapoznałam się z historią choroby każdego z was – dodaje, omiatając wzrokiem całą grupę.

Robi pauzę.

– Spójrzcie, jaki wpływ będą miały te papiery na wasze leczenie w naszej klinice.

Idzie do kąta i z donośnym „łup” wrzuca teczkę Lucy do wielkiego kosza na śmieci. Następnie bierze kolejną teczkę i robi z nią to samo, aż w końcu wszystkie lądują w śmietniku.

Wystąpienie pana Webba ma bardziej typowy przebieg.

Na początku wyjaśnia zasady i przepisy panujące w klinice. Co jest dozwolone, a co zakazane. Podkreśla, że znajdują się w placówce psychiatrycznej, co oznacza, że obowiązują tutaj pewne ograniczenia ich swobody. W ciągu dnia – gdy nie muszą uczestniczyć w zaplanowanych sesjach terapeutycznych – mają prawo poruszać się po budynku i po większości przyległych terenów. Cisza nocna zaczyna się o 22.30, a kończy pobudką o 7 rano – w tych godzinach rezydenci muszą przebywać w swoich pokojach. Ze względów bezpieczeństwa pożarowego w nocy nie będą zamykani na klucz, lecz jeśli ktoś spróbuje wyjść z sypialni lub budynku, natychmiast włączy się alarm wzywający ochroniarza.

– W waszych pokojach zainstalowane są panele interkomu, który możecie wykorzystać w nagłych wypadkach – mówi Webb. – Przez interkom będziemy was również budzić każdego ranka i informować o ważnych sprawach.

Zarówno w budynku, jak i w ogrodzie oraz innych miejscach na terenie posesji zainstalowane są kamery. Webb podkreśla, że podobnie jak inne środki, o których wcześniej wspomniał, mają one na celu „zapewnienie bezpieczeństwa rezydentom”.

– To nie jest więzienie. Nie jesteście więźniami.

Następnie rozdaje kartki z planem zajęć na pierwszy miesiąc ich

pobytu w klinice. Każdy dzień tygodnia będzie wyglądał tak samo. Z wyjątkiem niedzieli – to dzień odpoczynku i prania.

Podczas gdy Webb opisuje w skrócie, co będą codziennie robili, Shiv się zastanawia, czy innych również rozprasza widok papierów i teczek wystających z kosza na śmieci w kącie. Zerka też na doktor Pollard, która siedzi na krześle i przeskakuje czujnym wzrokiem po twarzach rezydentów. Okulary, które dyrektorka zdjęła i położyła na biurku, wycelowane są prosto w nich, jakby były jej drugą parą oczu. Shiv nie może przestać myśleć o efektownym finale jej przemowy; w głowie wciąż słyszy echo jej słów, zakłócające wystąpienie pana Webba.

– Macie jakieś pytania? – powiedziała doktor Pollard, wrzucając ostatnią teczkę do śmietnika.

Nikt nie podniósł ręki.

Rezydenci zaniemówili z wrażenia, natomiast asystenci wydawali się całkowicie niewzruszeni zachowaniem swojej szefowej. Może odgrywała taką samą scenkę przed dorosłymi pacjentami, którzy wcześniej leczyli się w tej klinice. Tak czy inaczej, Webb, Hensher i Sumner siedzieli z neutralnym wyrazem twarzy, z którego Shiv nie potrafiła niczego wyczytać.

To również zrobiło na niej spore wrażenie.

Zachowanie terapeutki, z którą miała sesje przez parę ostatnich miesięcy, było zawsze tak poważne, tak typowe, że wrzucenie teczek do śmietnika było jak podmuch świeżego powietrza. Może to miejsce naprawdę jest inne. Może ta metoda leczenia okaże się skuteczna.

Asystent Webb ciągle mówi. Shiv analizuje harmonogram. Wytłuszczonym drukiem oznaczono „kluczowe zajęcia terapeutyczne”.

Poranek

Popołudnie

Wieczór

7.00 – pobudka

13.00 – obiad

18.00 – Czas

dla Przyjaciela

8.00 – śniadanie

14.00 – Rozmawianie

19.30 – kolacja

9.00 – Chodzenie

15.30 – przerwa

20.30 – Relaks

10.30 – przerwa

16.00 – Pisanie

22.30 – cisza nocna

11.00 – Tworzenie

– Nazwy zajęć mówią same za siebie – tłumaczy pan Webb z cieniem uśmiechu na ustach. – Podczas Chodzenia chodzimy, podczas Tworzenia tworzymy różne rzeczy, podczas Rozmawiania rozmawiamy, a podczas Pisania piszemy.

– A co oznacza Czas dla Przyjaciela? – pyta Caron.

– Zostaliście połączeni w trzy pary, trzy zestawy „Przyjaciół”. Macie za zadanie zaprzyjaźnić się ze swoim Przyjacielem, dobrze go poznać, spędzać z nim czas, opiekować się nim. Kiedy będziecie się kiepsko czuli, wasz Przyjaciel pomoże wam wyjść z dołka.

– A co, jeśli mój Przyjaciel też będzie zdołowany? – To znowu Caron.

Wtrąca się Mikey. Poirytowany, mówi do siebie:

– Ja nie chcę żadnego Przyjaciela.

– Przykro mi, Mikey, ale już masz kogoś do pary, podobnie jak pozostali rezydenci. – Pan Webb spogląda na kartkę, którą trzyma. – Tak, jesteś na liście. Mikey i... – podnosi wzrok – która z was to Siobhan?

– Miałaś pecha – mówi Caron do Shiv podczas Relaksu.

– Moim zdaniem jest całkiem słodki.

– *Słodki?* Mikey?

Siedzą na poduszkach w świetlicy.

Zanim pan Webb zakończył spotkanie powitalne, zasugerował, że dzisiejszy Relaks jest idealną okazją do zapoznania się ze swoim Przyjacielem. Nikt go jednak nie posłuchał. Dziewczyna, której imię – Helen – wcześniej wyleciało Shiv z głowy, gra sama w bilard. Ma czternaście lat, ale jest tak niska, że jej nogi odrywają się od podłogi za

każdym razem, gdy kładzie się na stole, żeby uderzyć kijem w bilę. Została połączona w parę z Dochertym, który zamiast przyjść do świetlicy poszedł pobiegać. Helen zdaje się tym zupełnie nie przejmować. Jej długie warkocze, skośne oczy i spokojna aura, jaką emanuje, sprawiają, że przywodzi na myśl indiańską szamankę.

Caron została połączona w parę z Lucy, która zniknęła w łazience, wcześniej obiecując, że za chwilę do nich dołączy. Od tamtego momentu minęło już pół godziny. Z kolei Mikey pierwszy wyszedł z Błękitnego Pokoju, nie odzywając się do nikogo ani słowem.

– Powinniśmy ich poprosić, żeby połączyli nas w parę – mówi Caron do Shiv.

Caron jest w paskudnym humorze. Po pierwsze, cierpi z powodu głodu nikotynowego; musi racjonować swoje ukryte zapasy papierosów. Po drugie, jest zawiedziona świetlicą. („Nie ma telewizora, nie ma odtwarzacza DVD, żadnego sprzętu, żeby puścić jakąś muzę... Tylko stoły do bilarda, ping-ponga i gry planszowe. Można zdechnąć z nudów”).

– Zagrajmy w coś – proponuje Shiv. – Żebyś przestała myśleć o paleniu, co? – Przebiega wzorkiem po półce z grami planszowymi. – Co powiesz na Scrabble?

Caron kręci głową.

– Tych plastikowych żetonów nie da się palić. Po prostu się topią.

Wreszcie zgadzają się na Buckaroo. Do gry wciągają Helen. Grają tak długo, pękając co chwila ze śmiechu, aż zjawia się sanitariusz i oświadcza, że muszą już wracać na górę, ponieważ zbliża się cisza nocna.

– Będzie dobrze – mówi Shiv, gdy zatrzymują się pod drzwiami Caron. Jej twarz jest obolała od śmiechu.

– Myślałam, że ty i terapia nie jesteście najlepszą parą?

– Lubię doktor Pollard. Wydaje się... inna. – Shiv chce dać szansę tej klinice, ponieważ alternatywa... Cóż, nie ma żadnej alternatywy. Przypomina sobie, jak te czki jedna za drugą lądowały w koszu na śmieci. – Caron, ta klinika... to miejsce dla mnie.

Caron przez chwilę milczy.

– Dżizas, dziewczyno – odzywa się wreszcie, ściskając jej ramię. –

Jeśli będziesz to sobie często powtarzać, naprawdę zaczniesz w to wierzyć.

W nocy Shiv ma wrażenie, że w jej sypialni zrobiło się jaśniej. To nie może być górna lampa; wyłączyła się automatycznie o 22.30. Siada w łóżku i dostrzega światło po drugiej stronie pokoju – jasny prostokąt na ścianie. Jakiś obraz.

Wyślizguje się spod kołdry, żeby to sprawdzić, lecz światło nagle znika. Jest zaspana, więc dopiero po chwili przychodzi jej do głowy, że pewnie zasłoniła promień projektora. Odwraca się. Tak, zamontowane pod sufitem urządzenie, które wcześniej wzięła za czujnik dymu, emituje cieniutką wiązkę światła padającą na jej T-shirt.

Odsuwa się na bok, żeby obraz znowu się pojawił. Nachyla się, żeby spojrzeć z bliska. Zdjęcie jest niewyraźne i ziarniste, ponieważ zostało przeskalowane.

Declan.

W masce do nurkowania, płetwach i czerwonych kąpielówkach. Uchwycony w powietrzu, gdy zeskakuje z łódki do wody.

Podczas śniadania Shiv dowiaduje się, że *wszyscy* zostali w nocy obudzeni przez wyświetlone na ścianie zdjęcie bliskiej osoby, którą stracili.

Nie rozmawiają o niczym innym.

Albo nie rozmawiają wcale. Niektórzy rezydenci – zwłaszcza Lucy – są zbyt przygnębieni, żeby dyskutować o tym, co się stało. Caron wygląda okropnie: bez makijażu, z rozczochranymi włosami i opuchniętymi oczami. Wygląda na to, że nikt nie spał zbyt długo. Docherty jest wściekły. Chce wiedzieć, jakim prawem klinika zrobiła im taki numer bez uprzedzenia. I przede wszystkim – w jaki sposób zdobyli te zdjęcia.

Shiv wie, skąd wzięli tę fotografię Declana. To jedno z niezliczonych zdjęć, które mama zrobiła na Kyritos, co oznacza, że to ona udostępniła je ludziom z kliniki. Albo, co bardziej prawdopodobne, zrobił to tato. Pewnie nawet nie wiedzieli, w jaki sposób fotografia zostanie wykorzystana.

Zdjęcie wyświetlało się na ścianie przez mniej więcej godzinę. Shiv ani na chwilę nie odrywała od niego wzroku, siedząc przed nim na fotelu, jakby oglądała film w telewizorze. Nawet gdy projekcja się skończyła i pokój znowu pogrążył się w całkowitej ciemności, dalej tkwiła przed ścianą i dopiero po jakimś czasie wczołgała się pod kołdrę. Potem długo nie mogła zasnąć. Przez to jest wykończona, tak samo jak inni.

Czy czuje się jednak przygnębiona? Albo wściekła?

Nie umie powiedzieć, co dokładnie odczuwa. Wie tylko, że gdy zdjęcie jej brata zniknęło, rozpaczliwie zapragnęła, żeby znowu się pojawiło.

Tuż przed dziewiątą w stolówce zjawiają się Webb i Hensher, żeby zabrać rezydentów na pierwsze zajęcia: Chodzenie.

Nie wspominają ani słowem o zdjęciach wyświetlanych w nocy.

– Wszystko, co robimy, jest częścią waszej terapii – rzuca krótko pan Webb w odpowiedzi na pytania, którymi go bombardują.

Przy akompaniamencie narzekań wyprowadzają ich z sali i wiodą



długim korytarzem na tyłach budynku. Docierają do drzwi, przez które Shiv wyszła wczoraj z Caron na spacer po ogrodzie, co zresztą w tej chwili wydaje się jedynie odległym wspomnieniem.

Na szafce ustawionej pod ścianą znajdują się starannie ułożone żółte kombinezony oraz kalosze w różnych kolorach i rozmiarach.

– Dziewczeta, tam możecie się przebrać – mówi Webb, wskazując drzwi oznaczone napisem „Pralnia”. – Mikey i Docherty, skorzystajcie z pomieszczenia gospodarczego. – Pokazuje głową inne drzwi po drugiej stronie korytarza. – Na kombinezonach i kaloszach znajdziecie swoje nazwiska, więc rozmiary powinny być odpowiednie.

– *Kombinezony?* – pyta Caron z niedowierzaniem. – Na dodatek *żółte?*

Gdy wszyscy mają już na sobie przydzielone im ubrania, opiekunowie prowadzą całą szóstkę na zewnątrz. Rezydenci wychodzą na dwór w jaskrawych kombinezonach niczym oskarżeni o działalność terrorystyczną więźniowie wypuszczeni na spacerniak.

Teraz mówi pan Hensher, ten rudy. Jest mniej pewny siebie niż Webb. Ma nosowy, nieco piskliwy głos. Gdy tylko się odzywa, po jego szyi rozprzestrzenia się rumieniec wyglądający jak poparzenie.

– Setki lat temu ten budynek, Eden Hall, był klasztorem – tłumaczy, jakby recytował. – Nasze pierwsze dzisiejsze zajęcia, Chodzenie, opierają się na medytacji spacerowej, którą praktykował zakon mnichów zamieszkujących niegdyś to miejsce. – Przygląda dłonią swoją rudą czuprynę, z której osypują się płatki łupieżu. – A więc – odchrząkuje głośno – przez półtorej godziny będziemy spacerować po terenie kliniki.

– *Półtorej godziny?* – powtarza Caron. – To więcej niż spacerowałam przez całe swoje życie.

Kilka osób chichocze pod nosem. Shiv też jest rozbawiona. Cieszy się, że Caron znowu jest sobą: przebojową i sarkastyczną dziewczyną.

– Półtorej godziny – powtarza Hensher. Jest wyraźnie wytrącony z równowagi, ale próbuje trzymać się swojego scenariusza. – Będziemy szli gęsiego za panem Webbem. Dopasujcie do niego swoje tempo. Nie maszerujcie ani szybciej, ani wolniej oraz zachowujcie dwumetrowy odstęp za osobą, która idzie przed wami. – Po chwili dodaje: – Będziemy

maszerowali w milczeniu. Całkowitym milczeniu – podkreśla.

– To wszystko? – pyta Mikey. – Mamy po prostu chodzić?

– Medytacja spacerowa – wtrąca się pan Webb – na tym właśnie polega. Chodzisz i... myślisz.

– O czym? – pyta ponownie Mikey. Jego głos jest ostry, wręcz agresywny.

– Możesz pomyśleć o swojej siostrze, Mikey – odpowiada pan Webb rzeczowym tonem. – To samo tyczy się was wszystkich.

Chodzenie jest okazją do rozmyślania o osobie, którą straciliście.

Słońce wstało już parę godzin temu, lecz Shiv ma wrażenie, że dzień dopiero się zaczyna. Z nieba sączy się słabe światło, powietrze jest chłodne, a trawa wilgotna od rosy. Trasa prowadzi ich ścieżką wijącą się w kształt ósemki wokół ogrodów i wzgórz Eden Hall, porośniętych drzewami i pokrytych polami. W pewnym momencie zbliża się do jeziora, ale Shiv z ulgą zauważa, że jest ono odgródzone drucianą siatką, na której wisi tabliczka „UWAGA! GŁĘBOKA WODA”.

Wbija wzrok w ziemię i na tym odcinku trasy nie patrzy na boki.

Z początku spacerują w tak powolnym tempie, że nawet nie jest w stanie się rozgrzać czy rozruszać. Ma wrażenie, że jej ręce i nogi są sztywne i ociężałe. Nie potrafi wpaść w rytm. Widzi, że innym też to nie wychodzi. Może czują się zakłopotani tym, że robią coś tak dziwnego, a może po prostu poruszanie się w bardzo wolnym tempie jest trudniejsze, niż mogłoby się wydawać, zwłaszcza gdy trzeba iść gęsiego i dostrajać swój krok do kroku pozostałych siedmiu osób.

Shiv powinna rozmyślać o Declanie, ale ciągle ma przed oczami minę Mikeya, gdy pan Webb wspomniał o jego zmarłej siostrze.

Tak więc oboje, ona i jej Przyjaciół, stracili kogoś z rodzeństwa.

Mikey idzie z przodu, dwie osoby przed nią. Zachowuje się jak mim, który odgrywa uczucie gniewu: wymachuje rękami, energicznie przebiera nogami, jakby kosił nimi niewidzialne kwiaty. Co chwila wychodzi poza linię albo za bardzo zbliża się do osoby idącej przed nim (to dziewczyna-szamanka, Helen). Przywołuje na myśl sfrustrowanego kierowcę, który desperacko chce wyprzedzić samochody powoli sunące w korku.

Dopiero podczas drugiego okrążenia Shiv przestaje myśleć o tym,

co ją rozprasza. Skupia się na powtarzaniu tej prostej, hipnotycznej czynności – stawianiu jednej nogi przed drugą. Wreszcie łapie rytm. Jej nogi i ręce stają się lekkie, a umysł się wyłącza. Nie zaczyna medytować, nie wchodzi w żaden trans ani nic w tym stylu. Raczej daje o sobie znać brak snu. Jest zmęczona, półprzytomna, porusza się jak na autopilocie.

Tak czy inaczej, jest to całkiem przyjemne. Dziwnie kojące, a zarazem pobudzające.

W pewnym sensie Chodzenie przypomina jej wycieczki, na które zabierała ich ciocia Rosh, gdy odwiedzali ją w czasie wakacji. Z tą różnicą, że wtedy bez przerwy gadali i przystawali, żeby wdrapać się na drzewo (ona i Declan) albo obserwować ptaki (ciocia Rosh).

Podczas trzeciego okrążenia w pewnym momencie pan Webb każe się wszystkim zatrzymać. Shiv nie może uwierzyć, że minęło już półtorej godziny. Wydaje się jej, że zaczęli spacerować dziesięć minut temu.

Chodzenie kończy się na leśnej polanie porośniętej trawą.

Caron pada na ziemię z teatralnym jękiem, jakby przez półtorej godziny biegała, a nie spacerowała.

– Gdzie są koce ratunkowe? Napoje energetyczne?

Napoje są. Webb i Hensher wyciągają ze swoich plecaków butelki z wodą i rozdają je rezydentom, dodając do tego batony muesli.

Shiv siada na trawie obok Caron. Lucy kładzie się na plecach, jakby zamierzała się opalać. Mikey stoi na skraju polany, szurając butami o leśne poszycie i mrużąc coś do siebie pod nosem. Docherty również izoluje się od grupy. Siedzi odwrócony do nich plecami na powalonym drzewie przy ścieżce obsypanej korą.

– Pół godziny przerwy – oznajmia pan Webb.

Caron odwija z papierka swój baton.

– Dżizas, co to jest? Wygląda jak karma dla chomika posklejana klejem.

– Nie klejem – mówi Shiv – tylko glutami.

– O, fajnie – śmieje się Caron. – Dzięki za informację, Shiv.

– Nie ma za co.

Siedzą na trawie obok siebie, dotykając się łokciami. Biały motyl wykonuje powietrzny taniec, przelatując z jednej strony polany na drugą.

Shiv wgrzyza się w baton. Smakuje lepiej, niż wygląda, więc zjada go trzema kęsami i popija obfitym łykiem wody, czując na sobie wzrok Caron. Spodziewa się po niej jakiegoś żartobliwego komentarza, lecz zamiast tego starsza koleżanka mówi ściszym głosem:

– Prawie nic nie jadłam. Po tamtym...

– Ja też nie – odpowiada Shiv równie cicho, patrząc jej w oczy.

– Schudłam jakieś dziesięć kilo.

Shiv kiwa głową.

– Moja terapeutka nazwała to manifestacją poczucia winy: skoro mój brat nie może jeść, to dlaczego ja miałabym to robić? – Zgniata opakowanie po batonie, po czym znów je rozprostowuje. – Ale ja po prostu nie widziałam w niczym sensu. Nawet w jedzeniu.

– Może próbowałaś do niego dołączyć? – sugeruje Caron.

– Dołączyć?

– Zagłodzić się na śmieć.

– Aha. – Shiv rozgląda się, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie podsłuchuje.

– Miałaś kiedyś ochotę zrobić sobie... krzywdę? – pyta Caron.

Shiv wpatruje się w drzewa.

– Tak naprawdę nigdy nie próbowałam.

– A ja tak. Przedawkowałam antydepresanty. – Caron lekko pociera dłonią jej plecy, jakby to Shiv właśnie przyznała, że próbowała ze sobą skończyć. – Chcesz mojej rady? Niech nigdy nie wpadnie ci do głowy pomysł, że płukanie żołądka to miły sposób spędzenia wieczoru.

W oddali ktoś rąbie drewno. Odgłos uderzania siekierą niesie się echem po lesie, lecz trudno określić, z której strony dobiega. Rano z okna swojego pokoju Shiv widziała jednego z ogrodników pracującego w sadzie. Był to starszy mężczyzna, który przypominał jej Panosa z rejsu na Kyritos. Pewnie wcale nie byli do siebie podobni, ale tak się jej skojarzyło ze względu na zdjęcie wyświetlane w nocy.

Obok niej Caron siedzi w milczeniu. Łamie swój baton na kawałeczki i pozwala im się rozsypać na trawie pomiędzy swoimi stopami.

– Caron... – zaczyna Shiv, lecz urywa.

– Hmm?

Do tej pory Shiv nie znalazła odpowiedniego momentu ani nie zebrała w sobie dość odwagi, żeby zadać to pytanie. Zadaje je teraz, łagodnym głosem ocierającym się o szept:

– Kogo straciłaś?

Caron nie odpowiada. Nawet nie podnosi wzroku.

– Nie powinnam pytać?

– Moją najlepszą przyjaciółkę, Melanie.

Caron wypuszcza z dłoni ostatnie okruszki. Siedzi ze spuszczoną głową, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Poszłyśmy razem na imprezę, gdzie krążyły piguły, a ja... – urywa, bierze oddech. Kręcąc głową, zaczyna ponownie: – Wzięłam jedną i namówiłam Mel, żeby też połknęła. Nigdy wcześniej nie brała ecstasy ani innych prochów.

Shiv nie pyta o nic więcej. Caron wygląda na udręczoną, załamana. Zdziorna, pewna siebie Caron to tylko maska, za którą chowa się ta dziewczyna.

– To był jej pierwszy raz – podkreśla znowu. – Cholernie niesprawiedliwe, co?

Shiv mogłaby ścisnąć jej rękę, objąć ją ramieniem albo pogłaskać jej plecy, tak jak wcześniej zrobiła to Caron, ale jest od niej dwa lata młodsza i ma wrażenie, że byłoby to niestosowne. Więc zamiast tego pozwala jedynie, żeby ich łokcie znowu się zetknęły.

Pan Hensher chodzi dookoła grupy i zbiera opakowania po batonach i puste butelki, gdy nagle...

Pierwszy reaguje Webb. Potem Hensher, rzucając na ziemię zebrane śmieci.

Biegną w stronę Mikeya, który stoi na skraju polany i z całych sił uderza głową w drzewo.

Trzeciego dnia pobytu w Grecji tato czuł się już na tyle zrelaksowany, że gdy rano wyjeżdżali z willi, zaczął śpiewać. Wyjątkowo nikt go nie błagał, żeby się uciszył i włączył muzykę z iPod'a. Przez spuszczone szyby wlatywał zapach wiosennych kwiatów, mieszający się z wonią chloru, którą wydzielają ich włosy, wciąż wilgotne od pływania przed śniadaniem. Wszyscy byli w dobrym nastroju, przyjemnym niczym ciepła bryza owiewająca skórę Shiv.

Przyjrzała się swoim rękom, sprawdzając, jak pogłębia się jej opalenizna.

– A więc o co chodzi z tymi żółwiami? – zapytała.

– Miałam gdzieś ulotkę – odpowiedziała mama.

– Ja ją mam – odezwał się Declan, wyciągając broszurkę.

To on wpadł na pomysł, żeby wybrać się na tę wycieczkę. Każde z nich napisało na karteczce swoją propozycję, jak spędzić ten dzień, a potem odbyło się głosowanie. „Demokratyczny proces, tutaj, w kolebce demokracji” – rzekł tato uroczystym tonem. I tak oto siedzieli teraz w aucie, jadąc do portu, żeby wziąć udział w kilkugodzinnym rejsie łodzią rybacką, z obiadem, oglądaniem żółwi i nurkowaniem.

Declan czytał na głos:

– „Pozwól, aby rejsy turystyczne Przygoda z Posejdonem zabrały cię na...”

– Wcale tak się nie nazywają – przerwała mu Shiv.

Pokazał jej ulotkę. A jednak: Przygoda z Posejdonem. Zaśmiała się głośno.

– Więc uderzy w nas wielka fala, łódź wywróci się do góry dnem...

– Nie, nie – odezwał się tato. – Takie atrakcje zapewniają na całodniowym rejsie, a my wybraliśmy ten krótszy.

– To był taki smutny film – westchnęła mama. – Tamta scena, w której główna bohaterka utonęła... Jak nazywała się ta aktorka? Taka postawna, z kręconymi włosami.

– Shelley Winters – przyszedł jej z pomocą tato. Mama zawsze zapominała nazwiska aktorów, a tato zawsze wiedział, kogo miała na myśli. – Ale ona wcale nie utonęła. Zmarła na zawał, bo zbyt długo

pływała pod wodą<sup>1</sup>.

– Wracając do istotnych spraw – przerwał im Declan, machając ulotką. Odchrząknął i znowu zaczął czytać aktorskim głosem: – „Pozwól, aby rejsy turystyczne Przygoda z Posejdonem zabrały cię w niezapomnianą podróż...” Bla, bla, bla... Dobra, tu jest ciekawiej: „Nasza łódź z przeszklonym dnem umożliwi ci oglądanie z bliska żółwi, z których słynie ta wyspa”. Literówka. Powinno być „wyspa”.

– Czy możemy prosić o wersję bez uwag redakcyjnych? – rzuciła Shiv.

Declan spojrział na nią zza okularów przeciwsłonecznych.

– Shivoloppoulos, raczyłabyś łaskawie mi nie przerywać? – Znowu zaczął czytać: – „Te magiczne, prehistoryczne stworzenia od zarania dziejów zamieszkują tutejsze wody. Dożywają nawet tysiąca lat i...”

– Tysiąca lat? Co za bajeczki! – zachnął się tato.

– ...,i osiągają rozmiar do dziesięciu metrów długości”.

– Dziesięć metrów?

– „Jeśli dopisze ci szczęście – czytał dalej Declan – możesz nawet zostać świadkiem sceny, jak żółw atakuje delfina, który zachował się nierozsądnie i wtargnął na jego terytorium. Pojedynki tych dwóch morskich bestii mogą trwać godzinami, barwiąc wodę szkarłatną krwią, podczas gdy miejscowi rybacy gromadzą się, aby oglądać to widowisko i robić zakłady, kto zwycięży”.

– Czytaj, a nie zmyślaj – powiedział rozbawiony tato.

Zjeżdżali z góry krętą, niebezpieczną drogą na skraju urwis-tego klifu, prowadzącą do portu oddalonego o kilka kilometrów od ich willi. Promienie słońca zamieniały obłoki kurzu wzbijane przez koła samochodu w złotawą mgiełkę. Shiv starała się nie patrzeć za barierkę, za którą otwierała się przepaść. Dopiero daleko w dole malowało się morze.

– „Według mitologii greckiej – ciągnął dalej Declan – pierwszego żółwia stworzył Posejdon, potężny bóg, który porzucił jednego ze swych synów na morzu, przybitego do odwróconej tarczy, aby dryfował po falach za karę, iż dopuścił się stosunku płciowego z wydrą”.

– Och, Declan, przestań! – zawołała mama, próbując się nie śmiać.  
– To odrażające.

Przy drewnianym pomoście, na wodzie łagodnie kołysała się zacumowana łódź, do której ustawiła się już kolejka wczasowiczów – głównie Niemców i Brytyjczyków – gotowych do wejścia na pokład. Shiv, Declan i ich rodzice stanęli na końcu.

– Posejdon IV – tato przeczytał napis na przybrudzonej, pożółkłym kadłubie. – Wolę nie pytać, co się stało z trzema poprzednimi.

Brytyjczycy w kolejce się zaśmiali.

Zapach słonej wody, wodorostów i ryb kręcił w nosie, ale nie był nieprzyjemny. Przydałoby się trochę wiatru. Nawet przez gumowe japonki Shiv czuła, jak rozpalone deski parzą jej stopy. Krzyczały mewy latające nad ich głowami i skrzypiały słupki, do których przywiązany był Posejdon IV. Na tyłach łodzi przy linach krzątał się starszy mężczyzna (typowy wilk morski z pomarszczoną, opaloną skórą, zwichrzonymi, ciemnymi włosami i pokaźną brodą). Na pokładzie był też drugi, znacznie młodszy mężczyzna: bardzo wysoki, z szerokimi ramionami opiętymi cienkim materiałem żółtej koszulki polo. Odwrócony tyłem do czekających turystów, z wprawą sortował maski i płetwy, wrzucając je do dwóch plastikowych pojemników. Shiv złapała się na tym, że patrzy na jego umięśnione, oliwkowe łydki, które co chwila napinał, żeby nie stracić równowagi na kołyszącej się łodzi.

– Witam, witam! – odezwał się ten z brodą, gdy skończył się zajmować linami. Z uśmiechem, którym obdarzał zapewne wszystkie grupki turystów, zapytał: – Jesteście państwo gotowi na oglądanie żółwi?

W odpowiedzi usłyszał chóralne, nieśmiałe „tak”.

– Świetnie. – Podał rękę pierwszemu z pasażerów. – Zapraszam pana na pokład. Tylko proszę wchodzić ostrożnie, dobrze?

Shiv przestała go słuchać, bo na tył łodzi przeszedł młody mężczyzna, żeby także pomagać turystom we wchodzeniu na pokład. Miał czarne, kręcone włosy, brązowe oczy, wąskie biodra; poruszał się z niezwykłą gracją. Wyglądał na osiemnaście lub dziewiętnaście lat. *Ale ciacho!*

Gdy kolejka posunęła się do przodu, Shiv miała ochotę ustawić się tak, żeby to on pomógł jej przy wsiadaniu. Wzięłby ją za rękę, ich spojrzenia by się spotkały... Nie, jednak zmieniła zdanie. Pomyślała, że



skoro spędzi na łodzi następne trzy godziny, nie musi aż tak pchać mu się pod nos. Przynajmniej na razie. Stała więc w kolejce do starego brodacza. Podziękowała z uśmiechem, gdy pomógł jej się dostać na pokład. Usiadła razem z innymi turystami i zapozowała do zdjęć, które zaczęła pstrykać jej mama. Przez cały czas ani razu nawet nie spojrzała w stronę młodego Greka.

Stary brodacz miał na imię Panos, a młody chłopak – Nikos. Ojciec i syn. Panos wypuścił łódź na morze, podczas gdy Nikos zajmował się zbieraniem opłaty za rejs, recytowaniem instrukcji bezpieczeństwa oraz pełnieniem funkcji przewodnika wycieczki. Bardzo dobrze mówił po angielsku. Jak na swój wiek był bardzo pewny siebie i czarujący. Sprawiał wrażenie miłego, porządnego chłopaka, a nie flirciarza zakochanego we własnym odbiciu w lustrze. Do każdego pasażera, bez względu na płeć czy wiek, mówił tym samym, ciepłym tonem z tym samym, szerokim uśmiechem. Znajdujące się na pokładzie dzieci próbował zabawiać i rozśmieszać, natomiast małżeństwo emerytów z Kent („Interesują nas żółwie, a nie nurkowanie”) traktował z troskliwością i szacunkiem.

Jedyny niezręczny moment nastąpił wtedy, gdy zauważył T-shirt Declana (ten z cytatem z *Buszującego w zbożu*) i poprosił go, żeby pokazał napis reszcie pasażerów.

– Każdy miłośnik Salingera jest moim przyjacielem – wyjaśnił Nikos, podając rękę Declanowi, który nie tylko oblał się rumieńcem, ale też, co nigdy mu się nie zdarzało, zupełnie zaniemówił.

Natomiast na Shiv Nikos zwracał dokładnie tyle samo uwagi co na pozostałych turystów.

Podczas oglądania żółwi na jakiś czas prawie o nim zapomniała. Razem z innymi pasażerami patrzyła jak zahipnotyzowana na te osobliwie piękne stworzenia. Omiatała spojrzeniem morze, szukając głowy gada wynurzającej się na powierzchnię, albo patrzyła w dół i obserwowała, jak żółw przepływa pod przeszkłonym dnem łodzi.

Po przerwie na obiad popłynęli dalej wzdłuż wybrzeża. Tym razem za sterem stał Nikos, podczas gdy jego ojciec siedział na dziobie łodzi, paląc papierosa. Shiv nie miała okazji, żeby zerkać na Nikosa tak często, jak by tego chciała. Od momentu gdy pierwszy raz na niego spojrzała,

czuła w sercu dziwne drzenie. Gdyby ten rejs nie był tak wspaniałym przeżyciem, popadłaby pewnie w przygnębienie. Ale oglądanie żółwi, woda migocząca w słońcu, kojące kołysanie łodzi, malownicze klify, promienie słońca oblewające jej skórę... W taki dzień po prostu nie mogła nie być niewiarygodnie szczęśliwa.

Łódź skręciła za cyplem w kształcie palca i wpłynęła do małej zatoczki, gdzie woda morską zrobiła się spokojna i nieruchoma jak w stawie. Nikos zatrzymał Posejdoną IV i zgasił silnik, a jego ojciec zarzucił kotwicę.

– Włosy wplątały ci się w zapięcie.

Shiv wyjąkała „dziękuję”, gdy Nikos jedną dłonią przytrzymał tył jej głowy, a drugą delikatnie uwolnił uwięzione kosmyki włosów.

Stać tak blisko niego, tylko w bikini... *Jezu!*

Planowała wziąć jednoczęściowy kostium kąpielowy, ale bezmyślnie wykąpała się w nim rano w basenie. Gdy wyjeżdżali, kostium był jeszcze wilgotny, więc musiała z niego zrezygnować i włożyć pod ubranie dwuczęściowe bikini, tak skąpe, że nadawało się raczej do opalania niż do pływania.

Shiv przygotowywała się do nurkowania jako ostatnia; reszta pasażerów była w wodzie albo właśnie do niej wchodziła. Ale tylko Shiv nie poradziła sobie z założeniem maski na głowę.

– Dobra, gotowe – powiedział Nikos, poprawiając jej maskę i rurkę. – Robiłaś to już kiedyś?

– Tak, parę razy.

– W takim razie baw się dobrze.

Zrobiła smutną minę, co nie było łatwe w masce na twarzy.

– Chciałabym, ale... nie mogę.

– Jak to? – zapytał zdziwiony.

Wskazała ręką swoje stopy.

– Stoisz na moich płetwach.

Zaśmiał się i zrobił krok do tyłu, rozkładając ręce w geście przeprosin.

To była ich pierwsza rozmowa. Druga miała miejsce po nurkowaniu, gdy łódź już zawracała do portu.

Przy sterze znowu stanął Panos, Nikos pełnił zaś obowiązki

przewodnika, opowiadając o zwyczajach żółwi podczas składania jaj. W pewnym momencie wyjął zasuszonego żółwika, który nie zdołał pokonać wędrówki od gniazda do morza. Drobnutkie ciało przechodziło z rąk do rąk. Pasażerowie spoglądali na nie z mieszaniną odrazy i fascynacji, natomiast dla Shiv była to zarazem najsmutniejsza i najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziała.

Wkrótce rejs miał się skończyć. Czuła w sercu bolesne ukłucie. Ukradkiem obserwowała, jak Nikos stoi przy burcie i zmienia pozycję gumowych odbijaczy, przygotowując Posejdona do cumowania.

Zauważyła, że jeden z pasażerów zostawił na siedzeniu żółwika, którego wcześniej oglądali. Rozejrzała się dookoła, żeby sprawdzić, czy ktoś na nią patrzy. Nie, nikt nie patrzył. Rodzice byli pochłonięci rozmową z parą starszków z Kent, a Declan nachylał się przez barierkę z wyciągniętą ręką, łapiąc krople morskiej wody.

– Zapomniałeś o nim – odezwała się do Nikosa, trzymając na dłoni zasuszone stworzenie.

Nikos przerwał pracę, wyprostował się i podziękował. Biorąc od niej żółwia, musnął jej dłoń paznokciem.

– Nigdy bym nie pomyślała, że coś, co jest martwe, może być tak piękne.

Uśmiechnął się, ale nic nie powiedział.

– W Oksfordzie jest muzeum – ciągnęła dalej – gdzie można zobaczyć takie malutkie główki. To znaczy to są ludzkie głowy, tylko że się skurczyły do rozmiaru jabłka i, sama nie wiem, zostały chyba zakonserwowane. – Poczula, że gada bez sensu. Wzruszyła ramionami. – Tak czy inaczej, ten mały żółwik skojarzył mi się z tamtymi główkami.

– Niektórzy nie wierzą, że jest prawdziwy – odezwał się Nikos, wkładając żółwia z powrotem do plastikowego pudełka.

– Ale jest prawdziwy, tak?

– Tak. – Wsunął pudełko do kieszeni w szortach. – Podobało ci się nurkowanie?

Skinęła głową. Miała tak ściśnięte gardło, że ledwie była w stanie mówić. Po wyjściu z wody owinęła biodra ręcznikiem plażowym i założyła T-shirt, który teraz był tak wilgotny, że aż przezroczysty. Domyślała się również, że jej włosy są rozczochrane i pozlepiane od

morskiej wody.

– Tak przy okazji mam na imię Shiv – zdołała z siebie wydusić. –  
To zdrobnienie od Siobhan.

– Irlandka?

– Imię jest irlandzkie. A ja nie. Jestem Angielką. – Desperacko próbowała wymyślić coś, co mogłaby powiedzieć, żeby podtrzymać rozmowę.

Nikos ją w tym wyręczył.

– Mieszkacie po tej stronie wyspy? – zapytał.

– Tak, kilka kilometrów od morza – odparła i podała nazwę wioski, w której wynajmowali willę.

– Znam tamte okolice. Moja babcia tam mieszka.

Znowu zaczął pracować. Poluzował jedną z lin, popuścił ją trochę i ponownie przywiązał. Shiv zauważyła na jego prawym kciuku bladą bliznę w kształcie księżycy. Czarne włoski na jego nadgarstku kręciły się od wilgoci, a skóra lśniła od ziarenek zaschniętej soli morskiej.

Nie mogąc uwierzyć, że to robi, podała mu adres ich willi. Nikos znowu przestał na chwilę pracować i spojrzał na nią przez ramię.

– Nie obrazisz się, Shiv, jeśli zapytam, ile masz lat?

– Siedemnaście – odparła bez wahania.

Kolejne zajęcia, Tworzenie, odbywają się bez Mikeya. I bez pana Webba, który odprowadził go do kliniki. Wraz z drugim asystentem powstrzymali chłopaka przed rozwaleniem sobie mózgu, ale dopiero po jakimś czasie zdołali go uspokoić i przekonać, że musi dać się obejrzeć pielęgniarce. Na jednym łuku brwiowym miał wielką, otwartą ranę, a czoło całe we krwi i kawałkach kory.

Shiv nie mogła uwierzyć, że nie stracił przytomności od tak mocnego uderzenia głową w drzewo.

Gdy pan Hensher zabrał resztę grupy z polany i poprowadził ich do miejsca, gdzie miało się odbyć Tworzenie, trwali w niemym szoku. Wydawało się nawet, że są bardziej oszołomieni niż Mikey.

W ciszy docierają do małej łączki wypełnionej ławami piknikowymi. Wchodzą do pomalowanego na zielono, dużego kontenera i zabierają bloki rysunkowe, ołówki i deski kreślarskie, po czym wracają na zewnątrz i zajmują miejsca przy drewnianych stołach. W milczeniu słuchają, jak pan Hensher tłumaczy, na czym będą polegały te zajęcia.

Mają za zadanie narysować twarz osoby, którą stracili.

– Nie przejmujcie się, jeśli nie potraficie dobrze rysować – uspokaja ich. – Portret nie musi być realistyczny. Niech każdy z was po prostu przeniesie na papier to, co widzi, kiedy myśli o tej osobie. Chodzi o wasze wyobrażenia, wspomnienia.

Podkreśla, że podobnie jak podczas Chodzenia, rozmawianie jest zabronione.

– Jakież pytania?

Lucy podnosi rękę.

– Mają wyglądać tak, jak wyglądali za życia? Czy po śmierci?

Gdy dwie godziny później wracają przez las do Eden Hall, Lucy dołącza się do Shiv i Caron. Przeprasza, że wczoraj wieczorem nie zjawiała się w świetlicy. Mówi, że bolał ją brzuch. Caron nie ma do niej pretensji, ale widać, że nie wierzy w jej wymówkę. Droga jest wąska, ledwo się na niej mieszczą, idąc we trzy obok siebie. Gdy ścieżka zaczyna prowadzić pod górę, Shiv i Caron dostrajają swoje tempo do kroku zaspanej Lucy. Rozmowa szybko schodzi na temat tego, co się

wydarzyło na polanie.

– Myślicie, że Mikey dobrze się czuje? – pyta Lucy. – Miał krwawą miazgę zamiast twarzy.

– I tak ma większy problem z *głową* niż z *twarzą* – kwituje Caron.

– Tak samo jak ja – odzywa się Shiv ostrym tonem, który ją samą zaskakuje. – Tak samo jak my wszyscy.

– Spodziewałaś się po mnie więcej empatii, nie? – pyta Caron. – Sorry, jeśli zabrzmie jak egoistka, ale jestem tutaj po to, żeby pomóc sobie, a nie jemu.

– Pacjenci psychiatryczni są jak rozbitkowie, których statek poszedł na dno, lecz nie płyną na jednej łodzi ratunkowej – mówi Shiv. – Wszyscy dryfują po tym samym morzu, ale każdy siedzi we własnej łódce.

Lucy i Caron wytrzeszczają oczy.

– Przeczytałam coś takiego w internecie – wyjaśnia, wzruszając ramionami.

– Czytasz o tym wszystkim w sieci? – pyta Caron. – Dżizas, nic dziwnego, że masz zryty берет.

Wszystkie trzy wybuchają śmiechem, przyciągając zdziwione spojrzenia reszty rezydentów wracających na obiad do Eden Hall.

Obsypana korą ścieżka zaczyna zbiegać w dół. Przez gałęzie drzew przebijają się złociste promienie słońca.

Nadal rozmawiają o tym, co zrobił Mikey, jakby w ten sposób chciały się otrząsnąć z szoku albo – jak wydaje się Shiv – próbowały w tym znaleźć jakiś sens. Shiv ciągle nie może zapomnieć widoku zakrwawionej twarzy chłopaka. Może to opóźniona reakcja jej organizmu na to wydarzenie, a może tylko daje o sobie znać zmęczenie i głód – tak czy inaczej, nagle zaczyna czuć mdłości, zawroty głowy i dreszcze.

– Myślałam, że on próbuje się zabić – mówi Lucy.

– Bez szans – rzuca Caron tonem eksperta. Shiv przypomina sobie jej opowieść o przedawkowaniu leków. – Nikt, kto naprawdę chce popełnić samobójstwo, nie zaczyna walić głową w drzewo przy dwóch opiekunach stojących dwadzieścia metrów dalej.

Ścieżka się zwęża. Idą jedna za drugą, Shiv na samym końcu. Nie

chce słuchać rozmowy Caron i Lucy.

Nie chce pamiętać twarzy Mikeya.

Gdy podczas zajęć próbowała narysować portret brata, przed oczami ciągle miała zakrwawioną twarz Mikeya, przysłaniającą twarz jej brata. Nie była w stanie stworzyć portretu Declana. Ani żywego, ani martwego.

Nie tylko ona nie poradziła sobie z tym zadaniem. Caron, siedząca naprzeciwko niej, trzymała w ustach drugi ołówek, substytut papierosa, co jakiś czas zgniatała w kulkę arkusz papieru, na którym rysowała, i rzucała ją na ziemię. Po dwóch godzinach wręczyła panu Hensherowi kartkę z paroma bazgrołami. Wyglądała na sfrustrowaną i wkurzoną. Shiv czuła się podobnie.

Po spokoju, który ogarnął je podczas Chodzenia, nie było już śladu.

Las zaczyna się przersedzać. Przed nimi pojawiają się duże, jasne plamy. Shiv ma wrażenie, że plamy zbliżają się do nich, jakby to nie ona, Caron, Lucy i reszta wychodzili na światło dzienne, tylko mrok lasu powoli się rozpraszał i ich uwalniał. Dogania Caron i Lucy. Ta druga znowu jest w swoim żywiole. Shiv tylko jednym uchem słucha jej słowotoku – monologu o planach studiowania biologii morskiej na uniwersytecie, gdy przyjdzie na to czas. Jeśli przyjdzie, dodaje Lucy na końcu.


Shiv czuje, że zemdleje, jeśli nie odpocznie.

– Poczekajcie chwilę – mówi, dostrzegając pniak na skraju ścieżki. Siada na nim, trzymając się za bok. – Złapała mnie kolka – tłumaczy, gdy dziewczyny się zatrzymują.

Caron spogląda na nią z uniesioną brwią. Widać, że jest zmartwiona. Nie kupuje wymówki o kolce.

Lucy wznawia swój monolog.

– Nie chodzę do szkoły od siedmiu miesięcy. Nie wiem, czy będę się czuła na tyle dobrze, żeby wrócić tam przed świętami. A przecież w przyszłym roku mam maturę... – Urywa i głośno wzdycha. –

Przepraszam – rzuca. – Tato przeżywa mnie Mimi , kiedy wpadam w taki stan. Ciągle gadam tylko o sobie. Mówi: „O, znowu przyszła Mimi”. Znaczy kiedyś tak robił. Zanim...

*Zanim co?* – zastanawia się Shiv.

Zawroty głowy ustały, ale wciąż czuje mdłości. Jej skóra jest zimna i lepka. Boi się, że zaraz będzie miała atak. To mało prawdopodobne, ale trudno przewidzieć, kiedy nadejdzie kolejny.

Caron kładzie jej dłoń na ramieniu.

– Wszystko w porządku, koleżanko?

– Jestem tylko trochę zmęczona.

Gdy dochodzi do siebie, znowu ruszają – są teraz na końcu grupy. Lucy znowu opowiadania o biologii morskiej. Shiv zawsze myślała, że będzie studiowała anglistykę. A może historię? W każdym razie nic z nauk ścisłych. Teraz jednak nie potrafi wyobrazić sobie pójścia na studia. Tak samo jak wyprowadzki z domu, znalezienia pracy, wyjścia za mąż, urodzenia dzieci. Niczego nie potrafi sobie wyobrazić. Nawet egzaminy, które odbędą się za rok, wydają się jej czymś bezsensownym i absurdalnym. Gdy umarł Declan, wszystkie możliwe warianty jej przyszłości nagle stały się niedostępne, nierealne. Poczuła, że jej życie się skończyło, tak samo jak życie jej brata. Sama myśl o tym, co mogłaby robić za rok, za pięć, dziesięć czy pięćdziesiąt lat, wydaje się jej czymś złym. Groteskowym. Obrażliwym.

Jak mogłaby myśleć o przyszłości, skoro Declana już nic nigdy nie spotka?

Bywają momenty, gdy marzy o tym, żeby obudzić się pewnego ranka, dwa czy trzy lata później i nie czuć się jak gówno. Ale najpierw musiałaby przestać tęsknić za bratem. Nie pragnąć jego powrotu. Zapomnieć, jak stracił życie.

Nie wyobraża sobie, żeby kiedykolwiek mógł nastąpić taki poranek. Nawet jeśli dożyje stu lat.

Dochodzą do sadu rosnącego za Eden Hall. Czeka tam na nich pan Hensher, niczym pies pasterski zaganiający do zagrody ostatnie owieczki ze stada. Shiv zatrzymuje się i mówi do dziewczyn, żeby poszły dalej. Dołączy do nich na stołówce.

– Chciałabym zobaczyć Mikeya – rzuca do pana Henshera, gdy zostają sami.

– Mikeya?

Hensher nie może być dużo starszy od Nikosa, a jednak różnią się tak bardzo, jak to tylko możliwe. Shiv odpędza od siebie myśli



o Nikosie.

– Muszę sprawdzić, gdzie teraz jest – odpowiada opiekun, sięgając po krótkofalówkę przyczepioną do paska.

– Chcę się tylko upewnić, czy nic mu nie jest – dodaje Shiv.

Hensherowi udaje się uchwycić jej spojrzenie.

– Mogę zapytać dlaczego?

– Bo on jest moim Przyjacielem.

Mikey znajduje się w sali medycznej pod okiem siostry Zeny, która chce się upewnić, czy nie doznał wstrząsu mózgu. Gdy Shiv wchodzi do gabinetu, młoda pielęgniarka siedzi przy biurku i zapisuje coś na białej kartce. Hensher musiał ją uprzedzić o wizycie Shiv, ponieważ Zena wita ją uśmiechem i zaprasza do sąsiedniego pokoju, w którym leży Mikey.

– Jak on się czuje? – pyta szeptem Shiv.

– Cóż, wydaje mi się, że gorzej niż tamto drzewo – odpowiada pielęgniarka ściszym głosem.

Mikey leży w łóżku, w pozycji półleżącej, z głową opartą na poduszkach. Wyjątkowo nie wygląda, jakby był wściekły albo jakby chciał być gdziekolwiek, byle nie tu. Przed wizytą Shiv przebrała się w swoje ubrania, ale on wciąż ma na sobie żółty kombinezon, miejscami poplamiony zaschniętą krwią. Jego krótka, jasna grzywka też jest nią posklejana, co sprawia wrażenie, jakby próbował zrobić sobie pasemka keczupem.

– Cześć – rzuca Shiv.

Chłopak nie odpowiada, jedynie wpatruje się w nią spod półprzymkniętych powiek. Opatrunek zakrywa mu prawie całe czoło. Prawy łuk brwiowy zszyto mu rozpuszczalnymi szwami; jego skóra pod oczami przybrała wszystkie odcienie fioletu, a reszta twarzy jest trupioblada.

Shiv przyciąga krzesło i siada przy łóżku.

– Większość ludzi stara się omijać drzewa – mówi z pogodnym uśmiechem. – A nie przez nie przejść.

Mikey patrzy na jej T-shirt i pyta:

– Co to znaczy?

Shiv zna ten napis na pamięć.

– To znaczy, że jeśli z kimś się zaprzyjaźnisz, to będziesz cierpieć,

kiedy przestaniecie się przyjaźnić. Albo kiedy ten ktoś odejdzie.

Wyraz twarzy chłopaka się nie zmienia. Trudno odgadnąć, co sobie myśli.

– To cytat z książki – dodaje Shiv. – *Buszujący w zbożu*.

– Tak?

To nie jest „Tak? To ciekawe”, tylko raczej „Tak? I co z tego?”.

– Należała do mojego brata – mówi Shiv, skubiąc przód koszulki. – Mój tato uważa, że to chore, że ją noszę.

Mikey pociąga nosem. Dotyka opatrunku na czole, jakby chciał sprawdzić, czy nie przesiąka krwią. Tak, przesiąka. Wyciera palce o prześcieradło.

– Pewnie strasznie boli cię głowa – odzywa się Shiv.

– Dała mi coś, żeby nie bolało. – Mikey spogląda na otwarte drzwi do gabinetu pielęgniarki. – Mówiłem jej, że niczego nie chcę, ale ona i tak mnie czymś naszprycowała.

Shiv się zastanawia, dlaczego się wzbraniał przed zastrzykiem. A przede wszystkim – dlaczego postanowił roztrzaskać sobie głowę. Nie pyta go o to. Nie cierpi, gdy po tym, jak jej odbija, ludzie pytają, dlaczego to zrobiła. „Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?” Podejrzewa, że Mikey ma tak samo.

– Przynajmniej ominęło cię Tworzenie – pociesza go.

Zaczyna opowiadać, co robili na zajęciach, ale on jej przerywa:

– Po co przyszłaś?

– Nie wiem – odpowiada po chwili wahania. – Chyba chciałam po prostu...

– Okazać mi współczucie.

– Nie. To, co zrobiłeś... totalnie mną wstrząsnęło. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego.

– Zobaczyłaś przedstawienie, a teraz przyszłaś sobie popatrzeć na dziwoląga?

Shiv parska śmiechem. Nie może się powstrzymać.

– Zawsze jesteś taki okropny?

Mikey przeszywa ją wrogim spojrzeniem. Nie ulega wątpliwości, że nie ma ochoty na towarzystwo Przyjaciela.

– Nikt cię nie prosił o wizytę.

– Ile lat miała twoja siostra? – pyta Shiv łagodnym głosem.

Chłopak patrzy na nią z wściekłością, ale nic nie mówi.

– Była młodsza od ciebie?

Jego oczy mają niesamowity odcień – są orzechowe, ale upstrzone żółtymi plamkami. Przerywa kontakt wzrokowy. Zaciska zęby na paznokciu kciuka.

– Dziewięć – mówi nie do niej, tylko do ściany. – Feebs miała dziewięć lat.

– Feebs?

– Phoebe. Zawsze mówiłem na nią Feebs. Albo czasami Feeble, żeby ją wkurzyć.

– Naprawdę miała na imię Phoebe?

– Tak. A co? – pyta z irytacją.

– Nic. Tylko... – Shiv pokazuje palcem napis na swojej koszulce. – Tak miała na imię siostra Holdena Caufielda.

Widać, że Mikey nie ma pojęcia, o kogo chodzi.

Shiv zmienia taktykę.

– Byliście przyjaciółmi, ty i twoja siostra?

Chłopak nie odpowiada.

– Ja przyjaźniłam się z moim bratem. Miał na imię Declan. Dec. Miał dwanaście lat, ale... – z całej siły próbuje powstrzymać łzy – był moim najlepszym kumplem.

– Mówili o nim w telewizji – odzywa się Mikey. – O tobie też.

Shiv przytakuje.

– Tak. Tak, wiem.

Znowu uświadamia sobie, że w pewnym sensie jest celebrytką. Pozostali rezydenci nie wygłaszają na ten temat tak bezpośrednich komentarzy jak Mikey, ale i tak czasami dziwnie na nią patrzą albo nagle przerywają rozmowę, gdy ją widzą. Nie jest w stanie powiedzieć, czy to oznaka niechęci („Dlaczego o tobie mówili w telewizji, a o nas nie?”), czy może ciekawości, ten dreszczyk towarzyszący spotkaniu na żywo osoby, której twarz znają z ekranu telewizora, jakby była piosenkarką albo aktorką.

Zapada cisza, którą podkreśla tykanie zegara. Słysząc, jak siostra Zena pisze coś w sąsiednim pokoju. W powietrzu czuć zapach jedzenia.

Shiv zdaje sobie sprawę, że umiera z głodu.

– Masz jeszcze dwie minutki! – woła pielęgniarka. – Muszę zrobić mu parę badań.

Shiv zaczyna podnosić się z krzesła, chce się pożegnać. Mikey zatrzymuje ją pytaniem:

– Co sobie zrobiłaś?

Patrzy na jej dłonie, na skórę, którą zdarła z palców, gdy wczoraj w samochodzie wyskubywała dziurę w fotelu. Zrobiły się już strupy, ale dziś rano pod prysznicem rany znowu się otworzyły i od tamtej pory co jakiś czas lekko krwawią. Spoglądając na swoje ręce, Shiv opowiada mu, co się stało.

– Niszczę różne rzeczy. – Wskazuje na jego twarz. – Ty robisz krzywdę sobie, a ja przedmiotom. Jest odwrotnie niż zazwyczaj.

– To znaczy?

– Z reguły to dziewczyny robią sobie krzywdę, a chłopaki dostają szau i rozwalają co popadnie.

– Nie wierzę w to gówno – mówi Mikey, kręcąc głową. – W całe to gówno – dorzuca. Z jego gestu Shiv wnioskuję, że ma na myśli także to miejsce, klinikę.

*A ja wierzę – mówi w myślach Shiv. Musimy w to wierzyć. Co innego nam zostało?*

– Zobaczmy się później – żegna się z nim i wstaje z krzesła. Idzie do drzwi, ale nagle się zatrzymuje, odwraca i pyta: – Mikey, jak zmarła Feebs?

Chłopak wpatruje się w nią w milczeniu tak długo, że Shiv traci nadzieję, że usłyszy odpowiedź.

– Utonęła – mówi wreszcie. Jego głos jest ostry, pełny odrazy do samego siebie. – Próbowałem ją uratować, ale nie uratowałem. Dlatego utonęła.

Tamtego wieczoru, po rejsie, Nikos nie zjawił się w ich willi. Następnego dnia też nie. Shiv miotła się między nerwową ekscytacją, że w każdej chwili może przyjść, a koszmarną pewnością, że już nigdy go nie zobaczy.

Po co w ogóle powiedziała mu, gdzie mieszka?

Pewnie każdego dnia jakaś turystka podrywała go w czasie rejsu. Miał duży wybór: Włoszki, Amerykanki, Szwedki, Francuzki. Seksowne i pewne siebie dziewczyny. Nie ma mowy, żeby zawracał sobie głowę angielską uczennicą, która jeszcze dwa miesiące temu nosiła aparat na zębach. Prawdopodobnie śmiał się z kumplami z tej chudej panienki, która naściemniała, gdy zapytał ją o wiek.

Nie mogła się zdecydować, na kogo jest bardziej wściekła: na Nikosa, bo nie przyszedł, czy na siebie, bo była na tyle głupia, żeby uwierzyć, że przyjdzie.

Odtwarzała w pamięci moment, gdy podała mu nazwę willi. Wspominała, jak do niej mówił, jak na nią patrzył, jak się do niej uśmiechał, jak stał blisko niej. Polubił ją. Tak, była pewna, że zdobyła jego sympatię. Z drugiej strony – nigdy w życiu nie była czegoś *mniej* pewna.

Kolejny dzień. Minęło czterdzieści jeden godzin, od kiedy widziała Nikosa ostatni raz.

Szykowali się do wypadu na pobliską plażę. Shiv nie chciała jechać. Woląca zostać w willi, ale już wczoraj się wykręciła, symulując ból brzucha. Rodzice – a zwłaszcza tato – nie pozwoliliby jej marnotrawić kolejnego dnia na zbijanie bąków przy basenie. Wiedziała zresztą, że Nikos będzie pływał na łodzi prawie do wieczora, więc nie było sensu na niego czekać.

– Czujesz się na siłach, żeby z nami jechać? – zapytała mama, zwijając ręczniki w rulony i pakując je do toreb plażowych.

– Chyba tak.

Zjawił się tato, rozglądając się za swoim kapeluszem przeciwsłonecznym.

– Myślisz, że czymś się zatrzymał? – zapytał. – Może obiadem, który

zjedliśmy na łodzi? Wcale bym się nie zdziwił.

Zgromiła go wzrokiem.

– Czyżby przemawiał przez ciebie stereotyp, że za granicą jedzenie *musi* być paskudne?

Zachowywała się tak od dwóch dni. Albo złośliwe komentarze, albo ponure milczenie. W międzyczasie Declan ciągle paplał o ekstrarejsie. Powtarzał, że pewnego dnia wyemigruje do Grecji, żeby organizować takie rejsy dla turystów.

Wybrali skrawek plaży najbardziej oddalony od windsurferów i skuterów wodnych. Rozłożyli się pod dwoma słomianymi parasolami, wyglądającymi jak słomkowe kapelusze baśniowych olbrzymów. Parasoli było znacznie więcej, wszystkie ustawione w jednej linii biegnącej przez całą plażę. Przy promenadzie znajdowały się budki z jedzeniem, tradycyjne greckie tawerny i mały sklep spożywczy. W oddali za ich plecami, na tle błękitnego nieba rysowały się postrzępione, zielono-różowe wzgórza. Shiv ustawiła swój leżak w słońcu, rozebrała się do bikini i posmarowała skórę kremem do opalania. Mama siedziała w cieniu, rozwiązując sudoku. Tato i Declan kąpali się w morzu.

W pewnym momencie musiała zapaść w drzemkę, ponieważ nagle poczuła, jak mama łaskocze ją w stopę i mówi:

– Pobudka, śpiochu.

– Hmm?

– Idziemy coś zjeść.

– Nie jestem głodna.

– W takim razie zjem twoją porcję – odezwał się tato w kapeluszu przeciwsłonecznym zatkniętym na głowę. Wyszczrzył zęby i pogładził brzuch. – Uwielbiam, kiedy rezygnujesz z jedzenia.

Usiedli na tarasie tawerny przy stoliku z widokiem na miejsce, w którym spędzili cały ranek. Shiv dopiero teraz zauważyła, że na mokrym piasku przy brzegu Declan napisał wielkimi literami swoje imię.

Młody kelner przyjął ich zamówienie. Gdy się oddalił, mama zapytała ją, czy nie chciałaby założyć T-shirtu.

– Żeby kelner nie mógł się gapić na moje cycki?

– Otóż to.

– To są *cycki*? – zapytał Declan, chwytając trzy kawałki chleba. – Rany, w niczym nie przypominają tych w internecie.

– Declan, litości...

– Mamo, to ty zaczęłaś ten temat.

– A więc to moim obowiązkiem jest zakryć biust? – Shiv skierowała pytanie do matki. – Uważasz, że facet jest całkowicie upoważniony do gapienia się na dziewczynę, jeśli ona ma na sobie bikini, tak?

Mama zignorowała jej tyradę i odezwała się do Declana:

– Masz dopiero dwanaście lat. Naprawdę oglądasz takie świństwa w internecie?

– To tak jakbyś się dziwiła, że niedźwiedzie srają w lesie.

Mama odwróciła się do taty.

– Myślałam, że założyłeś filtr w jego komputerze?

– Mamo – wtrącił się Declan – to ja pokazałem tacie, jak się włącza ten filtr.

– Dec, ten chleb jest dla nas wszystkich – upomniał go ojciec. – Nie przeklinaj, gdy rozmawiasz z matką.

– A gdy rozmawiam z tobą?

– Byłbym zdziwiony i zawiedziony, gdybyś tego nie robił, synu.

Shiv włożyła koszulkę. Declan wyrwał mamie z rąk rozmówki i poważnym tonem spikera telewizyjnego zaczął czytać na głos losowo wybrane greckie słowa. Nie przerwał, gdy przyniesiono im jedzenie. Mama zamówiła *dolmades* – nadziewane liście winogron, na talerzu taty piętrzyły się małe, grillowane rybki – podane w całości: z głowami, oczami i ogonami – które chrupał jak chipsy. Shiv i Declan zamówili pizzę z serem i pomidorami.

– To możecie jeść w domu – zwrócił im uwagę tato.

– Och, ale nie znajdujemy się *w domu*, ojciec – odparł Declan z pełnymi ustami. – Jeśli zatem chcemy dostarczyć organizmowi zalecaną tygodniową dawkę pizzy, czyli ZDP, jak mawiają eksperci żywieniowi, nie mamy wyboru i musimy ją konsumować nawet tutaj.

Pierwszy raz od prawie dwóch dni na twarzy Shiv pojawił się uśmiech.

Po powrocie na plażę jakiś czas grała z bratem w tenisa plażowego, ale gdy Declan zaczął podchodzić go rozgrywki zbyt poważnie, postanowiła wykąpać się w morzu, a potem jeszcze trochę poopalać.

W pewnym momencie Declan kucnął przy jej leżaku i zapytał, czy ma ochotę przejść się do końca plaży.

– Co będziemy robić?

– Nie wiem. Pooglądamy, jak pływają na skuterach wodnych, wejdziemy na skały czy coś.

Shiv otworzyła jedno oko, żeby na niego spojrzeć. Miała zamiar powiedzieć „nie”, ale zmieniła zdanie. Łażenie z bratem po skałach (w Kornwalii, Pembrokskiej czy Bretanii), zbieranie muszelek, rybich szkieletów i wyplutych przez morze kawałków drewna w dziwnych kształtach – to były jedne z jej najwcześniejszych i najprzyjemniejszych wakacyjnych wspomnień.

– Dobra, idziemy.

Ruszyli wolnym krokiem wzdłuż brzegu morza. Od czasu do czasu jakaś większa fala obmywała im stopy. Shiv poparzyła sobie wcześniej ramiona, więc znowu włożyła T-shirt. Za to Declan po pięciu dniach spędzonych w słonecznej Grecji wyglądał, jakby urodził się nad Morzem Śródziemnym.

Gdyby były tu jej koleżanki, Laura i Katy, Shiv mogłaby porozmawiać z nimi o Nikosie. Miała wielką ochotę z kimś o nim pogadać. Ale na pewno nie z bratem.

– Przepraszam, że ostatnio byłam taką jędzą.

– Zdefiniuj słowo „ostatnio”.

– Dzisiaj. Wczoraj.

– Ach, tak. A ja myślałem, że chcesz powiedzieć: „odkąd skończyłam dziesięć lat”.

Szturchnęła go łokciem w żebra.

– Ha, ha, ależ jesteś dowcipny.

– Mam nadzieję.

– Nie myśl sobie, że zapomnę, co powiedziałaś o moich cyckach.

– Och, nie frasuj się, Shivoloppoulos. Ponoć małe są obecnie w modzie.

Znowu dźgnęła go łokciem, tak mocno, że stracił równowagę



i wylądował na tyłku w wodzie.

– Hurra! – zawołała, śmiejąc się. – Declan znokautowany przez dziewczynę!

Wstał i zaczął gonić siostrę, chlapiąc ją wodą. Zawarli jednak pakt pokojowy i ruszyli dalej, wspominając wspólne przygody i wygłupy z wcześniejszych wakacji. Ulubionym numerem Declana był ten sprzed paru lat, gdy w restauracji na Korsyce położył siostrze na kolanach żywego, dużego żuka. Shiv podskoczyła na krześle i przewróciła butelkę czerwonego wina, które wylało się na nowiutkie spodnie taty.

Długo się śmiali, wspominając tamtą scenkę. Potem Declan powiedział:

– Szkoda, że nie mamy ze sobą sprzętu do nurkowania.

Shiv omiotła wzrokiem morze. Rzeczywiście, wyglądało zachęcająco. Starła się nie myśleć o Nikosie poprawiającym jej maskę. Sama nie była zapaloną miłośniczką nurkowania, ale jej brat zwariował na tym punkcie. Tamtego dnia, podczas rejsu, pierwszy wskoczył do wody i wyszedł z niej ostatni, dopiero gdy Nikos zażartował, że odpłynął bez niego. Nikos pomógł mu zresztą wrócić na łódź – złapał go pod pachami i jednym płynnym ruchem wciągnął na pokład, oznajmiając głośno: „Spójrzcie! Złapałem żółwia!”. Wszyscy wybuchli śmiechem. Wszyscy z wyjątkiem Declana, który wyglądał na okropnie zawstydzonego.

Shiv zauważyła, że po wodzie śmiga już tylko jeden skuter wodny, a wszyscy windsurferzy położyli na plaży swoje deski z żaglami, które wyglądały jak ogromne motyle wygrzewające się w słońcu. Nie wiedziała, co się stało. Przestało wiać? A może zaczęła się sjesta? Po chwili zrozumiała. W jednej z tawern ryknął chór męskich głosów przekrzykujących spikera komentującego mecz piłki nożnej.

– Co myślisz o tamtym gościu? – zapytał nagle Declan.

Shiv zerknęła na niego, zastawiając się, czy widział, jak rozmawiała z Nikosem.

– O którym?

– No wiesz, o Nikosie. Tym facecie od nurkowania.

– A, tamtym. – Wzruszyła ramionami. – Jest chyba w porządku.

Czemu pytasz?

– Tak sobie.

Nie mogła niczego wyczytać z jego twarzy, na szczęście nie ciągnął tego tematu. Odetchnęła z ulgą.

Wreszcie dotarli do skałek przy cypelku oddzielającym tę zatoczkę od następnej. Podczas wspinania się po skałkach prawie się do siebie nie odzywali. Oboje byli zatopieni we własnych myślach. Shiv odniosła wrażenie, że otworzyła się między nimi jakaś przepaść. Może byli już za starzy na takie rzeczy? W każdym razie ona była. Dopiero tutaj, na skałach, uderzyła ją myśl, że już wyrosła z tego typu zabaw.

Gdy wrócili do rodziców, mama dała Declanowi trochę pieniędzy i wysłała go po lody. Shiv usiadła w cieniu jednego z parasoli i wyjęła komórkę. Dostała wiadomość od Katy („3!!! czekoladowe jajka! jestem gruba i przejeżdżona ale przede wszystkim gruba xxx”), ale żadnego nowego SMS-a od Laury.

Odpisując na wiadomość, rzuciła do mamy:

– Dlaczego nie jemy czekoladowych jajek wielkanocnych?

– Tu? W Grecji? – odparła mama, nacierając ramiona kremem do opalania.

– Nie przywieźliście ze sobą ani jednego?

– Ani jednego czego? – zapytał tato ociekający morską wodą.

Złapał za ręcznik i zaczął wycierać włosy z taką werwą, jakby chciał urwać sobie głowę.

– Ani jednego czekoladowego jajka wielkanocnego.

– Skandal! – wykrzyknął, udając oburzenie.

– Mogłabyś nasmarować mi plecy, Shiv? – poprosiła mama.

– Piszę SMS-a.

– W takim razie ty mi pomóż, kochanie.

Tato usiadł za mamą na leżaku i wycisnął sobie krem na dłoń.

– Gdy rozpali cię mój zmysłowy dotyk, spróbuj nie zapominać, że znajdujemy się w miejscu publicznym.

– Tato, *blagam* – jęknęła Shiv. – To takie...

– Hej, ludzie! – zawołał Declan. – Patrzcie, na kogo wpadłem w sklepie!

Shiv oderwała wzrok od ekranu komórki i spojrzała w górę. Dec trzymał w rękach cztery roztopiające się lody, które ściekały mu po

dłoniach. Obok niego, ubrany w niebiesko-białą koszulkę do koszykówki i błękitne szorty, stał Nikos.

**Dzień dobry!** – mówi pani Sumner ze sztucznym entuzjazmem prezentera programu telewizyjnego dla dzieci. – Witajcie na naszym pierwszym spotkaniu.

Sala S-10. Drugie piętro.

Sumner to ta blondynka, której podczas wczorajszego spotkania uśmiech prawie nie schodził z ust. Jej opalenizna znowu razi sztucznością. Długie, kręcone włosy wczoraj miała rozpuszczone, a dzisiaj związała je w kucyk. Nie wygląda na więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Krzesła zostały ustawione w kółku. Od prawej strony siedzą: pani Sumner, Lucy, Caron, Shiv, Helen i Docherty.

Mikey jest nieobecny. Shiv stara się nie myśleć o jego siostrze. Phoebe. Feebs.

Wystrój sali jest rażąco kolorowy. Światło, wpadające przez okno za plecami pani Sumner, zalewa pomarańczowo-czerwony dywan i żółte ściany. Jak w przedszkolu; brakuje tylko obrazków namalowanych przez dzieci i zabawek porzucanych po ziemi. Krzesła są fioletowe, całkiem wygodne. Na środku pokoju stoi niski stolik, a na nim plastikowy dzbanek wypełniony wodą z lodem i sześć plastikowych szklanek.

Pani Sumner pyta ich o poprzednie zajęcia: Chodzenie i Tworzenie. Dostaje w odpowiedzi jedynie kilka zdawkowych pomruków. Kiwa głową, jakby słuchała słów przepelnionych głęboką mądrością.

– W porządku. Wiem, co sobie myślicie. – Nachyla się do przodu, przebiegając wzrokiem po ich twarzach. – Myślicie – robi nerwową minę i mówi drżącym głosem: – „Ojej, na czym polega całe to Rozmawianie?”.

– Możemy zgadywać? Do trzech razy sztuka? – pyta Caron.

Uśmiech pani Sumner nie gaśnie. Uśmiecha się bez przerwy, odkąd usiedli. To już nie wydaje się sympatyczne, tylko niepokojące.

– Już wyjaśniam – kontynuuje, ignorując sarkastyczne pytanie Caron. – Siedzimy sobie w milczeniu, aż ktoś poczuje potrzebę, żeby się odezwać. Gdy kończy mówić, inni mogą skomentować to, co usłyszeli.

Potem czekamy na kolejną wypowiedź. I tak dalej, i tak dalej.

– O czym mamy mówić? – pyta tym razem Lucy.

– O tym, co wam leży na sercu – odpowiada Sumner, ilustrując swoje słowa teatralną gestykulacją. – Jedyne zasady są takie, że musi to dotyczyć powodu, dla którego się tutaj znaleźliście.

– E tam. Czyli zwykła terapia grupowa – bąka pogardliwie Caron.

Shiv rozumie, dlaczego Caron tak zareagowała. Niedługo po śmierci Declana została zapisana na terapię grupową. Na pierwszej sesji musieli rzucać do siebie poduszką. Rzucający wypowiadał swoje imię, a potem pytał: „Jak masz na imię?” osobę, która złapała poduszkę. Shiv nie złapała poduszki. Nawet nie próbowała. Pozwoliła, żeby poduszka w nią uderzyła i spadła na podłogę. Pytanie o imię pozostawiła bez odpowiedzi.

Wytrzymała trzy sesje. Potem została wypisana.

*Wtedy było dla mnie jeszcze zbyt wcześnie – tłumaczy sobie teraz. Nie byłam gotowa na przyjęcie pomocy.*

Pani Sumner wyjaśnia podstawowe zasady. Podkreśla, jak ważny jest wzajemny szacunek. Shiv wyprostowuje się na krześle, stara się skupić, dać szansę tym zajęciom.

Cichy dzwonek sygnalizuje początek Rozmawiania.

Pani Sumner prosi wszystkich o zamknięcie oczu. Z początku Shiv nie chce tego zrobić. Nie podoba jej się pomysł siedzenia z zamkniętymi oczami w obecności – cokolwiek by mówić – obcych ludzi. Wszyscy jednak przymykają powieki, nawet Caron. Gdy patrzy na nich, czuje się jak szpieg. Więc zamyka oczy.

W pomieszczeniu zapada cisza. Shiv nigdy nie była na lekcji medytacji, ale wyobraża sobie, że tak to właśnie musi wyglądać.

Podobnie jak podczas Chodzenia, powinna teraz myśleć o Declanie.

Ale nie potrafi. Siedzi i czeka, aż ktoś się odezwie. Tylko o tym może myśleć. Kto to będzie i co powie? Rozpraszają ją też wspomnienia rozmowy z Mikeyem.

„Jak umarła twoja siostra?” – chciała zapytać, zanim pielęgniarka pojawiła się w progu pokoju, żeby się zająć pacjentem. „Dlaczego nie mogłeś jej uratować?”.

– Usłyszałam jakiś dziwny dźwięk, ale nie poszłam sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku.

To Lucy. Odezwała się pierwsza. Po tak długiej ciszy Shiv zaczęła się zastanawiać, czy ktoś w ogóle przerwie milczenie. Lucy wyjaśnia, że chodzi o jej siostrzenicę Milly, która zmarła z jej winy. Mówi takim tonem, jakby zdawała relację ze zdarzenia, którego była świadkiem, ale które bezpośrednio jej nie dotyczyło. Shiv zna ten ton głosu. Sama go używała, gdy po raz kolejny musiała opowiadać o śmierci brata. Ludzie dziwnie się wtedy patrzą. Nie rozumieją, że tylko w ten sposób da się przez to przebrnąć.

Helen, „szamanka”, która wczoraj wieczorem w świetlicy sama grała w bilard, a potem dała się namówić Shiv i Caron na Buckaroo, zadaje Lucy pytanie:

– Dlaczego nie poszłaś sprawdzić?

W jej głosie słychać ciekawość, a nie złośliwość.

– Bo siedziałam na Facebooku – odpowiada Lucy tym samym neutralnym tonem. – Kiedy się wreszcie wylogowałam, zapomniałam o tamtym hałasie w pokoju małej. Zupełnie zapomniałam o jej istnieniu. Siedziałam przed telewizorem, zeżarłam całą paczkę ciastek. Potem zasnęłam na sofie. – Po chwili dodaje: – Kiedy moja siostra wróciła, ciągle miałam całą bluzkę w okruszkach.

Łatwo jest sobie wyobrazić tę scenę: odgłos kluczy przekręcanych w zamku, otwierające się drzwi, siostra mówiąca szeptem (żeby nie obudzić dziecka): „Cześć, wróciliśmy”. Lucy otwiera nagle oczy, w ustach ma smak ciastek, wstaje, pośpiesznie otrzepuje się z okruszków, szwagier wchodzi do salonu, jest podпиты, mówi coś zabawnego, rozlega się stukot butów jej siostry w korytarzu, gdy idzie sprawdzić, co u córeczki.

W jej głosie najpierw słychać troskę, potem panikę, aż wreszcie histerię.

Shiv przestaje wyobrazać sobie tę scenę. Nie chce widzieć twarzy siostry Lucy, gdy nachyla się nad kołyską. Boi się, że ujrzy własną twarz wpatrującą się w Declana.

– Jak zmarła Milly? – pyta znowu Helen.

– Udusiła się – odpowiada Lucy. – Wymiotowała i się udławiła. Ja

obżerałam się ciastkami, a moja mała siostrzenica umierała w sąsiednim pokoju.

Przez bardzo długi czas nikt się nie odzywa. Cisza aż brzęczy w uszach.

Nagle Caron pyta śmiertelnie poważnym głosem:

– Co to były za ciastka?

Wszyscy gwałtownie wstrzymują oddech, jakby raptem w sali zabrakło powietrza. Są w szoku. Nie wierzą, że Caron *naprawdę* powiedziała coś takiego. Gdy jednak po paru sekundach Lucy zaczyna chichotać pod nosem, wywołuje to reakcję łańcuchową – wszyscy wybuchają śmiechem. Cała groza opowieści o śmierci dziecka jakby nagle się ulatnia.

Shiv zwiija się na krześle, trzymając się za brzuch i z trudem łapiąc oddech. Wygląda na to, że pozostali też tak mają, nawet pani Sumner. Wszyscy ocierają łzy z policzków, spoglądają na siebie nawzajem, żeby sprawdzić, czy to w porządku, że pękają ze śmiechu z powodu czegoś tak okropnego.

Wreszcie Lucy, wciąż z trudem łapiąc oddech, odpowiada:

– Herbatniki holenderskie w polewie czekoladowej.

Znowu wybuchają salwy śmiechu.

Wkrótce po ich policzkach zaczynają spływać prawdziwe łzy. Dopada ich poczucie winy. Lucy szlocha do utraty tchu, zamknięta w objęciach Caron, która płacze tak samo mocno, szepcząc: „Przepraszamprzepraszamprzepraszam...”. Shiv i reszta nie patrzą na nie, tylko siedzą ze spuszczoneymi głowami.

Gdy rozbrzmiewa dzwonek kończący Rozmawianie, pani Sumner mówi, że mają teraz wolne, lecz o czwartej muszą wrócić tu na ostatnie zajęcia tego dnia: Pisanie. Pojedynczo i parami wychodzą na korytarz. W sali zostają tylko Shiv i pani Sumner.

– Potrzebujesz trochę samotności? – pyta z uśmiechem asystentka.

Zdejmuje z półki plastikową skrzyneczkę i wyjmuje na stół jej zawartość: zeszyty szkolne i długopisy kulkowe. Układa je przed każdym krzesłem.

– Coś w tym stylu – odpowiada Shiv.

– To trudne, prawda? Mam na myśli Rozmawianie.

Gdy Shiv nie odpowiada, opiekunka wskazuje krzesło, na którym siedziała Lucy, i mówi:

– Shiv, nie ma niczego złego w śmiechu.

– Tak, wiem. – Terapeutka powiedziała jej coś podobnego. „Twój brat wcale by nie chciał, żebyś do końca życia była smutna”.

– Idę do łazienki – informuje pani Sumner. Może po prostu chce dać Shiv trochę samotności, o której wspominała. – Obiecuj, że podczas mojej nieobecności nie będziesz pisała brzydkich wyrazów w zeszytach do Pisania.

– Nie znam żadnych brzydkich wyrazów – odpowiada Shiv, rozśmieszając ją.

Gdy zostaje sama, sięga po zeszyt z niebieską okładką, do której przyklepiona jest naklejka z jej imieniem, zapisanym z błędem – litery „b” i „h” stoją w złej kolejności. Odkłada zeszyt.

W sali jest zbyt gorąco. Zbyt duszno.

Podchodzi do okna i otwiera je na oścież, żeby wpuścić świeże powietrze. Wygląda na zewnątrz i od razu tego żałuje. Z okna widać jezioro.

Ktoś przy nim stoi. Jakiś chłopak. Declan?

Dostrzega jednak żółty kombinezon i biały opatrunek na czole postaci. Mikey. Stoi przy ogrodzeniu i wpatruje się w wodę, zaciskając ręce na drucianej siatce, jakby chciał ją wyrwać z ziemi.

Znowu siedzą w kółku. Pisanie jest jak Rozmawianie, z tą różnicą, że nie trzeba mówić, tylko pisać, nie dzieląc się tym z innymi. Jedynie pani Sumner będzie czytała to, co napiszą, gdy pod koniec zajęć zbierze ich zeszyty.

Podczas gdy asystentka to wszystko wyjaśnia, Shiv zaczyna błędzić myślami. Najbardziej niepokojącą cechą tego pomieszczenia nie jest jego pomarańczowo-cytrynowa kolorystyka, tylko ledwie słyszalne echo głosu opiekunki. Mimo że przed chwilą kobieta przestała mówić, a oni zaczęli pisać w zeszytach, Shiv ciągle słyszy to echo, ten szmer, jakby słowa pani Sumner nagrano i teraz cicho puszczano gdzieś w tle.

Zamyka oczy. Wsłuchuje się w te odgłosy.

– Shiv?

– Tak? – Podnosi powieki.



– Dobrze się czujesz?

Pani Sumner wstaje. Shiv również podnosi się z krzesła, choć nie robi tego świadomie. Do jej rąk trafia plastikowy dzbanek; trochę wody wylewa się na podłogę, tuż przy jej stopach.

– Odstaw, proszę, ten dzbanek.

Nie, nie odstawi. Bierze zamach i z całych sił rzuca nim w stronę okna. Naczynie przelatuje tuż obok opiekunki, zostawiając za sobą w powietrzu smugę wody, uderza o parapet, odbija się i ląduje w kącie. Woda spływa małymi strużkami po szybie i parapecie, a potem ścieka na dywan.

W pokoju zapada cisza. Wszyscy wpatrują się w Shiv.

Na twarzy pani Sumner pojawia się wyćwiczony uśmiech. Jeden rękaw jej uniformu jest całkowicie przemoczony. Gdy dzbanek przefrunął tuż obok niej, gwałtownie drgnęła, lecz teraz znowu wygląda na spokojną i opanowaną. Nie odrywa wzroku od Shiv. Ma taką samą minę, jaką Shiv widziała już wiele razy na twarzy swojej terapeutki i innych osób, które były świadkami jej ataku. Jakby robiła w myślach notatki na jej temat.

– Potrzebujesz przerwy?

Shiv ze zdumieniem spogląda na dzbanek. Przez chwilę nie może zrozumieć, jakim sposobem wylądował w tamtym miejscu. Zaczyna coś mówić o tym cichym głosie, który odbijał się echem w jej głowie, ale raptem zmienia temat. Opowiada o Mikeyu. O jeziorze. O ogrodzeniu.

Nagle urywa wypowiedź. Pani Sumner milczy. Czeka.

– Nic mi nie jest – oświadcza wreszcie Shiv.

Siada na swoim miejscu, jakby to miało być dowodem, że rzeczywiście wszystko jest w porządku. Bierze do rąk długopis i swój zeszyt w niebieskiej okładce. Otwiera go na pierwszej stronie i coś pisze.

– Proszę. – Przesuwa zeszyt po stole w stronę opiekunki.

– Chciałbym, żebyś napisała trochę więcej...

– Wszystko napisałam. Niech pani przeczyta.

Pani Sumner patrzy na nią przez chwilę, po czym otwiera zeszyt i widzi w nim jedno krótkie zdanie:

*Zabiłam swojego brata.*



Nikos przyjechał obtłuczoną, niebieską toyotą pikapem. Na skrzyni załadowane leżały dwie deski do windsurfingu. Trochę się spóźnił, ale Shiv zdążyła zauważyć, że na Kyritos nie istnieje coś takiego jak punktualność.

Zanim się zjawił, rodzice pakowali rzeczy do samochodu, żeby tylko we dwójkę pojechać do głównego miasta na wyspie. Declan w kółko odbijał piłeczkę tenisową o przednią ścianę willi. Shiv siedziała na schodach i jadła płatki kukurydziane. Usłyszała odgłos silnika, a chwilę później zobaczyła toyotę. Odstawiła miskę. Nagle nie była w stanie niczego przełknąć.

Nikos zatrzymał auto i zgasił silnik.

– Dzień dobry.

– *Kalimera* – odpowiedział tato.

Declan dostrzegł spojrzenie Shiv i przewrócił oczami.

To tato wpadł na pomysł, żeby Nikos zabrał Shiv i Declana na lekcję windsurfingu. A raczej Nikos wszystko tak rozegrał, żeby to *wydawało się* pomysłem taty. Shiv podejrzewała też, że wcale nieprzypadkowo spotkał Declana w sklepie, do którego podobno wstąpił po drodze do babci. Gdy Declan przyprowadził go na plażę, Nikos odzywał się właściwie tylko do jej rodziców, ledwie zwracając na nią uwagę.

W pewnym momencie wspomniał, że jutro wybiera się popływać na desce.

– Moglibyście pójść ze mną, jeśli macie ochotę. Udzielę wam darmowych lekcji – rzucił lekkim, żartobliwym tonem, jakby się nie spodziewał, że potraktują jego propozycję poważnie.

Jednak Declan od razu zapalił się do tego pomysłu.

– Możemy? Proszę!

Tato wskazał na Shiv i Declana i zasugerował, że „młodsza i bardziej wysportowana połówka tej rodziny” powinna pójść.

– To na pewno dla ciebie nie problem, Nikos? – upewnił się.

– Nie, wprost przeciwnie.

Shiv mogłaby przysiąc, że Nikos mrugnął do niej, gdy się z nimi

żegnał.

Nikos wysiadł z samochodu i uścisnął dłoń tacie. Mama bombardowała ich pytaniami: „Czy wzięli swoje plecaki?” (tak); „Czy zabrali przekąski i napoje?” (tak); „Czy Shiv ma komórkę, czy jest ona naładowana i czy ma coś na karcie?” (trzy razy tak). Tacie nie udało się przekonać Nikosa, żeby przyjął trzydzieści euro za tę lekcję.

– Zawsze chodzę popływać, gdy mam akurat wolny dzień – wyjaśnił chłopak – więc to dla mnie żadne poświęcenie.

Tato dał Shiv dziesięć euro – na lody.

– Przywieziesz ich z powrotem na piątą? – zapytała mama. – Możemy się tak umówić?

Nikos skinął głową. *Siedem godzin!* Shiv z trudem powstrzymywała szeroki uśmiech, gdy pakowali sprzęt do samochodu.

– Mogę jechać z tyłu, na skrzyni? – spytał Declan.

Tato zgromił go wzrokiem.

– Po moim trupie!

Wyładowali z samochodu deski i ruszyli w stronę plaży.

– Czy któreś z was już wcześniej surfowało? – zapytał Nikos. – I wcale nie mam na myśli surfowania po internecie.

Oboje pokręcili głowami.

– A może jeździliście na deskorolce albo snowboardzie?

Declan odpowiedział, że kiedyś jeździł trochę na desce. Shiv wspomniała, że rok temu próbowała zjeżdżać na snowboardzie, na sztucznym stoku w ośrodku narciarskim. Prawie się wygadała, że było to na wycieczce szkolnej w dziewiątej klasie, ale w porę ugryzła się w język.

Nikos znowu miał na sobie koszulkę do koszykówki, tym razem w zielone i złote paski. Shiv starała się nie gapić na jego odsłonięte barki i ramiona.

– Dobra, zapomnijcie o wszystkim, czego się nauczyliście – zaczął ich wtajemniczać. – Surfing, snowboarding, skateboarding: w każdej z tych dyscyplin chodzi o ciebie i o deskę. O to, jak sprawujesz kontrolę nad deską, zgadza się?

Pokiwała głową. Wolą nie mówić, że jej próby zjeżdżania na snowboardzie były żałosne; co chwila spadała i większość czasu spędziła

na ziemi.

– W windsurfingu chodzi o coś innego – tłumaczył dalej Nikos. – Na tego typu desce – wskazał jedną z dwóch desek leżących przed nimi na piasku – nie surfujesz, tylko *żeglujesz*. Wiatr porusza żaglem, a żagiel steruje deską. Tu więc nie chodzi o ciebie i deskę, tylko o ciebie i żagiel.

– Coś czuję, że nie będę w tym dobra – mruknęła Shiv.

Nikos uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby i nawiązując z nią kontakt wzrokowy.

– Dasz sobie radę.

– Och, nie, nie da – wtrącił Declan. – Jest beznadziejna we wszystkich tego typu rzeczach.

– Hej, okaż siostrze trochę szacunku.

– Prawdę mówiąc, ona nie jest moją prawdziwą siostrą. Mama i tato przygarnęli ją ze schroniska dla dzieci porzuconych przez rodziców biologicznych z powodu tego, że są totalnie denne w sporcie.

– On zawsze jest taki dowcipny? – zaśmiał się Nikos.

Dec wyglądał na jednocześnie zadowolonego i zakłopotanego.

Wcześniej Shiv się martwiła, że jej brat będzie tylko przeszkadzał, ale to właśnie jego obecność sprawiała, że czuła się swobodniej i mogła być sobą. Gdyby była tylko z Nikosem, traktowałyby to spotkanie jak randkę, co byłoby dla niej zbyt krępujące i stresujące.

Nikos zaprowadził ich do małej zatoczki na skraju plaży. Wyjaśnił, że woda jest tutaj spokojniejsza i bezpieczniejsza niż na innych odcinkach wybrzeża, ale wiatr na tyle silny, żeby można było pływać. Miejsce w sam raz dla początkujących windsurferów.

Ale nie dla Shiv. Nikos na szczęście był cierpliwy i bez przerwy dodawał jej otuchy. Podchodził lub podpływał raz do niej, raz do jej brata – w zależności, które z nich akurat potrzebowało pomocy – lub stał zanurzony po pas w wodzie, przyglądając się ich wysiłkom i wykrzykując instrukcje.

– Pozycja wyjściowa! – przypominał za każdym razem, gdy musieli z powrotem wdrapywać się na deskę.

– To takie męczące – poskarżyła się Shiv, gdy Nikos piąty raz w ciągu pięciu minut pomagał jej stanąć na desce. Już dawno przestała czuć się zażenowana, że machała rękami jak pijana foka, gdy kolejny raz

musiał wyciągać z wody ją albo żagiel, albo i ją, i żagiel.

Jej brat, oczywiście, świetnie dawał sobie radę. Spadał z deski tylko wtedy, gdy próbował się popisywać przed Nikosem.

Po jakimś czasie Shiv wróciła na plażę, żeby odpocząć. Miała nadzieję, że Nikos pójdzie za nią, ale został w wodzie z jej bratem. Wskoczył na drugą deskę i pływał blisko Declana, żeby w każdej chwili móc pośpieszyć mu z pomocą. Obaj wyglądali na tak szczęśliwych, tak pochłoniętych pływaniami, że patrząc na nich, uśmiechała się pod nosem.

Windsurfing w wykonaniu Nikosa wydawał się czymś dziecinnie prostym.

Wreszcie, ociekając wodą, chłopak wyszedł na brzeg z deską pod pachą i zajął miejsce obok Shiv na macie rozpostartej na piasku. Położył się na plecach z dłońmi pod głową, głośno oddychając, choć widać było, że prawie w ogóle się nie zmęczył.

Shiv próbowała nie gapić się na jego czarne włoski pod pachami i na brzuchu.

– Dobrze mu idzie – odezwał się. – Twój brat dałby radę płynąć do samej Turcji.

Zaśmiała się.

– Wiedziałam, że będzie lepszy ode mnie.

Spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek, osłaniając dłonią oczy przed słońcem.

– W windsurfingu nie rywalizujesz z innymi, tylko z samym sobą.

– Niezwykle filozoficzna refleksja – rzuciła z przekąsem.

– Cóż, jestem Grekiem. To my wymyśliliśmy filozofię.

Sypnęła mu garść piachu na brzuch. Od razu pomyślała, że zachowała się jak dziecko, ale on nie sprawiał wrażenia, jakby mu to przeszkadzało.

– Jakim cudem tak dobrze mówisz po angielsku? – zapytała, żeby zatuszować swoje skrępowanie.

Wyjaśnił, że dorastał, pomagając przy rejsach, i sporo się nauczył dzięki rozmowom z turystami. W szkole dostawał najlepsze stopnie właśnie z angielskiego.

– Teraz studiuję anglistykę na uniwersytecie w Salonikach.

– Na którym jesteś roku?

– Na drugim.

To oznaczało, że miał co najmniej dziewiętnaście lat. *O Boże!*

– Zazwyczaj nie przyjeżdżam do domu na Wielkanoc, ale mój starszy brat w przyszłym tygodniu się żeni. Masz więc niesamowite szczęście, że mnie spotkałaś.

– Powiedziałaś, że co studiujesz? Zaawansowaną arogancję?

Nikosowi to się podobało. Podniósł się i zmiotł ręką piasek z brzucha.

– Dobra, masz rację. – Zrobił poważną minę, choć widać było, że dalej żartuje. – Przepraszam za bycie arogantem.

– Nie jesteś arogancki. Podczas rejsu byłeś czarujący wobec wszystkich pasażerów.

– Ale w tej chwili nie jestem już czarujący?

– Przestań – odpowiedziała, śmiejąc się razem z nim. Zaczęła grabić piasek palcami. – Może dzisiaj jesteś po prostu zdenerwowany. – Wzruszyła ramionami. – Chyba oboje jesteśmy. Odrobinę.

Zdumiała samą siebie tą wypowiedzią. Miała do tej pory tylko dwóch chłopaków. Obaj byli w jej wieku. Żadna z tych znajomości nie trwała długo. Nikos to zupełnie inna liga. Kiedy jednak skinął głową i powiedział jej, że chyba ma rację, nagle coś się zmieniło. I tak po prostu zaczęli rozmawiać o przeróżnych rzeczach, nawet o takich, o których myślała, że nie ma zielonego pojęcia. Nikos słuchał, zadawał pytania, skupiał na niej całą swoją uwagę. Miała sucho w ustach, łomotało jej serce, a mimo to była dowcipna i błyskotliwa. Zachowywała się tak, jak powinna się zachowywać dziewczyna – a raczej *młoda kobieta* – żeby podtrzymać zainteresowanie o cztery lata starszego faceta.

Rozmawianie z Nikosem wychodziło jej znacznie lepiej niż pływanie na desce.

– Co słyhać u twojego braciszka? – zapytał, osłaniając oczy przed słońcem i rozglądając się za Declanem.

– Jest tam – pokazała go ręką.

Siedzieli i patrzyli na Declana. Shiv była pod wrażeniem jego samozaparcia. Nie poddawał się, nawet gdy popełniał błędy i lądował w wodzie. Widać było, że spadanie z deski jest dla niego częścią

zabawy. Z daleka wyglądał na tak drobnego i delikatnego. Trzymając się bomy, kierował żaglem napiętym na wietrze i pędził po wodzie z całkiem sporą prędkością.

– To świetny dzieciak – powiedział Nikos.

– Tak. Tak, to prawda – odparła z uśmiechem. – Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci bycie czyimś idolem.

– To bardzo miłe z twojej strony, Shiv. Myślę, że twój brat również darzy mnie sympatią.

Parsknęła śmiechem.

– Naprawdę jesteś arogantem, co?

Nie wiedziała, kiedy to się stało, ale nagle zauważyła, że znaleźli się bardzo blisko siebie. Siedziała z brodą opartą o kolana, obejmując nogi ramionami, świadoma tego, że prawie dotyka go łokciami. Cieszyła się, że ma na sobie jednoczęściowy strój kąpielowy, z zakrytymi ramionami i dołem w kształcie szortów. Czowała się mniej rozebrana niż w bikini, w którym była podczas rejsu.

Odwróciła się do niego i zapytała:

– Wczoraj wpadłeś na Declana w sklepie, prawda? Czy zrobiłeś to tak jakby... celowo?

Uśmiechnął się.

– Najpierw poszedłem pod waszą willę. Nikogo nie było w środku, ale przed domem stało auto, więc pomyślałem, że zajrzę na plażę, bo istnieje szansa, że właśnie tam cię znajdę.

– Serio?

– Chciałem przyjść do ciebie już przedwczoraj wieczorem. – Wzruszył ramionami. – Ale stchórzyłem.

– Czyżbym była aż tak straszna? – zapytała, czując, jak przechodzi ją przyjemny dreszcz.

– Nie bałem się ciebie, tylko twoich rodziców. Chyba nie byliby zachwyceni, gdyby jakiś miejscowy typek zaczął się kręcić koło ich córki. Wiesz, co mam na myśli? A gdybym zapukał do drzwi, zapytaliby: „Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkamy?”. I w ogóle...

– Nie chciałeś, żeby odkryli, że są rodzicami dziewczyny, która podała swój adres chłopakowi poznanemu parę godzin wcześniej?

– Coś w tym stylu. Chyba.



– To słodkie – odparła po chwili. – Chyba.

Spojrzał na nią i wyjaśnił:

– Kiedy zobaczyłem was na plaży, czekałem na okazję, żeby porozmawiać z tobą na osobności, bez twoich rodziców i twojego brata, ale ani przez chwilę nie byłaś sama.

– Długo nas obserwowałaś?

– Godzinę. Może półtorej.

– Hm. Wiesz, myślę, że to podpada pod stalking.

– Jasne, ale nie mam wyjścia. W stalkera bawić się mogą tylko tutaj, na Kyritos, bo wszędzie indziej jestem już poszukiwany listem gończym.

Kiedy przestali się śmiać, powiedział:

– Kończąc tę historię, twój brat wyszedł sam do sklepu i postanowiłem, no wiesz, zupełnie przypadkowo wpaść na niego.

– Sprytnie. Jestem pod wrażeniem.

Siedzieli zwrócenii twarzą do siebie. Jego palce odszukały jej dłoń i zatoczyły na niej kółeczko. Skóra na jego ręce była pomarszczona od morskiej wody. Na jego przedramieniu dostrzegła ukośne zadrapanie, którego delikatnie dotknęła wolną ręką.

– Czy to się stało podczas jednego z dziewięćdziesięciu siedmiu razy, gdy pomagałaś mi władować się z powrotem na deskę?

Nikos obserwował, jak Shiv wodzi palcami po jego ranie, a po chwili podniósł wzrok. Miał zbyt piękne oczy jak na chłopaka. Tak piękne, że prawie bała się w nie patrzeć.

– Czy mógłbym cię pocałować? – zapytał.

Zmarszczyła czoło, udając, że to pytanie wymaga od niej głębokiego namysłu.

– Cóż, dochodzę do wniosku – odezwała się wreszcie – że byłabym trochę rozczarowana, gdybyś tego nie zrobił.

Nie byłaby w stanie powiedzieć, jak długo się całowali. Pierwszy raz całowała się z chłopakiem, który miał już prawdziwy zarost, nie traktował jej ust jak gumy do żucia i normalnie ją obejmował, a nie wczepiał się w nią palcami. Gdy wreszcie przerwali pocałunek, żeby zaczerpnąć powietrza, dalej siedzieli blisko siebie, czując swoje oddechy, uśmiechając się i spoglądając sobie głęboko w oczy.

Czy Declan widział, jak się całowali? Ta myśl podziałała na nią jak kubek zimnej wody.

Odwróciła głowę w stronę morza i zaczęła się rozglądać za bratem, szukając wzrokiem pomarańczowej deski z niebieskim żaglem. Nigdzie nie mogła go znaleźć. Zerwała się na równe nogi. Nikos też wstał, wyczuwając jej zdenerwowanie.

– Nigdzie go nie widzę – powiedziała.

Nikos zaczął szukać Declana na plaży. Shiv miała nadzieję, że jej brat wrócił już na brzeg i właśnie w tej chwili do nich idzie.

Na plaży nigdzie go jednak nie było.

– Nikos....

– Tam! – Wskazał ręką, patrząc na morze. – Złapał go prąd odpływowy.

Gdy wreszcie dostrzegła brata, Nikos już zdążył wrzucić swoją deskę do wody. Declan oddalał się coraz bardziej od cypelka oddzielającego spokojną zatoczkę od groźnych, wzburzonych wód szlaku żeglugowego.

Chciała coś krzyknąć do Nikosa, ale słowa ugrzęzły jej w gardle.

Stała po kolana w morzu z dłonią zaciśniętą na ustach i całkowicie bezradna patrzyła, jak Nikos płynie w stronę Declana. Wokół niej dzieci budowały zamki z piasku, ludzie opalali się, grali w siatkówkę, spacerowali, pływali, surfowali – wszyscy całkowicie nieświadomi tego, co się dzieje.

Gdy żagiel Declana runął do wody, Nikos wciąż znajdował się sto metrów od niego.

Uratował jej brata.

Declan zdołał się wdrapać z powrotem na swoją deskę. Położył się na niej na brzuchu i objął ją ramionami, jak mała małpka uczepiona drzewa. Nikos zahaczył linę o jego deskę i przyholował go na spokojniejsze wody. Wtedy Declan wstał, podniósł żagiel i dopłynął do brzegu. Wyglądał na tak dumnego z siebie, jakby to on uratował Nikosa, a nie na odwrót.

– To było – zaczął, uśmiechając się od ucha do ucha – totalnie *odlotowe*.

Dlaczego do nas trafiłaś, Siobhan?

Shiv marszczy czoło.

– Przecież sama pani nam to wytłumaczyła. Pierwszego dnia, na spotkaniu...

– Nie, dlaczego *ty* tutaj jesteś? – przerywa jej doktor Pollard. – Ty, a nie wy.

– To chyba oczywiste.

– Czyżby?

– Mam przestać robić to, co robię. Mam przestać być taka, jaka jestem. Poza tym sędzia kazał mi się leczyć.

Dyrektorka potrząsa głową.

– Nie pytam, dlaczego uważasz, że powinnaś tutaj być. Nie wątpię, że twoi rodzice, policja, sąd dla nieletnich, twoja terapeutka, ludzie, których własność zdemolowałaś, że oni wszyscy chcą, żebyś wyzdrowiała. – Robi pauzę i poprawia okulary. – Ale czy *ty* chcesz wyzdrowieć?

– Tak. Jasne. Oczywiście.

– Naprawdę, Siobhan? Bez ściemy?

„Bez ściemy”. To wyrażenie brzmi niepoważnie, nieprofesjonalnie w ustach osoby kierującej kliniką psychiatryczną. Ale doktor Pollard już wcześniej pokazała, że nie jest typową dyrektorką.

– Tak – odpowiada Shiv z lekką irytacją. – Bez ściemy.

Doktor Pollard wygląda na odrobinę zawiedziona, jakby spodziewała się po niej czegoś więcej. Ale nie draży tego tematu. Zaczyna zadawać prostsze pytania: czy podoba jej się pokój, czy smakują jej posiłki, czy zdążyła się już zadomowić.

Siedzą na balkonie od frontu budynku, tuż pod wieżą zegarową, naprzeciwko siebie, przy żelaznym stole z herbatą i ciastkami ustawionymi na białym obrusie, tak jasnym w słońcu, że aż razi oczy. To trzeci – drugi pełny – dzień Shiv w Klinice Korsakoffa. Dyrektorka przeprowadza dzisiaj z każdym rezydentem rozmowę na osobności.

Balkon w niczym nie przypomina tego w willi, którą wynajmowali na Kyritos, ale gdy tylko na niego weszła, w jej głowie od razu

wyświetlił się obraz Declana w czerwonych spodenkach opalającego się na wiklinowym leżaku.

– Jak ci minęły dzisiejsze zajęcia, Chodzenie i Tworzenie?

– W porządku – odpowiada. Po chwili jednak dorzuca: – Chociaż było trochę trudniej niż wczoraj.

– Dlaczego trudniej?

Wyjaśnia, że dzisiaj rano czuła się jeszcze bardziej zmęczona. Drugą noc z rzędu została obudzona przez zdjęcie brata, które wyświetliło się na ścianie: Declan z raketką w ręku, grający w tenisa plażowego.

– Poza tym dzisiaj nie potrafiłam o nim myśleć. Więc po prostu chodziłam i rysowałam.

– Nie szkodzi – pociesza ją doktor Pollard. – To dopiero drugi dzień.

Drugi z sześćdziesięciu. Mnóstwo czasu, żeby osiągnąć to, co dyrektorka nazywa zanurzeniem się w jej bracie i jego śmierci. Jak dotąd udało jej się tylko zamoczyć palce. Na tym między innymi polega metoda Korsakoffa – na zanurzeniu pacjentów w myślach o osobie, którą utracili, zatopieniu ich w źródle żałoby i poczucia winy. Ale dyrektorka nie chce na razie zbyt dużo o tym mówić.

– Zatrąć się w zajęciach, Siobhan, a niebawem odnajdziesz brata.

– A co ze snaniem? A raczej odbieraniem mi snu? – pyta Shiv.

– Nikt nie zmusza cię do patrzenia na te zdjęcia. Podejrzewam, że gdy wczoraj w nocy na waszych ścianach wyświetlono fotografie, niektórzy po prostu naciągnęli kołdrę na głowę i spali dalej.

To prawda. Niektórzy przyznali się do tego na śniadaniu.

Shiv kręci głową.

– Skoro wiem, że Dec tam jest, nie mogę na niego nie patrzeć.

Doktor Pollard wzrusza ramionami, jakby mówiła: „W takim razie dalej będziesz chodziła niewyspana”.

Kobieta jest znowu ubrana jak bizneswoman: czarny żakiet, ciemna spódnica, biała bluzka, pod szyją czarny, kowbojski krawat z metalową klamrą w kształcie głowy lisa. Za każdym razem, gdy upija łyk herbaty lub bierze kęs ciasta, odgina mały palec.

– Słyszałam o wczorajszym incydencie podczas Pisania.

Myśli o dzbanku. Shiv kiwa głową.

– Zdarzyło ci się już parę takich... momentów. – To stwierdzenie, nie pytanie. O tych „momentach” było pewnie dużo w jej papierach, które dyrektorka podobno przeczytała, zanim wrzuciła je do śmietnika. – Zazwyczaj zbiegają się one w czasie z twoimi wybuchami.

„Wybuchy”. To dobre słowo. Shiv rzeczywiście czuje wtedy, jak coś w niej pęka, wybucha, a ona traci świadomość tego, co robi.

– Wszystkie te butelki wina, które rozbiłam w Tesco... Nawet nie wiedziałam, że to robię – przyznaje. – Potem zaprzeczałam wszystkiemu. Nie rozumiałam, dlaczego ochroniarz prowadzi mnie na zaplecze. – Prawie się śmieje, wspominając swoje nedorzeczne zachowanie. – Musieli pokazać mi nagranie z kamery, żebym uwierzyła, że to zrobiłam.

Doktor Pollard zdejmuje okulary i odkłada je na stół. Szkła rzucają na biały blat dwa kręgi lekko opalizującego światła.

– Takie zaniki świadomości, lub też zaniki percepcji, wcale nie są rzadkością u pacjentów zmagających się z traumą.

Zapada cisza. Shiv zastanawia się, kto teraz zabiera głos na Rozmawianiu. I jak się czuje Mikey. Gdy rano zjawił się na Chodzeniu, jego twarz wyglądała gorzej niż przedtem. Bez żadnych wybryków przetrwał przerwę i Tworzenie, ale i tak izolował się od reszty grupy. Siedział ponury i nadąsany. Po obiedzie gdzieś zniknął.

– Siobhan – odzywa się dyrektorka – muszę cię o coś zapytać.

Shiv spodziewa się pytania o to, co napisała na zajęciach: „Zabiłam swojego brata”. Wcześniej rozmawiała z innymi osobami, które miały już za sobą takie spotkanie w cztery oczy, i dowiedziała się, że dyrektora wie dokładnie, co wczoraj napisali w swoich zeszytach.

– O co chodzi z tym jeziorem?

– Słucham?

– Gdy przyszedł na to spotkanie, krzesło było ustawione w drugą stronę, przodem do jeziora. Przeszawiłaś krzesło, aby siedzieć plecami do wody. Czy to była świadoma decyzja?

– Wyrzuciła pani notatki mojej terapeutki do śmietnika – mówi Shiv z gorzkim półuśmiechem – ale pożyczyła sobie jej teorie.

– Krzesła nie przestawiłyśmy ani ona, ani ja, tylko ty, Siobhan.

Shiv nie odpowiada. Doktor Pollard nachyla się do przodu, jakby dzięki temu mogła się jej przyjrzeć z lepszej perspektywy. Bez okularów wygląda znacznie młodziej. I przyjaźniej. Mimo że rozmowa zrobiła się nieprzyjemna.

– Sądziś, że mogłabyś przestawić krzesło na swoje miejsce?

– Czyżby to była terapia awersyjna?

Dyrektorka wykrzywia twarz, jakby połknęła coś gorzkiego. Shiv nie potrafi powiedzieć, czy to reakcja na jej sarkastyczny ton, czy może na termin „terapia awersyjna”.

– Nie.

– W takim razie co? Chce pani, żebym usiadła przodem do jeziora i gapiała się na nie, aż wreszcie zrozumiem, że to tylko jezioro? Zwykle, stare, angielskie jezioro?

Dyrektorka potrząsa głową.

– Chcę, żebyś ujrzała to jezioro takim, jakim jest.

– No właśnie to powiedziałam.

– Takim, jakim jest dla *ciebie*, Siobhan. Spójrz na jezioro, na wszystko to, co w nim widzisz. Ujrzyj je w pełnej grozie. Nie odwracaj się plecami do tego widoku.

Shiv się nie rusza. Nie przestawia krzesła.

Doktor Pollard znowu zakłada okulary. Opiera się na krzesło i spogląda na miejsce, gdzie jeszcze chwilę temu leżały jej okulary, jakby się dziwiła, że już ich tam nie ma. Shiv spodziewa się, że usłyszy ostrzeżenie przed „wyparciem” albo ponowną prośbę o przestawienie krzesła.

– Śnisz o swoim bracie. – Kolejny fakt wyczytany z jej papierów. Ton dyrektorki jest jednak mniej konfrontacyjny niż poprzednio. – Wydarzenia z przeszłości powracają do ciebie również w formie reminiscencji.

Shiv przytakuje, ale tłumaczy:

– One są tak jakby pomieszane. To trochę koszmary, a trochę wspomnienia. Czasami trudno powiedzieć, co jest czym.

– To pewnie straszne.

– Tak. Straszne.

Wczoraj w nocy, jakiś czas po tym, gdy zniknęło zdjęcie Declana,

znowu jej się to przydarzyło.

Zobaczyła na leżaku przy basenie jego zakrwawione, powykręcane ciało, do którego zakradły się dwa psy. Dzikie kundle wbiły się zębami w jego nogi, zsunęły go z leżaka i przeciągnęły po kamiennych płytach, zostawiając na ziemi smugę krwi, a na koniec zniknęły z ciałem Declana w gęstych zaroślach. Shiv obudziła się w momencie, gdy usłyszała, jak psy zaczynają pożerać jego zwłoki.

Opowiada ten koszmar – lub cokolwiek to było – doktor Pollard.

– To typowy przykład takich snów?

Gdy lekarka pyta, nagły podmuch wiatru, niczym niewidzialna ręka, podrywa róg papierowej serwetki, unosi go przez parę chwil w powietrzu, a potem upuszcza. Shiv przeskakuje wzrokiem z serwetki na dyrektorkę.

– Żadne z nich nie są *typowe* – odpowiada.

Próbuje wyjaśnić, że te koszmary – bez względu na to, jak bardzo są niedorzeczne i odległe od tego, co naprawdę przydarzyło się Declanowi – wydają się jej bardziej rzeczywiste niż niektóre napady agresji, których dostaje na jawie.

Potem wzdycha i spogląda w górę. Niebo jest idealnie czyste, z wyjątkiem długiej, białej smugi, jaką zostawił po sobie samolot. Wygląda jak biała linia narysowana kredą na błękitnym arkuszu papieru.

Następnie rozmawiają o życiu Shiv po powrocie z Kyritos, a zwłaszcza o tym, jak śmierć Declana wpłynęła na jej rodziców.

– Będą za tobą tęsknili przez te dwa miesiące – mówi doktor Pollard.

– Można by tak pomyśleć, prawda? – Shiv nie kryje sarkazmu. Myśli o mamie, tak głęboko pogrążonej w żałobie, że ledwie dostrzega istnienie swojej córki. Jeśli chodzi o tatę, dzisiaj pewnie znowu będzie pracował do późna albo planował swoją następną podróż do Grecji. – Prawdę mówiąc, rodzice nie są w stanie nawet na mnie patrzeć.

Dyrektorka wpatruje się w jej twarz z nieprzeniknioną miną.

– Więc dobrze się złożyło, że na jakiś czas zniknę im z oczu. Nie trzeba co chwila im przypominać, że gdyby nie ja, ich syn by żył.

– Wierzysz w to, co napisałaś w swoim zeszycie? W to, że zabiłaś swojego brata?

– Tak.

– Interesujące.

– Co?

– To, że całą winę bierzesz na siebie.

– Właśnie dlatego tu jesteśmy, prawda? – pyta Shiv. – Siostrzenica Lucy zmarła, bo ta zostawiła ją bez opieki. Siostra Mikeya utonęła, bo on nie mógł jej uratować. Caron zabiła swoją najlepszą przyjaciółkę, bo namówiła ją do połknięcia ecstazy. – Milknie i myśli o pozostałych dwóch osobach: ojciec Helen zginął na nartach, gdy ona upadła, a on musiał nagle skręcić, żeby ją wyminąć; Docherty spowodował wypadek samochodowy, podczas którego zginęła jego dziewczyna.

Doktor Pollard rozkłada ręce.

– Tak, wszyscy znajdujecie się tutaj z tego samego powodu. Każdy z was wierzy, że uśmiercił ukochaną osobę.

– Wierzy?

– Tak, wierzy.

– A pani sprawi, że uwierzymy, że tego nie zrobiliśmy?

– Wróćmy do pytania, które zadałam wcześniej – mówi dyrektorka.

– Dlaczego tu jesteś? Czego się spodziewasz po nas, po pobycie w Klinice Korsakoffa? – Jej ton sugeruje, że tym razem żąda szczerej odpowiedzi.

Shiv się nie odzywa.

– Chcesz wyzdrowieć? – podpowiada kobieta. – Chcesz znowu być dziewczyną, którą byłaś wcześniej, tak jak wszyscy tego po tobie oczekują? O to ci chodzi?

– Nie – odzywa się po długim milczeniu. – Nie po to tutaj jestem, prawda?

Dyrektorka kiwa głową.

– Oczywiście, że nie.

Shiv kładzie dłonie na udach, żeby powstrzymać ich drżenie. Jej spojrzenie błąka się pomiędzy okruszkami na talerzu doktor Pollard a papierową serwetką, którą znowu porusza wzmagający się wiatr. Nagle robi jej się zimno. Przechodzi ją dreszcz.

– Dlaczego więc jesteś w naszej klinice, Siobhan? – pyta dyrektorka łagodnym tonem.



Shiv nie odzywa się przez długi czas, nie mogąc wydobyć z siebie głosu. Wreszcie odpowiada cichutkim szeptem:

– Bo nie wiem, jak mogę...

– Słucham?

– Jestem tutaj – zaczyna od nowa, tym razem głośniej – bo nie wiem, jak mogę żyć z tym, co zrobiłam Declanowi.

Po lekcji windsurfingu urządzili sobie na plaży piknik. Zostały im jeszcze prawie trzy godziny do powrotu do domu. Nikos oświadczył, że wystarczy już tego pływania jak na jeden dzień, i zapytał, czy mają ochotę na „wycieczkę w najbardziej wyjątkowe miejsce na wyspie”. Shiv miała dość windsurfingu na całe życie, a nie tylko na jeden dzień, więc nie trzeba jej było namawiać. Declan również się zgodził.

– Dziękuję – wyszeptała do Nikosa, gdy ładowali deski na skrzynię pikapa.

– Za co?

– Za to, że uratowałeś mojego brata. Na dodatek w taki sposób, żeby poczuł się bohaterem.

– Nie zapominaj, że też jestem facetem – odparł szeptem. – My nie lubimy tracić twarzy.

Jechali pod górę krętą, zygzakowaną drogą. Tylko wóz z napędem na cztery koła i kierowca o stalowych nerwach mogli dać sobie radę z tak ostrymi zakrętami. Shiv wyobraziła sobie, jak spadają w przepaść, która otwierała się tuż za szosą.

– To ma być bezpieczniejsze niż windsurfing? – zapytała, przekrzykując ryk silnika.

– Owszem, pod warunkiem że nie odrywasz oczu od drogi – odpowiedział, odwracając się do niej z szerokim uśmiechem.

– Nikos!

Znowu utkwiał wzrok w jezdni i wziął kolejny ostry zakręt, śmiejąc się pod nosem. Zmieniając bieg, musnął dłonią jej nogę, nagą skórę po zewnętrznej stronie uda. Trwało to sekundę, lecz poczuła, jak przechodzi ją przyjemny dreszcz. Zerknęła na Declana siedzącego obok niej, ale na szczęście niczego nie zauważył. Wystawiał głowę przez otwarte okno, tak jak lubią to robić psy. Jego włosy powiewały na wietrze, a on z jakiegoś powodu jodłował.

Za szybą przesuwają się postrzępione górskie zbocza.

Odkąd wjechali na płaską drogę i silnik już nie musiał pracować na najwyższych obrotach, w samochodzie zrobiło się ciszej.

Declan wsadził z powrotem głowę do środka.

– Dlaczego jodłowałeś? – zapytała go. – Jesteśmy w Grecji, a nie w Szwajcarii.

– Nie jodłowałem. Witałem się głośno z kozami.

– Z czym?

– Głucha jesteś? Z kozami.

Wystawił rękę przez szybę, jak rowerzysta, który daje znak, że skręca. Wolną dłonią przycisnął kilka guzików radia.

– To w ogóle działa?

Głos mężczyzny mówiącego po grecku z prędkością karabinu maszynowego zagłuszały szумы i trzaski. Mógł to być perorujący polityk, komentator sportowy albo reklama płatków śniadaniowych. Nikos pokręcił gałką i złapał jakąś stację muzyczną. Jechali dalej, słuchając czegoś, co brzmiało jak grecki techno-punk.

Wreszcie się zatrzymali i wysiedli z samochodu. Nikos powiedział, że teraz przed nimi tylko półgodzinny spacer, na dodatek z górki. Popołudniowe słońce prażyło jednak tak mocno, że wkrótce zaczęli spływać potem. Shiv zatęskniła za tym, co wcześniej przeklinała – spadaniem z deski prosto w czyste, chłodne morze.

Nikos prowadził ich korytem wyschniętego strumienia, otoczonym po obu stronach stromymi skarpami. Ziemia była kamienista i popękana, ich buty pokrywały się coraz grubszą warstwą kurzu. Shiv na chwilę przystanęła, przymknęła powieki, żeby osłonić oczy przed ostrym słońcem, i wypila łyk wody z butelki, którą Nikos puścił w obieg.

– Tutaj jest jak na Księżycu – odezwał się Declan.

Jej ten krajobraz bardziej przypominał biblijną pustynię, gdzie w każdej chwili jakiś krzew mógł stanąć w płomieniach.

– Prawie jesteśmy na miejscu – pocieszył ich Nikos.

– A dokąd idziemy? – spytała.

– Tam, dokąd idziemy – odparł z uśmiechem.

Wziął od niej butelkę i uniósł ją do ust. Słońce pozłacało włoski na jego przedramieniu. Patrzyła, jak przy każdym łyku porusza się jego jabłko Adama. Gapiła się na jego wilgotne wargi, gdy opuścił butelkę i zakręcał nakrętkę. Chciała znowu go pocałować. Nigdy w życiu niczego bardziej nie pragnęła.

Ale nie mogła tego zrobić na oczach brata.

– Jaszczurka! – zawołał Declan.

Zwierzę, które pokazał palcem, było wielkości wiewiórki, miało piaskowoszarą skórę z odrobiną żółtego. Siedziało na skale, obserwując ich rozbieganymi oczami. Wsparte na przednich odnóżach wyglądało tak, jakby przerwali mu robienie pompek.

– *Stellion* – powiedział Nikos. – Od słowa *stella*, czyli gwiazda. Spójrzcie na wzorek na jego grzbiecie. – Po chwili dodał: – Dobrze smakuje w kebabie.

– Jesz jaszczurki? – zapytała Shiv.

– Mmm. Są znacznie smaczniejsze niż małe żółwie.

Jego usta drgnęły w uśmiechu. Trzepnęła go w ramię za karę, że sobie z niej żartował. Declan był chyba zbyt pochłonięty jaszczurką, żeby dostrzec ten intymny gest. Gdy zwierzę przechyliło głowę w jedną stronę, Declan zrobił to samo. Gdy jaszczurka uniosła kończynę, jakby chciała mu pomachać, on również jej pomachał.

– Chyba mnie lubi – powiedział, odwracając się do Shiv i Nikosa.

Gdy znowu obrócił się do jaszczurki, zniknęła już bez śladu, jakby nigdy jej tu nie było.

– Chodźmy. – Nikos wskazał dalszą trasę. – Zanim od tego żaru zamienimy się w stertę popiołu.

Nie mogli jednak schować się przed słońcem – dookoła rozciągała się istna pustynia, a rozgrzane powietrze falowało przed oczami. Okrążyli skałę, wyszli z koryta strumienia i skręcili w ścieżkę biegnącą w dół.

Nagle zanurzyli się w chłodnym, rozkosznym cieniu. Pustynny krajobraz zastąpiła zielona oaza: długie pasmo ziemi porośnięte soczystą trawą i strzelistymi drzewami.

– Wow! – wykrzyknęła Shiv.

Nikos spojrzał na nią z uśmiechem.

– Pięknie, prawda? Nazywam to miejsce moją arkadią.

Spojrzała na trawę pod stopami.

– Jakim cudem jest taka zielona? – spytała.

– Pod ziemią jest woda. W skale.

– To się nazywa warstwa wodonośna – odezwał się Declan.

– Zgadza się. – Widać było, że Nikos jest pod wrażeniem. – W tym

miejsca warstwa wodonośna znajduje się blisko powierzchni.

Rajska kraina Nikosa miała nie więcej niż sto metrów długości i dziesięć metrów szerokości. Mówiąc dokładniej, był to wąwóz w kształcie litery „V”, ocieniony gałęziami rozłożystych drzew.

Ruszyli przed siebie i doszli do miejsca, gdzie spod ziemi wydobywała się woda, tworząc miniaturowy wodospad spływający z niskiej skałki, która sięgała im do pasa.

– Magiczne miejsce – zachwycła się Shiv.

– I to dosłownie. Nawet kiedy przez długie tygodnie na Kyritos nie pada deszcz i wszystko dookoła wygląda jak pustynia, tutaj ciągle są woda, trawa, drzewa.

Siedzieli na trawie przy stawiku. Nikos zdjął sandały i zanurzył nogi w wodzie, wydając z siebie błogie, teatralne westchnienie. Shiv i Dec również zamoczyli stopy. Woda sięgała im tylko do kostek, ale była zaskakująco i rozkosznie chłodna. Shiv przymknęła powieki i pozwoliła, żeby na jej ustach rozkwitł uśmiech.

– A teraz – zaczął Nikos – kładziemy się na plecach i patrzymy w niebo. To drugi powód, dla którego was tu przyprowadziłem.

Osunął się na plecy, nie wyjmując stóp z wody. Shiv i Declan zrobili to samo. Ponad ich głowami, w prześwicie pomiędzy gałęziami, widniało idealnie bezchmurne, błękitne niebo. Leżeli w bezruchu. Wszystko, co Shiv słyszała, to szum miniaturowego wodospadu. Wszystko, co czuła, to chłodna trawa pod plecami i chłodna woda obmywająca jej stopy.

– Nie przestawajcie patrzeć – odezwał się Nikos. – Cierpliwości. Na pewno się pojawi.

– Kto? – zapytał Declan, lecz Nikos tylko go uciszył.

Nagle ujrzeli na niebie ptaka. Nie frunął, tylko szybował z rozpostartymi skrzydłami i pochyloną głową. Był ciemny, szarobrązowy, ale głowę, szyję i brzuch miał jaśniejsze. Znajdował się na tyle blisko, że Shiv mogła dostrzec czarne plamki wokół jego oczu i rdzawoczerwony odcień upierzenia na jego piersi. Był to największy ptak, jakiego w życiu widziała.

– Co to jest? – wyszeptała.

Nikos znowu powiedział „ciiii”, jakby się bał, że jej słowa spłoszą

zwierzę. Rzeczywiście, ptak na chwilę zniknął, lecz zaraz znowu się pojawił – szybował teraz wyżej niż przedtem, zataczając w powietrzu powolne spirale. Przez kilka minut krążył nad ich głowami; jego ogon w kształcie rombu rysował się wyraźnie na tle błękitnego nieba, jakby specjalnie się nim chwalił przed trójką widzów leżących na trawie. Wydał z siebie przenikliwy, piskliwy okrzyk, który odbił się echem od górskich zboczy.

Shiv patrzyła na to wszystko jak urzeczona, prawie zapominając o oddychaniu.

Dopiero gdy ptak zniknął im z oczu, wydusiła z siebie:

– To było...

– Nie do opisania? – odpowiedział Nikos.

– Tak – odparła z uśmiechem.

Po chwili ciszy Nikos spytał:

– Znacie tego ptaka?

– Ja znam – odezwał się Declan.

Shiv zdziwiła się, że jego głos dobiega z oddali. Wsparła się na łokciach i dostrzegła, że jej brat siedzi na drzewie, w zgięciu pomiędzy dwiema gałęziami. Nie słyszała, żeby wcześniej się poruszył, a przecież leżał obok niej na trawie. Widocznie tak bardzo była pochłonięta obserwowaniem ptaka, że niczego nie zauważyła. Declan wrzucał teraz gałązki, jedna po drugiej, do wody i patrzył, jak spływają z wodospadem.

– To był sęp.

Zaśmiała się.

– Jasne. Taki z ciebie ornitolog jak...

– To bardzo rzadki gatunek – powiedział Nikos. – Orłosep brodaty.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Ale przecież sępy są...

– Jakie? – Nikos usiadł i patrzył na nią z uśmiechem.

– Nie wiem. Okropne. Brzydkie.

– Dlaczego są okropne?

– Po prostu są. Jedzą padlinę.

– A ty nie? – Jego ton był łagodny, nie złośliwy.

– No, tak, ale...

– A dlaczego są brzydkie? – Wskazał ręką niebo, jakby zwierzę nadal po nim szybowało. – Uważasz, że ten sęp był brzydki?

Dopiero po chwili odpowiedziała:

– Nie. Ten był... piękny.

Gdy zjeżdżali z góry, oddalając się od rajskiej krainy Nikosa, w radiu leciała tęskna ballada. Jakaś piosenkarka śpiewała słodkim, melancholijnym głosem kobiety, której ktoś złamał serce.

– O czym ona śpiewa? – zapytała Shiv.

Nikos nastawił głośniej radio.

– To piosenka o dziewczynie, której ukochany odszedł na zawsze.

– Przez chwilę wsłuchiwał się w balladę. – Śpiewa tak: „Ta dziura obok mnie, w naszym łóżku... jest grobem, który wykopałeś dla mojego serca... Powiedz mi, proszę, czy powinnam wpaść do niego, czy do końca swych dni żyć z dziurą w piersi, tam gdzie kiedyś biło moje serce”.

Declanowi nie udało się powstrzymać chichotu.

– Zamknij się. – Shiv dźgnęła go łokciem.

Jej brat zaczął na wpół śpiewać, na wpół deklamować:

– Moje piersi, moje biedne piersi bez serca, niegdyś były bliźniaczymi księżycami orbitującymi wokół planety twej miłości.

– Declan!

– Moje oczy, niemogące spoglądać na twoją twarz... Wydłubię je sobie i nakarmię nimi psy żałoby, które wyją i błagają, abys wrócił.

Przestał śpiewać, ponieważ zaczął dławić się ze śmiechu.

Z pomocą przyszedł mu Nikos:

– Moje włosy, miękkie niczym jedwab, pozbawione twego dotyku zamienią się w...

– Sznur – odpowiedział mu Declan.

– Sznur, na którym się powieszę...

– Stojąc na szubienicy rozpaczy.

– Spadajcie! – krzyknęła Shiv. – To jest piękna piosenka, a wy ją totalnie popsuliście. – Ale nie wytrzymała i też się roześmiała. – To była prawda? – spytała Nikosa. – Te fragmenty tekstu, które tłumaczyłeś, zanim Declan zaczął się wygłupiać?

Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Śpiewała po albańsku.



Dzisiaj na Tworzeniu wyrzeźbiłam twoją głowę – opowiada Declanowi. – To znaczy dopiero zaczęłam. Używaliśmy modeliny. Łatwo się z niej lepi. Dali nam plastikowe skalpele, ale w sumie wystarczą palce. – Krzywi się, marszcząc nos. – Paskudnie śmierdzi. Powąchaj. – Unosi dłoń do zdjęcia wyświetlanego na ścianie. – Dalej cuchnie, a brałam już prysznic.

Mina jej brata pozostaje niezmienna. Stoi w gaju oliwnym za willą i podaje kozie jabłko.

– Jeszcze nie zabrałam się za twoją twarz. To znaczy zaczęłam. Próbowалаm ulepić twój nos, ale się poddałam. – Dotyka kciukiem ściany tam, gdzie znajduje się jego nos. – Masz niezwykle trudny nos, Declanie Richardzie Faverdale’u.

Od jakiegoś czasu rozmawia z Declanem na zdjęciach, które wyświetlają się w nocy. Opowiada mu, jak minął jej dzień. Mówi ściszym głosem, żeby nie przeszkadzać Caron i Helen, które zajmują sąsiednie pokoje. Te nocne monologi przypominają jej czasy, gdy ona i Declan byli bardzo mali, mieli wspólny pokój i rozmawiali ze sobą szeptem, leżąc w ciemności w swoich łóżkach.

– To już mój dziesiąty dzień w tym miejscu – informuje go. – Jedna szóstka pobytu. Chyba coś pomiędzy dziesięcioma a dwudziestoma procentami.

Zawsze śmiali się z tego, że była beznadziejna z matmy. Często prosiła go o pomoc, mimo że był od niej trzy lata młodszy. Pewnego razu, tłumacząc jej coś z geometrii, powiedział:

– Wiesz, co to jest romboid, prawda?

– Ma się rozumieć. To istota z planety Romb.

Dziesiąty dzień. Minęło dziewięć dni wypełnionych zajęciami oraz jeden dzień wolny, który przeznaczyła na wyspanie się, a potem granie w ping-ponga z Caron.

Dobrze się czuje w klinice. *Raczej* dobrze. Poszła za radą dyrektorki i zatraciła się w zajęciach. W pewnym sensie „odnalazła” Declana. Albo to on odnalazł ją. Dzięki medytacji spacerowej, rysowaniu i rzeźbieniu, rozmawianiu i pisaniu oraz tym nocnym

rozmowom z jego zdjęciami tak głęboko zanurzyła się w myślach o swoim bracie, że bardziej czuje jego obecność niż jego brak.

– Lubię spędzać z nim czas – oznajmiła podczas rozmowy z doktor Pollard.

– Ale?

– Jak to?

– Czułam, że zaraz powiesz „ale”. Dostrzegłam to w twoich oczach.

Chciała zaprzeczyć, jednak przyznała:

– Nie wiem. Po prostu... Mam wrażenie, że to jest *złe*.

– Co?

– Po pierwsze, tak naprawdę nie rozmawiam z Declanem, tylko z jego zdjęciem. Po drugie, nie zasługuję na niego.

– A na co zasługujesz, Siobhan?

– Nie zasługuję na to, żeby zapomnieć, choćby na chwilę, że on nie żyje.

– Pytałam, na co zasługujesz, a nie na co nie zasługujesz.

– Nie zasługuję na przebaczenie.

Mimo wszystko pobyt w klinice chyba coś daje, ponieważ od tygodnia nie miała ataku. Niczego nie rozwalila ani nawet nie chciała rozwalić.

Poza tym nigdy nie czuła się tak blisko swojego brata jak teraz.

– Dzisiaj znowu zabrałam głos na Rozmawianiu – opowiada Declanowi. – A na Pisaniu wypełniłam aż cztery strony.

Wpatruje się intensywnie w jego wyciągnięte ramię, w jego dłoń, na której leży jabłko.

Co noc, bez wyjątku, Declan pojawia się na ścianie jej pokoju. Za każdym razem wyświetla się inne zdjęcie: Dec stający na rękach na plaży, jedzący kawałek pizzy, odbijający się od trampoliny, rzucający piłką tenisową...

Caron też mówi do osoby na zdjęciach. W nocnej ciszy Shiv słyszy przez ścianę jej głos. Rozmawia z Melanie, dziewczyną, której odebrała życie, dając jej malutką pigułkę.

– Co do niej mówisz? – zapytała ją kiedyś Shiv.

– Mówię, jak bardzo jest mi przykro i jak bardzo za nią tęsknię.

Albo po prostu płacząc.

Na początku zdjęcia Declana wyprowadzały Shiv z równowagi. Teraz co wieczór siedzi i na nie czeka. Podoba się jej fotografia, która wyświetliła się dzisiaj. Jest naturalna, niepozowana. Declan jest tak zaaferowany kozą, że nawet nie wie, że ktoś pstryka mu fotkę.

Shiv kończy relacjonować mu swój dzień, po czym zaczyna opowiadać o innych rezydentach.

– Lucy dzisiaj znowu obzarła się na kolacji. Potem ktoś słyszał, jak wymiotowała w ubikacji.

Mówi, jak Caron poszła sprawdzić, czy Lucy dobrze się czuje. Wyciągnęła ją z toalety, bladą i zapłakaną.

Jeśli Declan ma swoje zdanie na ten temat, nie chce go zdradzić.

Shiv mówi, że Helen zaczęła śpiewać pod nosem podczas Chodzenia.

Declan ciągle próbuje poczęstować kozę jabłkiem.

Opowiada mu o tym, jak Mikey złożył oficjalne podanie o wypisanie z kliniki.

– Oczywiście nie przyszedł na Czas dla Przyjaciela.

Nie ma pojęcia, gdzie się podziewa Mikey między Pisaniem a kolacją. Nie przychodzi do świetlicy. Shiv próbuje zaprzyjaźnić się z nim w trakcie posiłków i podczas przerw, ale on albo odpowiada monosylabami, albo milczy jak zakłęty.

– Caron mówi, żebym dała sobie spokój. Ale nie mogę tego zrobić. Czuję, że siedzi w nim dobry, porządny dzieciak.

Spogląda na Declana i pyta:

– Co o tym sądzisz?

Z jego ust nie znika enigmatyczny półśmiech.

Shiv pamięta, że jabłko upadło na ziemię, gdy koza chciała się nim poczęstować. W ostatniej sekundzie Declan spanikował, że zwierzę go ugryzie. Shiv patrzy na zdjęcie, szukając na twarzy brata jakichś śladów zdenerwowania czy strachu, ale wygląda na zupełnie spokojnego.

– Pamiętasz, jak pływaliś na desce? Zachowywałeś się tak, jakbyś w ogóle się nie przestraszył, kiedy Nikos musiał cię ratować, ale wiedziałam, że udajesz. – Chce go spytać, czy w tamtym momencie przyszło mu na myśl, że może stracić życie. Nie jest jednak w stanie

zadać tego pytania. – Tamtego dnia byłeś taki szczęśliwy... Ja zresztą też.

Uświadamia sobie nagle, że wodzi palcami po swojej dłoni, zataczając na niej powolne kółeczka, tak jak robił to Nikos tamtego dnia na plaży. Przestaje.

Nikos. Zabrania sobie o nim myśleć.

Pociera twarz, siada prosto jak struna, żeby odpędzić senność. Nie pierwszy raz zasnęłaaby przed zdjęciem Declana i obudziła się o świcie, trzy godziny później, zmarznięta, z obolałym karkiem.

– Czy dzisiaj tam w lesie – zaczyna szeptem, odganiając wspomnienia o Nikosie i skupiając się znowu na Declanie – to byłeś ty?

W trakcie Chodzenia dostrzegła nagle chłopaka w białej koszulce. Znajdował się bliżej niż kiedykolwiek wcześniej (widziała go nie tylko tamtego pierwszego wieczoru, pomiędzy krzewami azalii, ale też parę razy później). Z drugiej strony, w lesie było ciemno, więc może to był tylko promień słońca przebijający między drzewami?

– To byłeś ty?

Dotyka zdjęcia, muska palcami policzek brata, delikatnie, jakby się bała, że rozmaże jego rysy twarzy.

Projektor nagle się wyłącza. Zostaje sama w ciemności.

Bez przerwy myśli o Declanie.

Parę godzin później, podczas śniadania, stoi przy bufecie w stołówce i nagle do jej umysłu wdziera się kolejne wspomnienie. W hotelach, w których był szwedzki stół, tato i Dec zawsze urządzali między sobą zawody: najpierw kto przyniesie najwięcej jedzenia do stolika, a potem – kto najszybciej to wszystko pochłonie. Zazwyczaj wygrywał Declan. Zaciekle walczył o zwycięstwo, wpychając całego rogała do ust albo prawie dławiąc się kiełbaską, którą próbował przełknąć w całości, niczym artyści uliczni połykający miecze. Potrafił też wypić dwadzieścia dziewięć szklaneczek soku owocowego po kolei.

– Obżarstwo nie jest grzechem – mawiał sentencjonalnie. – Jest formą sztuki.

Shiv zabiera swoją tackę i rusza w stronę stolików, które podczas śniadania nie stoją złączone. Ma zamiar przysiąść się do Caron i Lucy, gdy nagle w rogu spostrzega samotnego Mikeya. Rzuca bezgłośnie

„sorry” do koleżanek. Caron odpowiada jej spojrzeniem mówiącym: „Daj sobie z nim spokój”.

Mikey siedzi odwrócony plecami do pozostałych, zgarbiony, z zaciśniętymi pięściami położonymi na blacie, jakby trzymał w nich niewidzialny nóż i widelec.

– Mogę się dosiąść? – pyta Shiv, wślizgując się na krzesło naprzeciwko niego.

Dopiero teraz dostrzega, że chłopak płacze – bezgłośnie, a wielkie łzy spływają mu po policzkach.

– Mikey, co się dzieje?

Shiv kładzie tackę, stawia na stoliku tosty i sok grejpfrutowy, po czym sięga dłonią po jego rękę. Widziała go, gdy był poirytowany, wzburzony albo wściekły. Widziała go milczącego, ponurego i zamkniętego w sobie. Jednak pierwszy raz widzi jego łzy.

On podnosi na nią wzrok. Na stoliku przed nim nie ma żadnego jedzenia – tylko jego zaciśnięte pięści. Rany na twarzy już się prawie zagoiły. Została tylko świeża blizna na jednym łuku brwiowym i zaczerwieniona połać skóry na czole. Patrzy na Shiv takim wzrokiem, jakby nigdy wcześniej jej nie widział. A potem jego spojrzenie staje się twarde, wrogie.

Shiv podejrzewa, że zaraz usłyszy, żeby zostawiła go w spokoju. On jednak mówi:

– Nie pozwalają mi stąd wyjść.

Ma na myśli swoją prośbę o wypisanie z kliniki. Pewnie przed chwilą poinformowano go o odmownej odpowiedzi.

– Doktor Pollard chyba mówiła, że decyzja należy do twojej mamy i twojego ojczyma, prawda?

– Nie zgodzili się. Powiedzieli, że muszę tu siedzieć, dopóki nie poczuję się *lepiej*.

Wyciera twarz rękawem. Odwraca głowę w stronę okna. Na dworze od rana pada; ciężkie krople bębnią o szyby. Tworzenie odbędzie się pewnie w kontenerze na łące.

Shiv zastanawia się, czy jej rodzice by się zgodzili, żeby stąd wyszła, gdyby o to poprosiła. Nie ma pojęcia, co by powiedzieli.

Mikey dalej patrzy przez okno. Shiv zjada tosta. Czeka. Może

Mikey powie coś jeszcze. A może nie.

Wreszcie on się odzywa:

– To miejsce ryje mi banię. Każdy jest taki miutki. – Znowu na nią zerka. Widać, że jest wściekły. – Każdy chce być moim *przyjacielem*.

– Naprawdę? – Shiv nie może powstrzymać śmiechu. – Myślałam, że tylko ja.

Przez następne dwa dni – Wielki Piątek i Wielką Sobotę – Nikos nie mógł się z nią zobaczyć. Wyjaśnił, że w Grecji te dwa dni zarezerwowane są dla rodziny, i ma nadzieję, że Shiv jest w stanie to zrozumieć.

– Oczywiście, rozumiem. Nie czujesz się gotowy, żeby porzucić swoją kulturę, swoje zwyczaje religijne, całą swoją rodzinę – żartowała – tylko po to, żeby zobaczyć się z dopiero co poznaną dziewczyną.

– A ja myślę, że jestem po prostu skończonym bydlakiem.

– Tak jak wszyscy faceci – westchnęła teatralnym tonem osoby, która już wiele przeżyła.

Znowu się pocałowali, co było nie lada sztuką, biorąc pod uwagę, że Nikos siedział za kierownicą wozu jadącego tuż przy skraju drogi.

– Hej! – zawołał Declan, waląc pięścią w dach kabiny.

Nikos pozwolił mu przez ostatnie kilometry jechać na skrzyni, razem z deskami do windsurfingu. Dzięki temu mogli rozmawiać bez świadków, trzymać się za ręce, wymienić numerami telefonu oraz całować. Shiv miała lekkie wyrzuty sumienia, że potraktowała brata jak przeszkodę, której musiała się jakoś pozbyć. On jednak wcale się nie czuł „usuniętą przeszkodą”. Przeciwnie – wyglądało na to, że jadąc na skrzyni, bawi się jak nigdy w życiu.

Dopiero gdy Nikos zatrzymał samochód na poboczu drogi prowadzącej do ich willi, do Shiv naprawdę dotarło, że nie będą się widzieli przez dwa dni. Poczwała, jak coś mocno ściska ją za serce.

– Zobaczymy się w niedzielę – wyszeptał, kiedy się żegnali. – *Kalo Pascha*.

„Wesołych świąt”, jak podano w rozmówkach.

Plan był następujący: Shiv miała przekonać mamę i tatę, żeby w niedzielę pojechali całą rodziną na festyn wielkanocny odbywający się w głównym mieście na wyspie, a potem musiała wymknąć się na chwilę i spotkać z Nikosem w jakimś ustronnym miejscu, gdzie nikt ich nie zobaczy.

Nawet jeśli wydawało mu się nieco dziwne, że siedemnastoletnia (rzekomo) dziewczyna nie może robić tego, na co ma ochotę – chodzić,

gdzie chce i z kim chce – nie skomentował tego. Shiv wspomniała zresztą, że jej rodzice bywają bardzo surowi. Wolała wcisnąć mu to kłamstwo niż się przyznać, ile naprawdę ma lat.

– Moi rodzice tak samo traktują moją siostrę – stwierdził Nikos.

Teraz Shiv musiała już tylko przekonać matkę ateistkę, ojca agnostyka i obojętnego na sprawy duchowe brata, żeby zechcieli obejrzeć, jak Grecy świętują zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa.

Na parę dni rodzina Faverdale'ów wpadła w wakacyjne koleiny. Balkon, basen, taras, plaża, tawerna – do tych miejsc ograniczała się ich aktywność. Shiv się pilnowała, żeby nie wspominać o Nikosie. Jedynie obojętnym tonem odpowiadała na pytania mamy i taty na temat wypadu na deskę. Nie musiała zresztą zbyt dużo mówić, ponieważ Declan gadał za dwoje.

Oświadczył, że planuje na poważnie trenować windsurfing, żeby się przygotować do następnych igrzysk olimpijskich.

– Zamiast emigracji do Grecji, żeby organizować rejsy? Czy może chcesz połączyć oba te zajęcia? – wypytywał tato.

– To drugie – odparł Declan urażonym tonem.

– Windsurfing naprawdę jest dyscypliną olimpijską? – zainteresowała się mama.

Shiv ukrywała emocje, które nadal w niej buzowały po spotkaniu z Nikosem. Przyjemność, jaką sprawił jej tamten dzień, była jak narkotyk o długotrwałym działaniu. Wciąż czuła na wargach jego pocałunki, delikatne niczym muśnięcia skrzydeł motyla. Umówili się dopiero na niedzielę, ale byli ze sobą w kontakcie. Pisali sobie głupie, żartobliwe SMS-y, czasami wysyłali tylko „x” albo uśmiechniętą buźkę. Odbyli też przez telefon dwie krótkie, potajemne, szeptane rozmowy.

Bez przerwy rozmyślała o Nikosie, czując przy tym, jak przechodzi ją dreszcz, a serce tłucze o żebra.

Była na niego *chora*. Chora z pragnienia. Z tęsknoty za nim.

Co było do przewidzenia, po dwóch dniach lenistwa tato zaproponował rodzinie wspólną wycieczkę. Co również było do przewidzenia, Declan i Shiv zareagowali na tę sugestię zbolałym jękiem.

– Macie jakieś pomysły? – zapytał tato, ignorując ich protesty.

Siedzieli na tarasie. Wieczorne powietrze nasycone było zapachem



cytrynowych świec, które zapaliła mama, żeby odstraszyć komary. W gaju oliwnym za ogrodem cykady rozpoczęły swój nocny koncert.

– Ja jestem na tak – zabrała głos mama. – Co jeszcze zostało na naszej liście rzeczy do zrobienia? Swoją drogą, gdzie jest ta lista? – dodała, wchodząc do willi, żeby jej poszukać.

– Rzeczy do zrobienia – zaczął Declan, pisząc niewidzialnym długopisem na niewidzialnej kartce. – Punkt pierwszy: odnaleźć listę rzeczy do zrobienia...

– Co powiecie na wycieczkę do fortu, o którym kiedyś rozmawialiśmy? – zapytał tato, miłośnik fortów, zamków i tego typu obiektów. – Dec?

– Co?

– Chcę poznać twoje zdanie.

– Na temat fortów?

Wróciła mama. Znalazła listę.

– A może zwiedzilibyśmy rezerwat żółwi? – zapytała.

– To świąteczna niedziela – przypomniał jej ojciec. – Będzie zamknięte. Masz jakieś pomysły? – zwrócił się do Shiv.

– Prawdę mówiąc, widziałam coś ciekawego w tamtej książeczce. No wiecie, w folderze informacyjnym.

– Co to było? – zapytał tato i wszedł do willi, żeby przynieść folder.

Shiv zawołała za nim:

– Gra w czerwone jajka czy coś w tym stylu!

– Czerwone jajka? – zdziwił się tato, parszcząc śmiechem.

– Czyli... – Declan klasnął w ręce – wygląda na to, że jednak jedziemy do fortu, tak?

Gdy ojciec wrócił na taras, kartkując folder, Shiv wyjaśniła:

– To chyba gra podobna do naszej zabawy w stukanie się kasztanami, tyle że używa się jajek ugotowanych na twardo.

– Gwoli ścisłości, *czerwonych* jajek – dodał Declan.

– Tak, czerwonych. – Shiv skarciła go spojrzeniem. Potem znowu rzuciła do taty: – Gdzieś tam jest zdjęcie. W dziale o świętach i festynach.

– Masz rację. – Tato wydawał się autentycznie zaskoczony. Zaczął

czytać na głos: – „*Tsougrisma*, czyli gra w czerwone jajka, to tutejsza tradycja wielkanocna. Do zabawy wykorzystuje się jajka pomalowane na czerwono, co symbolizuje przelaną krew Chrystusa... Uczestnicy konkurują ze sobą, stukając się jajkami ugotowanymi na twardo. Ten, kto stłucze skorupkę przeciwnika, zwycięża, a następnie staje do kolejnego pojedynku. Zawodnikowi, który pokona wszystkich rywali, podobno przez cały rok będzie sprzyjało szczęście”.

– Kiedy to ma być? – zapytała mama.

– Jutro w... Jak się nazywa to miejsce? Ach, tak, w Greckosmiastos. – Declan wymyślił tę nazwę po wizycie na tamtejszej plaży, bo wymówienie greckiej nazwy miejscowości przekraczało ich możliwości. – „Inne atrakcje wielkanocne – czytał dalej tato – to przyrządzanie pieczeni jagnięcych, występy muzyczne, tańce, pokazy sztucznych ogni oraz obrzędy, takie jak palenie Judasza”.

– Palenie Judasza? – Declanowi aż zaświeciły się oczy. – Och, błagam, niech to polega na paleniu prawdziwego człowieka!

Tato zignorował jego komentarz.

– Dobra. Kto głosuje na fort, a kto na czerwone jajka w Greckosmiastos?

– Cztery do zera dla Shivoloppoulos! – powiedział Declan po głosowaniu. – Niech żyją twoje czerwone jajka!

Plaża wyglądała zupełnie inaczej niż poprzednim razem. Tam gdzie wcześniej stały leżaki do opalania, teraz ludzie siedzieli na ławach ustawionych przed ołtarzem polowym, za którym znajdował się wbity w piasek wysoki słup z dyndającą na nim kukłą Judasza.

Shiv czuła, jak z nerwów ściska ją w żołądku. Na krańcu plaży dostrzegła scenę, za którą miała się potajemnie spotkać z Nikosem. Przed sceną na piasku z drewnianych palet ułożono parkiet do tańca, a wokół ustawiono rzędy stołów piknikowych. Za nimi piekło się na roznach dziesięć jagniąt, przy których czuwali kucharze w białych koszulach ubrudzonych tłuszczem. Powietrze było gęste od dymu i przesycone zapachem pieczonego mięsa.

– Baranek Boży i takie tam – odezwał się tato. – Podobno Grecy...

– Słuchają państwo audycji „Ciekawostki i zagwozдки” – wyszeptał Declan.

– Ciii! – uciszyła ich mama. – Zaczyna się nabożeństwo.

Wcisnęli się w grupkę turystów ustawionych za tłumem miejscowych. Przemawiać zaczął ubrany na czarno ksiądz. Msza zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Shiv przez większość czasu omiatała wzrokiem zebranych, szukając Nikosa i zastanawiając się, czy zdołałaby wysłać mu SMS-a na tyle dyskretnie, żeby rodzice tego nie zauważyli. Liczyła, że do tej pory gdzieś go już zobaczy. Dopadły ją wątpliwości. Czyżby czekał ją kolejny dzień bez niego?

Gdzie on się podziewa? Co sobie myśli? Dlaczego nie odpowiedział na wiadomość, którą wysłała mu rano?

Wreszcie ksiądz zakończył nabożeństwo. Uniósł obie ręce i ogłosił:

– *Christos Anesti! Alithos Anesti!*

– *Christos Anesti!* – powtórzyli wierni. – *Alithos Anesti!*

Declan wyłowił z kieszeni rozmówki angielsko-greckie i zaczął je kartkować. Zanim jednak zdążył wymyślić jakieś żartobliwe tłumaczenie słów księdza, duchowny znowu uniósł ręce i obwieścił po angielsku:

– Chrystus zmartwychwstał! Prawdziwie zmartwychwstał!

– Zgadza się – powiedział Declan, zerkając do rozmówek. – Facet wie, o czym gada.

Nigdy wcześniej nikt nie sprawił, żeby czuła się w taki sposób. Niecały tydzień temu nawet nie wiedziała o jego istnieniu, a teraz miała wrażenie, że w jej życiu liczył się tylko on i nic innego. Bolesna tęsknota, żeby znowu go zobaczyć, i rosnący strach, że nie przyjdzie, torturowały ją równocześnie.

Siedzieli przy jednym ze stolików zastawionych tekturowymi talerzykami z pieczoną jagnięciną, sałatką i kromkami chleba. Shiv nie tknęła swojej porcji, na którą żarłocznie spoglądał Declan. Wokół nich unosił się zgiełek rozmów i śmiechu.

Ukradkiem zerknęła na telefon. Żadnych nowych wiadomości.

– Co powiecie na to, żeby przejść się do tamtego kościoła? – zapytał tato, wskazując starą, białą budowlę na wzgórzu wznoszącym się ponad wioską.

Tylko mama okazała entuzjazm. Declan był zbyt pochłonięty jedzeniem.

Po posiłku uroczyście przyniesiono jajka pomalowane na czerwono

i rozdano je obecnym. Większość ludzi sięgnęło po pisanekę, zarówno Grecy, jak i turyści – w tym tato i Declan.

Shiv nie zwracała sobie głowy turniejem. Zamiast tego patrzyła, jak muzycy rozkładają na scenie swój sprzęt.

– Dobrze się czujesz? – zagadnęła ją mama, gdy zostały same.

– Co? A, tak. Dobrze.

Mama zaczęła grzebać w torbie.

– Proszę. – Ze współczującym uśmiechem podała córce dwie tabletki przeciwbólowe, najwyraźniej zakładając, że to kobiece sprawy.

– Dzięki – odparła Shiv, nie wyprowadzając jej z błędu. Zamrugowała szybko, żeby pozbyć się łez, które napłynęły jej do oczu, po czym pomachała ręką przed nosem. – Tyle tu dymu.

– Masz przy sobie...

– Tak, mam. – Wskazała swoją torbę leżącą przy krześle.

Pod czujnym spojrzeniem mamy wrzuciła tabletki do ust i popiła je wodą.

– Boli cię głowa? – zapytał tato, który raptem zmaterializował się przy stoliku razem z Declanem.

Ogłoszono, kto wygrał turniej. Mistrz ceremonii unosił do góry rękę zwycięzcy jak po zakończonej walce bokserskiej.

Zanim Shiv zdążyła odpowiedzieć na pytanie, ktoś powiedział coś po grecku przez mikrofon. Muzycy stojący na scenie zaczęli grać.

– Mogę pomóc w paleniu Judasza? – spytał Declan, wskazując na pal, wokół którego zebrało się około dwadzieściorga dzieci. Pod okiem dorosłego opiekuna przynosiły i układały pod słupem drewno, żeby urządzić wielkie ognisko.

– Nie chcesz zwiedzić kościoła? – zapytał tato.

Declan się skrzywił.

– No dobra. A ty, Shiv?

– Co? – zapytała, patrząc na tatę nieprzytomnym wzrokiem.

– Idziemy z mamą obejrzeć kościół – wyjaśnił. – Wybierzesz się z nami?

– Popatrzę sobie na tańce – odparła. – Nie czuję się zbyt dobrze. Zauważyła, jak mama bezgłośnie mówi do ojca: „okres”.

– Ach. Aha, w porządku.

Mama kazała Shiv usiąść tak, żeby widziała scenę i jednocześnie miała oko na Declana, który będzie się krzątał przy ognisku.

– Spotkajmy się tutaj – powiedziała. – Niedługo wrócimy.

Declan i rodzice ruszyli w przeciwnych kierunkach. Shiv powinna się ucieszyć, że dopisało jej szczęście, skoro nagle została sama i mogła bez problemu spotkać się z Nikosem. Zdążyła już jednak stracić nadzieję, że on przyjdzie.

Mimo to wstała od stolika i ruszyła przez tłum w stronę sceny.

Za głównym budynkiem kliniki znajduje się nieduży las, a za nim strome wzniesienie. Trudno się na nie wdrapać, ale warto to zrobić ze względu na roztaczający się stamtąd widok na dolinę. Omiatając wzrokiem zalesione wzgórza wokół, można odnieść wrażenie, że nagle cofnęło się do czasów, gdy ludzie jeszcze nie istnieli.

Shiv siada na trawie. Jej oddech się uspokaja. „Co zielone, to zdrowe” – wyławia z pamięci zasłyszany gdzieś slogan, chłonąc oczami panoramę, piękną i kojącą. Kładzie się na plecach i przymyka powieki. Jest trochę zmęczona i przygnębiona po ostatnich zajęciach, na których musiała znowu pisać o Declanie. Przyszła tutaj, żeby na chwilę się od niego oderwać. Wizualizuje sobie szafkę i książki rozrzucone na podłodze, które symbolizują wspomnienia o bracie. W wyobraźni podnosi je po kolei, chowa w szafce, zamyka drzwiczki i przekręca kluczyk w zamku.

To stara sztuczka terapeutyczna, a nie metoda Korsakoffa.

Z każdym mijającym dniem Shiv czuje się coraz bardziej dezorientowana. Terapia, której wcześniej się poddawała, diametralnie różni się od metody stosowanej w klinice. Jej psychoterapeutka zachęcała ją do odcinania się od Declana, ale to w ogóle nie pomagało. Przeciwnie, nawet szkodziło. W tym ośrodku namawiają ją do wypełniania Declanem każdej minuty, każdego dnia. To chyba działa. Tylko co będzie, gdy opuści klinikę i wróci do *prawdziwego* życia, gdzie nie ma Declana?

Bezwiednie zapada w drzemkę, a potem się budzi z uczuciem suchości w ustach i paniki w sercu. Spogląda na zegarek. Uspokaja się. Nadal ma czas, żeby zejść na dół, wrócić do pokoju, odświeżyć się i pójść na kolację.

Wstaje, przeciąga się i ziewa. Nagle dostrzega kogoś kątem oka. To znowu on. Tamten chłopak, który przypomina jej Declana – schodzi ze zbocza z drugiej strony, nieświadomy jej obecności.

– Hej! Poczekaj! – woła za nim.

Za późno. Już go nie widać. Zniknął za drzewami. Shiv bez namysłu rusza za nim.

Za wzgórzem rośnie las. Chłopak już tam wszedł – pomiędzy pniami błyska jego biała koszulka. Shiv znowu do niego woła, ale wiatr porywa jej słowa, więc nawet sama prawie ich nie słyszy.

Wbiega w las gęsto porośnięty krzewami paproci i jeżyn. Przystaje i znowu krzyczy, rozglądając się za chłopakiem. Bez odzewu. Dookoła same drzewa. Wchodzi między nie, przedziera się przez zarośla raz w prawo, raz w lewo. Chłopaka nigdzie nie widać. Idzie dalej, brnie coraz głębiej w las.

– Declan! Dec, gdzie jesteś?! – woła, nie panując nad swoim głosem.

Bliska płaczu, bez tchu w płucach, wreszcie się poddaje. Rozgląda się, żeby odzyskać orientację w terenie i znaleźć drogę powrotną na wzgórze, ale gdziekolwiek się odwróci, wszystko wygląda tak samo. Zgubiła się.

*Idiotka. Skończona idiotka!*

Ze wszystkich stron otaczają ją wysokie, milczące drzewa, niczym armia żołnierzy czekających na jej rozkaz. Losowo wybiera kierunek, a potem maszeruje przed siebie.

Okazuje się, że las, przez który się przedziera, łączy się z tym, po którym spacerują podczas Chodzenia, ponieważ Shiv nagle dociera do obsypanego korą drzewną szlaku prowadzącego do miejsca, gdzie się odbywa Tworzenie.

Wreszcie może odetchnąć z ulgą.

Nagle słyszy dziwny, gardłowy odgłos. *Lis? Borsuk?* Wsłuchuje się uważnie. Nie, to na pewno człowiek. Ktoś głośno sapie i szura nogami. Shiv, zaciekawiona, podchodzi bliżej ścieżką prowadzącą na polanę, na której rano robią sobie przerwę. Polanę zalewa złotawe, popołudniowe światło, ale nikogo na niej nie ma.

Nagle... Mikey.

Ubrany w żółty kombinezon, odwrócony do niej plecami, stoi z rękami na biodrach przy stromym, błotnistym pagórku na skraju polany i ciężko oddycha. Potem nachyla się, żeby coś podnieść z ziemi – to odrąbany kawał pnia drzewa, wielkości opony samochodowej. Z gardłowym jękiem dźwiga kłodę, przyciska ją do brzucha i wspina się

na pagórek, z trudem wykonując każdy krok. Shiv jest pewna, że zaraz upuści kłodę i padnie na kolana, jednak udaje mu się wdrapać na szczyt zbocza i dopiero tam rzuca na ziemię kawał drewna, który ląduje z głośnym hukiem. Odpoczywa przez parę chwil, po czym znowu się nachyla, żeby podnieść kłodę i zejść z pagórka.

Shiv czeka, aż to zrobi, i dopiero wtedy woła:

– Mikey!

Dostrzega ją i wbija w nią wrogie spojrzenie.

– Co ty tu robisz?

– Miałam ci zadać to samo pytanie.

Jest oblany potem, jego ręce drżą, są pokaleczone i całe w pęcherzach. Musiał chodzić w górę i w dół zbocza przynajmniej kilka razy.

– Syzyf – mówi Shiv.

– Co?

– Taki facet z mitologii greckiej. Musiał w nieskończoność toczyć pod górę wielki głaz. Kojarzysz?

Widać, że Mikey nie ma pojęcia, o czym ona mówi.

Siadają na powalonym drzewie na skraju polany. Shiv zaczyna wyjaśniać, skąd się tutaj wzięła. Opowiada, jak wybrała się na samotny spacer i zgubiła w lesie, nie wspomina jednak o chłopaku, za którym poszła. Mikey słucha z obojętną miną. Czy to jego widziała tam, na wzgórzu? Nie. Wygląda na to, że on siedzi tu od jakiegoś czasu. Poza tym ma na sobie niebieski T-shirt i żółty kombinezon, a nie białą koszulkę.

Znowu spogląda na jego pokaleczone dłonie. Wskazując je, mówi:

– Musi boleć.

– Trochę – odpowiada Mikey, patrząc na swoje ręce, jakby należały do kogoś innego.

– Trochę trochę czy bardzo trochę? A może bardzo bardzo?

– Trochę bardzo.

– Takiej opcji nie było.

Mikey wreszcie na nią patrzy.

– Przez sekundę myślałam, że się uśmiechniesz – rzuca Shiv.

– To się przeliczyłaś.



Shiv stuka palcem w swój zegarek.

– Technicznie rzecz biorąc, nadal jest Czas dla Przyjaciela.

Powinieneś być miły dla swojej Przyjaciółki.

– Nie jesteś moją...

– Tak, tak, już to mówiłeś. Nie jestem, ale mogłabym być, gdybyś mi pozwolił. Bo wiesz, wydaje mi się, że... czujesz się strasznie samotny, Mikey.

Chłopak otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale się rozmyśla i znowu milczy.

Shiv patrzy na jego zmierzwiłone włosy i blade policzki. Zerka w jego oczy, z których nie da się niczego wyczytać. Zdaje sobie sprawę, że Mikey mógłby po prostu wstać i odejść albo powiedzieć jej, żeby się odwaliła. Jednak nie robi ani jednego, ani drugiego. To dobry znak.

Shiv chce przerwać milczenie, ale nie ma pojęcia jakimi słowami. Rozmawianie z Declanem przypominało słowne szachy, a z Mikeyem jest bardziej jak rzucanie do siebie wielką, ciężką piłką lekarską.

– Dec uwielbiał wdrapywać się na drzewa – mówi do niego, pokazując ręką otaczające ich lasy.

– Dec? Twój brat?

– Tak. Był jak mała małpka.

Mikey nie komentuje, tylko kiwa głową, wpatrując się w swoje drżące dłonie.

– To znaczy, w przeciwieństwie do małpy nie miał ogona – dodaje Shiv. – I nie był taki owłosiony. I nienawidził ba-nanów.

Tym razem Mikey się uśmiecha, lecz odwraca głowę, żeby tego nie widziała. Znowu zapada cisza. Shiv nie chce niczego siłą z niego wyciągać.

Mikey krzyżuje ramiona, wsuwa dłonie pod pachy i zaczyna kołysać się w przód i w tył.

Wolałaby, żeby przestał, ale nic nie mówi.

Wreszcie chłopak nieruchomieje.

– Kojarzysz takie piramidy zrobione z linek? – pyta ją. – Wiesz, na placach zabaw. Feebs już w wieku sześciu lat umiała się wdrapać na sam szczyt.

Patrzy jej prosto w oczy, jakby się spodziewał, że Shiv powie: „Daj

spokój, nie żartuj!”. Ona jednak kiwa głową i robi minę mówiącą, że jest pod wrażeniem, co zresztą jest prawdą. Kiedy sama miała sześć lat, zaczynała beczeć, gdy mama zbyt mocno pchnęła ją na huśtawce.

– Jaki miała kolor włosów?

Mikey wpatruje się w nią z podejrzliwą miną.

– Brązowe, jak nasza mama. Trochę falowane.

– Była ładna?

– Ładna? Skąd mam wiedzieć? Przecież to moja siostra.

Shiv zmienia temat:

– Co lubiła robić? Czym się interesowała?

Mikey namyśla się przez chwilę.

– Sylvanian Families. Leśna Rodzinka. – odpowiada wreszcie. –

Całymi godzinami bawiła się nimi w swoim pokoju. – Zaczyna wyjaśniać, co to, ale Shiv mu przerywa. Ona też zbierała zabawki z tej serii. – Najbardziej lubiła wiewiórki – dodaje Mikey.

– Ja robiłam swoim domki ze starych pudełek po butach – przyznaje Shiv.

Mikey kręci głową.

– Feebs nie. W końcu wyrosła z tych zabawek – ciągnie.

„W końcu”, czyli gdy miała dziewięć lat. Wtedy zmarła. – To znaczy mówiła, że wyrosła. Trzymała je schowane na dnie szafy, na wypadek gdyby po szkole przyszły do niej koleżanki. – Uśmiecha się. – Ale ja wiedziałem, że czasami nadal się nimi bawi.

Opowiada, że jego siostra biegała najszybciej ze wszystkich dziewczynek w szkole. Wygrywała nawet z większością chłopaków. Była też najlepsza w klasie z matmy. I świetnie grała na fortepianie.

Shiv słucha, kiwa głową, uśmiecha się.

Mikey nigdy nie opowiadał o swojej siostrze na Rozmawianiu. Tylko raz zabrał głos, żeby wygarnąć pani Sumner, że jej zajęcia to strata czasu. Niektórzy rezydenci mają mu to za złe. Myślą sobie: „My się odzywamy, a ty nie. Jesteś lepszy od nas?”. Shiv żałuje, że nie może nagrać tej rozmowy z Mikeyem. Mogłaby im ją puścić i powiedzieć: „Widzicie? On jest taki sam jak my”.

Shiv też mogłaby, tak jak Mikey, buntować się przeciwko programowi kliniki. Mogłaby się dystansować, nie kontrolować, mieć

napady, rozwalać rzeczy. Ale nie chce już być taką osobą. I nie chce, żeby Mikey taki był.

– Prawie ją złapałem. – Wyciąga swoje poranione ręce i zaciska je w powietrzu. A potem, potrząsając głową, jakby odganiał muchę, dodaje: – *Powinienem. Powinienem ją złapać.*

Po namowach opowiada Shiv, co się stało nad rzeką. Jak jego kolega Dazz wpadł na pomysł, żeby przejść przez wodę na wysepkę. Tylko że to nie jest ważne. Bo to Mikey miał pilnować Feebs. Powinien się nie zgodzić. Albo kazać Phoebe zaczekać, nie iść za nimi. Bo woda jemu i Dazzowi sięgała tylko dotąd – wykonuje cios karate w swój brzuch – a jej aż po pachy.

– A potem rzeka nagle...

Nie kończy. Nie musi.

Shiv potrafi sobie to wszystko wyobrazić, jakby stała wtedy nad brzegiem, patrzyła na dziewięcioletnią dziewczynkę z brązowymi, pofalowanymi włosami, która raptem traci równowagę, krzyczy, porwana przez rzekę, Mikey rzuca się za nią, obiema dłońmi łapie ją za rękę... ale puszcza. Nie ma dość siły. Rzeka jest o wiele silniejsza od niego. Shiv oczami wyobraźni widzi, jak woda najpierw porywa Feebs, a potem ją pochłania, połyka, wciąga pod powierzchnię. *Czy Mikey popłynął za nią? Czy sam prawie utonął, usiłując ją znaleźć, wyciągnąć spod wody, uratować?*

Domyśla się, że tak.

Może dlatego nosi tę kłodę? Chce sobie udowodnić, że ma w sobie siłę. Siłę, która go zawiodła, gdy najbardziej jej potrzebował. A może po prostu karze siebie za to, że nie zdołał ocalić siostry?

Shiv zaczyna wspominać śmierć Declana. Swój udział w jego śmierci. Swoją porażkę.

– Nie powinnaś płakać z powodu mojej siostry – mówi Mikey, spoglądając na nią ze zdziwieniem.

Shiv ociera policzki.

– Tak, wiem. Przepraszam.

Mikey jeszcze przez kilka chwil wpatruje się intensywnie w jej twarz, po czym znowu ucieka oczami w bok i wbija wzrok w kłodę leżącą u stóp pagórka, jakby miał zamiar wstać, podejść do niej i kolejny

raz wnieść ją na górę.

– To trwa tylko kilka sekund, nie? – odzywa się Shiv. – W jednej sekundzie ktoś jest, a w następnej już go nie ma. Ale nie da się cofnąć czasu. Nie można wrócić do momentu, kiedy mogłeś zrobić coś inaczej. Lepiej.

Choć Mikey na nią nie patrzy, Shiv wie, że słucha tego, co do niego mówi. Zaczyna opowiadać o wypadku Declana, ale on jej przerywa:

– Wiem. Gadali o tym w wiadomościach.

Shiv potrząsa głową.

– To, co mówili w telewizji i pisali w gazetach... – urywa.

Opowiada mu prawdziwą wersję tej historii. Tę, w której to ona jest wszystkiemu winna.

Gdy kończy mówić, znowu zapada cisza. Spogląda na zegarek; jest już za późno, żeby zdążyła na kolację, ale co z tego? Mogłaby siedzieć tutaj z Mikeyem tak długo, aż zrobi się zimno, ciemno i oboje rozpląną się w nocnym powietrzu.

– Powinniśmy wracać – rzuca niechętnie. – Zanim wyślą po nas ekipę ratunkową.

Mikey ściera brwi, jakby nie rozumiał, o czym Shiv w ogóle mówi. Widać, że gdy milczeli, zamyślił się i wyłączył.

– Przez dwa dni nie mogli jej znaleźć – odzywa się nagle. – Dopiero jakiś wędkarz ją zauważył. Daleko od miejsca, w którym zatonęła. – Pociąga nosem, połykając łzy. – Najpierw myślał, że to zdechły pies. Tak właśnie powiedział. Zdechły pies unoszący się na wodzie.

W nocy śni się jej, że jest w lesie nieopodal domu ciotki Rosh. Razem z bratem oddaliła się od rodziców, żeby poszukać drzew, na które mogliby się wdrapać.

Początek snu jest wierną kopią historii, która wydarzyła się naprawdę pewnego dnia dwa lata temu. Declan wybrał wielki jawor i wspinał się prawie na jego wierzchołek. Nagle ogarnął go paniczny strach. Nie zaczął wołać o pomoc, tylko kurczowo trzymał się gałęzi, która uginała się pod jego ciężarem. Shiv stała pod drzewem i patrzyła na to bezradnie.

Gdy dogonili ich rodzice, była pewna, że ktoś z dorosłych od razu wkroczy do akcji – albo tato, albo wysportowana ciocia Rosh. Najszybciej zareagowała jednak mama. Zrzuciła z ramion plecak i zaczęła się wspinać na drzewo.

– Już idę, synku! Trzymaj się tak mocno, jak możesz. Zaraz będę przy tobie.

Zatrzymała się pod Declanem i dodając mu otuchy, pomogła mu postawić jedną, a potem drugą stopę na gałęzi rosnącej poniżej. I tak dalej, gałąź po gałęzi. Kiedy wreszcie zeszli na ziemię, Declan był ciągle w szoku. Stał w bezruchu, blady i przerażony, podczas gdy mama otrzepywała jego ubrania i włosy, jakby to, że się trochę ubrudził, było najgorsze w całej tej historii.

We śnie wszystko wygląda inaczej.

To Shiv, a nie Declan, siedzi uwięziona na gałęzi. Drzewo kołysze się na wietrze, zacina lodowaty deszcz, a – co najważniejsze – z pnia nie wyrastają gałęzie, po których mogłaby zejść na ziemię albo ktoś mógłby się wspinać, żeby ją uratować.

Pod drzewem czają się dwa wielkie, wychudzone psy, podobne do wilków, opętańczo ujadając i czekając, aż Shiv spadnie.

– Mogłem umrzeć – powiedział Declan tamtego wieczoru, gdy wrócili do domu cioci Rosh.

Tato potrząsnął głową.

– Nie dzisiaj, Dec. To jeszcze nie była twoja kolej.

Za sceną – tam gdzie byli umówieni – nie znalazła Nikosa.

Przynajmniej było tu pusto. Żadnych świadków jej upokorzenia. Stała w cieniu drzew rosnących na tym krańcu plaży, oparta o wysokie ogrodzenie, zasłaniające wszystko, co się działo na festynie wielkanocnym. Ziemia usłana była pustymi puszkami, niedopałkami i cuchnącymi odpadkami, które wypluło morze. Wśród śmieci dostrzegła zużytą prezerwatywę. Pomyślała sobie, że okropna sceneria ich niedosłego spotkania jest upiornym symbolem. Radosna muzyka oraz odgłosy tańców i śpiewów działały jej na nerwy.

Nagle spomiędzy drzew wyłonił się Nikos.

Gdyby nie uśmiezek, z którym do niej podszedł, może nie uderzyłaby go tak mocno w ramię. Gdyby nie próbował złapać jej za rękę, może nie uciekłaby od niego.

Jak śmiał jej to zrobić? Spóźnił się, ale zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Mało tego – wyglądał na zadowolonego z siebie.

Jak śmiał nie zauważyć, że jest wściekła? Dlaczego niczego nie rozumiał?

Wyrwała mu się i uciekła. Przez łzy, które napłynęły jej do oczu, wszystko było rozmazane i rozmyte. Dookoła niej ludzie tańczyli, rozmawiali, śmiali się, bawili... Do diabła z nimi wszystkimi!

Nikos ruszył za nią, wykrzykując jej imię.

Biegła dalej, przedzierając się przez ludzi stłoczonych pod tawernami, ślepa na ich spojrzenia, głucha na ich komentarze. Wreszcie przebiła się przez tłum i wbiegła w jedną z wąskich, ciemnych uliczek. Po jakimś czasie dotarła do placu zalanego słońcem.

Nikos dogonił ją przy nieczynnej, odrapanej fontannie.

– Shiv, przestań, błagam – poprosił, łapiąc ją za nadgarstki.

Obróciła się na pięcie, wyrывая mu się gwałtownie.

– Nie dotykaj mnie!

– Czemu jesteś na mnie wściekła? Nie rozumiem – oświadczył bez tchu. Wydawał się bardziej zziębnięty i zmęczony niż ona. Miał na sobie niebiesko-białą koszulkę do koszykówki. W zagłębieniu pod szyją zebrały mu się krople potu, a jego tors unosił się gwałtownie z każdym

oddechem. – Aż tak się spóźniłem?

– Myślałam, że nie przyjdiesz – odparła. – A potem zobaczyłam, jak idziesz sobie spacerkiem, z tym głupim uśmiezkiem, jakby wszystko było super, bo raczyłeś się łaskawie pojawić.

– Uśmiechałem się, bo się ucieszyłem, że cię widzę.

Nie dała się udobruchać.

– Dlaczego wybrałeś akurat tamto miejsce?

– Bo tam nikt by nas nie zobaczył – wyjaśnił, wzruszając ramionami. – To znaczy twoi rodzice.

– Tam śmierdziało. Było obrzydliwie.

– Shiv...

– Nigdzie cię nie widziałam. – Wskazała ręką plażę w oddali. – Nie przysłałeś mi ani jednego SMS-a.

Wypuścił głośno powietrze. Na pewno był zirytowany, ale starał się tego nie okazywać.

– Byłaś ze swoją rodziną. Myślałem, że nie miałabyś jak sprawdzić wiadomości.

Stała w miejscu, gromiąc go wzrokiem, lecz czuła, że powoli się uspokaja. Drażniło ją, że jest taki rozsądny.

Nikos pogładził dłonią jej nagie ramię.

– Shiv, proszę, nie bądź taka.

Nagle sobie uświadomiła, jak niedojrzale się zachowuje. Pewnie teraz uważał, że jest żałośnie dziecinna. Płakała, uciekała, krzyczała. Z jakiego powodu? Przecież nie wystawił jej do wiatru. Tak, spóźnił się, ale tylko trochę. Sama się nakręciła. Wmówiła sobie, że Nikos nie przyjdzie, a kiedy się zjawił, poczuła taką ulgę, że straciła panowanie nad sobą.

W tej chwili różnica wieku między nimi wydała się jej większa niż kiedykolwiek wcześniej.

– O Boże – jęknęła. – Pewnie myślisz, że jestem skończoną idiotką.

Uśmiechnął się do niej. Rano się nie ogolił. Ciemny zarost podkreślał biel jego zębów.

– Myślę, że... – zaczął, masując swoje ramię – masz naprawdę mocne uderzenie.

Zaprowadził ją do kawiarni przy bocznej uliczce, gdzie można się było schować przed prażącym słońcem. Usiedli przy jednym ze stolików na chodniku. Nikos zamówił czarną kawę.

– Smakuje ci? – zapytał, gdy Shiv odstawiła na spodeczek miniaturową filiżankę.

– Mmm – mruknęła, usiłując się nie skrzywić. Nigdy w życiu nie miała w ustach czegoś tak gorzkiego.

– Przybysze z Anglii zazwyczaj nie gustują w naszej kawie.

– No cóż, nie jest to delikatna latte.

Upiła kolejny łyk, licząc na to, że tym razem kawa bardziej jej posmakuje. Niestety, tak się nie stało. Spojrzała na butelkę schłodzonej wody, którą zamówił dla nich Nikos. Otworzył ją i wlał do obu szklanek.

– Mów szczerze, nie obrażę się.

– Czyżbym oblała jakiś test? – zapytała z uśmiechem.

– Tak, totalnie.

Roześmiała się, on też. Tak dobrze było siedzieć z nim tutaj, rozmawiać, żartować. To, co się wydarzyło na plaży, zdążyło już wyblaknąć w jej pamięci niczym stara fotografia. Uliczka, przy której teraz siedzieli, była całkowicie wyludniona. Równie dobrze mogliby znajdować się w jakimś widmowym, wymarłym mieście jako jedyne osoby, które przeżyły apokalipsę.

– Twoi rodzice nie będą się zastanawiali, gdzie się podziewasz?

Wyjaśniła, że poszli zwiedzać kościół, lecz nie wspomniała, że kazali jej mieć oko na Declana. Na parę długich chwil zapadła między nimi cisza, jakby przyzwyczajali się do swojego towarzystwa, uczyli się bycia ze sobą.

– Tęsknisz za domem, kiedy wyjeżdżasz na studia? – zapytała.

– I tak, i nie. – Przesunął palcem po wilgotnej ścianie szklanki z wodą. – Lubię tutaj wracać, ale lubię też wyjeżdżać.

Rozmawiali o jego życiu: studiach, znajomych, pracy w barze, gdzie dorabiał sobie na pół etatu, rzeczach na Kyritos, za którymi tęsknił w Salonikach. Takiej rozmowy nie mogłaby przeprowadzić z żadnym chłopakiem ze swojej szkoły. Chociaż Nikos opowiadał o trudnościach w przyzwyczajaniu się do życia w dużym mieście, z dala od domu, wydawał się odprężony i pewny siebie. To był jednak inny rodzaj



pewności siebie niż ta, którą widywała u chłopaków w jej wieku. Nie była czymś na pokaz, obliczonym na zachwyty ze strony dziewczyny.

– Po studiach wrócisz tutaj? – zapytała.

– Na Kyritos? – Zastanawiał się przez chwilę. – Wątpię. Może wyjadę z Grecji. Nie ma tu pracy ani pieniędzy.

– A co z twoją rodziną? Czy nie będziesz...

– Moja rodzina jest moją rodziną, ale nie moim życiem.

– Myślałam, że jesteś z nimi bardzo blisko.

– Tak, jestem. Ale... – nie dokończył myśli.

– Ale co?

– W tak zżytej ze sobą rodzinie, zwłaszcza dużej, jesteś związany mnóstwem małych węzełków. To jest jak bycie w więzieniu, tylko że wszyscy cię kochają i ty też musisz odwzajemniać tę miłość. Czasami chcesz jednak... odplątać się. – Wzruszył ramionami. – To między innymi dlatego się ucieszyłem, wyjeżdżając na studia do Salonik.

– Gdzie chciałbyś się przeprowadzić, gdybyś mógł wybrać dowolne miejsce na świecie?

– Do Ameryki. – Dotknął swojej koszulki i dodał: – Wystarczy, że podrosnę jeszcze dwadzieścia centymetrów i mogę grać w New York Knicks.

Zaśmiała się i upiła łyk wody.

Nikos rozparł się wygodnie na krześle i z uśmiechem błakającym się po wargach przyglądał się jej długo, z wyraźną aprobatą. Starła się nie gapić na niego, żeby nie wyczytał z jej twarzy: „Boże, jaki on jest seksowny!”.

– A co z tobą? – zapytał.

– Co ze mną?

– Będziesz mieszkała w innym kraju? Chciałabyś?

– Chyba nie.

– Dlaczego?

– Nie wybiegam myślami tak daleko – powiedziała, zanim ugryzła się w język.

– Tak, najpierw musisz skończyć college. Zaczynasz jesienią?

– Tak. We wrześniu – skłamała, podtrzymując wersję, że ma siedemnaście lat.

– Czyżby Oksford? – zapytał z udawaną powagą. – A może Cambridge? To musi być taka trudna decyzja.

Shiv pokazała mu język. *Jezu, naprawdę to zrobiłam?*

– Zależy od moich stopni. Ale nie, ani Oksford, ani Cambridge. – Wyłowiła z pamięci rozmowę, którą odbyła ze starszą siostrą Laury. – Złożyłam papiery do Leeds i Nottingham. – To zdanie było wstępem do ryzykownej dyskusji o tym, dlaczego jej pierwszym wyborem było Leeds, jaki kierunek chciałyby studiować oraz czy będzie musiała pracować, biorąc pod uwagę fakt, jak kosztowne są studia w Anglii.

Kłamała jak z nut. Brzydziła się sobą, że to robi. Ale gdy okłamiesz kogoś w kwestii swojego wieku, musisz dalej go oszukiwać w wielu innych sprawach.

– A więc za parę miesięcy – podsumował Nikos – opuścisz swój rodzinny dom.

– Ano tak. – Starła się wyglądać na jednocześnie podekscytowaną i pełną obaw.

– Będziesz tęskniła za rodziną?

– No pewnie.

– Pewnie tak czy pewnie nie?

– „No pewnie” oznacza, że... – urwała, bo zrozumiała, że Nikos się z niej nabija. – Nie zrozum tego źle, Nikos, ale czasami naprawdę przypominasz mi mojego brata. Macie takie samo poczucie humoru.

Przytaknęła.

– Zauważyłem.

– To dlatego cię lubi.

– Może dlatego ty też mnie lubisz.

Żachnęła się.

– Lubię cię, bo przypominasz mi mojego brata?

– Chodziło mi o to, że.... – Zmarszczył czoło. Po chwili dokończył:

– Ty i Dec wyglądacie jak dobrzy znajomi. Jakbyście chcieli się ze sobą kumpłować, nawet gdybyście nie byli rodzeństwem.

– Tak, masz rację. – Zaśmiała się, nieco zmieszana. – To chore, prawda?

– Nie, to fajne. Oznacza, że jesteś dobrą osobą. – Postukał się w pierś. – No wiesz, tutaj.

– W moich *plucach*?

Zaśmiali się. Shiv zastanawiała się, jak taki kiczowaty komplement zdołał sprawić, że zrobiło się jej tak ciepło w środku.

– Pewnie Declan był wniebowzięty, że idzie zwiedzać kościół – rzucił Nikos z ironią.

– Nie, poszli tylko rodzice. Dec został, żeby pomagać przy paleniu Judasza. Pewnie zdążył się już zaprzyjaźnić z dziesięcioma osobami.

– Będzie ci go brakowało.

– Jak to?

– Kiedy wyjedziesz na studia.

Spuściła wzrok i znowu napiła się wody. Wiedziała, że będzie jej brakowało Nikosa. Nagle uderzyła ją myśl, że to tylko wakacyjna znajomość, skazana na nieuchronny koniec, kiedy za pięć dni wyleci do domu. Pięć dni! Nikos po ślubie brata wróci na studia, a ona będzie już w Wielkiej Brytanii. Może będą pisali do siebie SMS-y i e-maile – a może nawet rozmawiali przez Skype’a – ale prędzej czy później taka znajomość na odległość się skończy, urwie albo umrze śmiercią naturalną. Zawsze tak to wygląda, prawda? Zresztą ona będzie uczennicą, a nie studentką, więc nawet jeśli we wrześniu nadal będą utrzymywali kontakt, Shiv będzie musiała wyjaśnić, dlaczego nie idzie na studia. Albo dalej go okłamywać, wymyślać fikcyjne życie w Leeds, Nottingham czy jakimś innym mieście.

Nie. Ten dzień i kilka następnych to było wszystko, na co mogła liczyć, jeśli chodzi o znajomość z Nikosem.

Zadrżała, jakby powiała zimna bryza.

– Masz dziewczynę w Salonikach?

Nie zamierzała zadać tego pytania. Wiedziała, że nie powinna, ale to zdanie po prostu jej się wyrwało.

Przez parę chwil patrzył jej prosto w oczy.

– Miałem, ale już nie mam – odparł wreszcie i zapytał: – A ty masz chłopaka?

Shiv pokręciła głową.

– Miałam, ale już nie mam.

Zawibrowała jej torebka. Wzdrygnęła się i wyjęła komórkę.

– To mama. Pisze, że wychodzą z kościoła i wracają na plażę.

Nikos rzucił okiem na zegarek.

– Już niedługo będą palili kukłę Judasza. A później, po zachodzie słońca, będzie pokaz fajerwerków.

– Nie wiem, czy zostaniemy tak długo.

– Miałem nadzieję, że z tobą zatańczę.

Dokończył swoją kawę.

– Dzisiaj?

– Już wcześniej, kiedy do ciebie szedłem. Zamierzałem zaciągać cię na parkiet. Nie przejmowałbym się tym, czy ktoś nas zobaczy.

– Mogłeś mi o tym powiedzieć, zanim uciekłam...

Pożałowała tego komentarza. Mógłby przecież odpowiedzieć: „A po co w ogóle uciekałaś?”, ale tego nie zrobił. Wskazał głową pustą uliczkę i rzucił:

– Możemy zatańczyć tutaj.

Shiv się zaśmiała.

– Nie mamy żadnej muzyki.

– Posłuchaj.

W ciszy dało się usłyszeć stłumione jak szept echo melodii granej przez kapelę na plaży.

– Mamy muzykę.

Podniósł się z krzesła i pociągnął ją za rękę, żeby też wstała.

Za parę minut będą musieli wracać na plażę. Pocałują się, pożegnają i rozstaną. Ona znowu zajmie miejsce przy stole, w samą porę, żeby przywitać rodziców, zziajanych i spoconych po długim spacerze w słońcu. Kiedy zapytają, gdzie jest Declan, Shiv wskaże im ręką miejsce, gdzie jej brat gra w siatkówkę plażową z greckimi dziećmi. Zapytają, czy czuje się lepiej, na co ona odpowie: „Tak, dzięki”.

To wszystko miało się dopiero wydarzyć. W tej chwili jednak istniał tylko Nikos, ta pusta uliczka i echo odległej muzyki.

Wracają do Eden Hall. Na korytarzu zatrzymuje ich jeden z sanitariuszy. Rzuca okiem na rany Mikeya i każe mu się zgłosić do pielęgniarki.

– Pod warunkiem, że ona pójdzie ze mną – odpowiada Mikey, wskazując głową Shiv.

W sali medycznej nawet nie pozwala się tknąć siostrze Zenie, więc to Shiv myje mu ręce mydłem w płynie i miękką gąbką.

– Spokojnie, delikatnie – radzi jej Zena, gdy Shiv zanurza rękę chłopaka w ciepłej wodzie.

Mikey syczy i cały sztywnieje, jakby poraził go prąd. Z jego ust wylatuje wiązanka przekleństw.

– Sorry, Mikey – mruczy Shiv.

Chłopak stoi w bezruchu z zaciśniętą szczęką, walcząc ze łzami. Woda rozpuszcza brud, więc dopiero teraz widać, jak strasznie pokiereszował sobie ręce. Są spuchnięte, całe w ranach, zadrapaniach i pęcherzach. Ma zdarte wielkie kawały skóry. Widok jak z horroru.

– Boże drogi! – mówi pod nosem Zena. – Coś ty sobie zrobił?

Sadza go na krześle, kładzie mu miękkie ręcznik na kolanach, a Shiv osusza mu dłonie tak łagodnie, jakby były noworodkami. O dziwo, choć wie, jak bardzo go to boli, ta czynność jest dla niej czymś kojącym. Przyjemnym. Następnie Mikey wreszcie pozwala, żeby zajęła się nim pielęgniarka.

– Nie spodoba ci się to, co teraz zrobię – uprzedza go Zena.

Shiv kładzie mu dłonie na ramionach, ale gdy siostra Zena kończy dezynfekowanie ran, Mikey nie może już dłużej powstrzymać łez.

Nazajutrz rano znajome brzęczenie interkomu sygnalizuje koniec kolejnej ciszy nocnej. Shiv jest już ubrana, gdy zagląda do niej Caron, żeby jak zwykle zeszły razem na śniadanie.

Caron wskazuje korytarz ledwo dostrzegalnym ruchem głowy.

– Jest impreza – szepcze bezgłośnie.

Shiv wychyla się i widzi górę mebli przed drzwiami na końcu korytarza: biurko, drewniane krzesło, fotel, lampkę nocną, prześcieradło, kołdrę, poduszki, zasłony. Kolejny przedmiot ląduje na tej stercie –

czerwony wazon z kwiatkami, wyrzucony przez otwarte drzwi. Woda ochlapuje ścianę, kwiaty wysypują się na podłogę. Chwilę później z pokoju wylatuje abażur.

Gdy zaglądną do sypialni Mikeya, ten mocuje się z szafą. Poplamione krwią bandaże luźno zwisają z jego dłoni.

– Cześć, Mikey – mówi Shiv.

Chłopak wita się z nią skinieniem głowy i dalej ciągnie szafę, która jest dla niego zbyt ciężka. Pomijając odarte z pościeli łóżko, pokój jest już całkowicie pusty.

– Potrzebujesz pomocy, stary?

To Docherty. Hałas przyciągnął również Lucy i Helen. Mikey odpowiada, że sam da sobie radę, ale Docherty przepycha się pomiędzy Shiv i Caron i chwyta mebel z drugiej strony. Wspólnymi siłami wynoszą szafę na korytarz i stawiają obok reszty rzeczy. Zjawia się pan Webb. Spóźnił się parę minut. Teraz może już tylko stać i podziwiać ten widok.

Caron omiata wzrokiem pokój.

– Ładniutko – mówi. – Jak w cholernej celi więziennej.

– Dokładnie – przytakuje Shiv.

W czasie Chodzenia Shiv nawet nie próbuje rozmyślać o bracie. Odkryła, że Declan wchodzi do jej głowy wtedy, gdy ona się do tego nie zmusza, tylko oczyszcza swój umysł i próbuje o niczym nie myśleć. Tworzy pustą przestrzeń, którą on następnie wypełnia. Z reguły, choć nie zawsze, to działa.

Przechodząc przez pustą łąkę za Eden Hall, rezydenci dopiero starają się wpaść w rytm. Shiv przymruża oczy, lecz nie zamyka ich do końca, żeby mogła widzieć zielone buty idącej przed nią Caron i dostrajać swoje kroki do jej kroków. Jej głowę wypełniają po kolei myśli, których musi się pozbyć: Mikey ogałaczający swój pokój; jego zabandażowane ręce; pajęczyna wytatuowana na łokciu Docherty'ego; szelest jej kombinezonu; zapach potu, którym przesiąka jej T-shirt z cytatem z Salingera; smak śniadania w ustach. Każdą z tych rzeczy Shiv starannie pakuje w swojej głowie i odstawia na bok.

Jej umysł stopniowo oczyszcza się ze wszystkiego, co mogłoby ją rozpraszać. Skupia się jedynie na stawianiu stóp na ziemi w takt swojego

oddechu.

Mija minuta za minutą.

Po jakimś czasie pojawia się Declan. Shiv słyszy jego oddech, szuranie jego czerwonych conversów na gęstej trawie lśniącej od rosy, czuje jego prawą dłoń w swojej lewej ręce. W rzeczywistości nigdy nie trzymali się za ręce. Nawet w dzieciństwie, gdy szli do podstawówki, oboje trzymali się mamy: Shiv łapała jej prawą rękę, a Declan – lewą.

Tę myśl również pakuje i odstawia na bok.

Uścisk Declana jest luźny, jakby ironiczny – spacerowanie za rękę traktuje jako coś żartobliwego. *To tylko zabawa, więc nie jesteśmy zażenowani.* Shiv podejmuje grę i ściska jego palce. *Nie martw się, Dec, trzymam cię.* Tak bardzo pragnie zerknąć na niego kątem oka. Nie ma jednak odwagi. Boi się, że jeśli to zrobi, dotyk jego skóry, odgłos jego kroków, jego oddech – to wszystko rozplynie się bez śladu w porannym powietrzu. Poza tym nie jest pewna, z którym Declanem ma do czynienia.

Tym z jej wspomnień?

Tym ze zdjęć, które co noc wyświetlają się na ścianie sypialni?

A może tym, którego czasem dostrzega na terenie kliniki?

Najstraszniejsze byłoby, gdyby odwróciła głowę i zamiast któregoś z nich ujrzała jego martwe ciało, które śni się jej w najgorszych koszmarach.

Gdy zajęcia zbliżają się do końca, Declan nagle znika. Shiv wpada w panikę, chce wykrzyczeć jego imię. Zastanawia się, czy przypadkiem tego nie zrobiła. Reszta grupy idzie jednak dalej, tak jak wcześniej, zatopiona we własnych myślach, we własnych światach.

Próbuje znowu przywołać go do siebie. Nie, to nie działa. Za mocno tego pragnie.

Parę dni później – trzynastego dnia pobytu w Klinice Korsakoffa – podczas przerwy w Chodzeniu Shiv siada na trawie obok Caron i patrzy, jak pan Hensher robi obchód po polanie, rozdając butelki z wodą i batony muesli. Kiedy do nich podchodzi, Caron jak zwykle zaczyna się z niego nabijać.

– Psze pana, czy mogę zapytać o te batony?

– Tak, słucham – odpowiada asystent zrezygnowanym tonem,

przyzwyczajony już do jej żartów.

– Czy one są zrobione z karmy dla chomików? Czy z nieczystości zdrapanych z ich klatek?

– Z nieczystości – odpowiada mężczyzna śmiertelnie poważnie.

– A nie mówiłam? – Caron szturcha łokciem Shiv, jakby wcześniej się o to założyły.

– Nieczystości szczurów, nie chomików – dodaje Hensher i odchodzi.

Shiv spogląda na pagórek, który w myślach nazywa Wzgórzem Mikeya, mimo że chłopak już tam nie przychodzi. Doktor Pollard, dowiedziawszy się, jak się pokaleczył, taszcząc kłodę, nakazała, żeby pilnowano go nawet podczas czasu wolnego.

Mikey nie ma nic przeciwko temu. Cały dzień nosi żółty kombinezon, nie tylko podczas Chodzenia i Tworzenia. Nazywa go uniformem więziennym. Każdego ranka wywala na korytarz wszystkie rzeczy, które personel następnie wnosi z powrotem do jego pokoju. On jednak nie daje za wygraną.

– Chcesz, żeby cię stąd wyrzucili, prawda? – zapytała go Shiv pewnego razu.

– Skoro nie potrafią mnie naprawić, to sam się naprawię.

Jak zwykle w trakcie przerwy Mikey stoi na skraju polany, odwrócony tyłem do reszty grupy, z pochyloną głową i rękami splecionymi na plecach.

– O co mu chodzi? – pyta Caron z irytacją.

– Uważa, że powinien być ukarany, a nie wyleczony. Mówi, że właśnie na to zasługujemy.

– My?

– Helen, Docherty, Lucy, ty i ja. Jego zdaniem nie zostaliśmy ukarani za to, co zrobiliśmy.

– Mamy spieprzone życie. To nie jest wystarczająca kara?

– Oni zginęli przez nas. Melanie, Declan, Phoebe...

– Dżizas, dziewczyno, uważasz, że Mikey ma rację? – Caron udaje, że mdleje. – Muszę usiąść.

– Już siedzisz.

– W takim razie muszę wstać i paść.



Po chwili właśnie to robi z teatralną przesadą.

– Caron, próbuję z tobą poważnie porozmawiać.

– Czyli co? Ty też masz zamiar przerobić swój pokój na celę więzienną? Ubierać się jak skazaniec? Ogolić głowę? W sumie to wyglądałoby czadowo.

Nie ma sensu gadać z Caron, kiedy jest w takim nastroju. Shiv próbuje skierować rozmowę na bezpieczniejsze tematy, sypiąc żartami, cały czas jednak myśli o Mikeyu stojącym na krańcu polany. Dla niego wszystko jest takie czarno-białe. Nie uznaje kompromisów. Z drugiej strony ironiczna, wyluzowana Caron to tylko maska, którą ta zakłada, żeby ukryć swoje prawdziwe uczucia. Choć Mikey jest cztery lata młodszy od Caron, ma w sobie odwagę, żeby spojrzeć prawdzie w oczy.

„Oto co rozbiłem. Oto kim jestem. Nie wmówicie mi niczego innego”.

Shiv słyszy podobny głos w swojej głowie. Siedzi w tej klinice, żeby go uciszyć, zagłuszyć. Jak inaczej mogłaby ze sobą wytrzymać? Jak mogłaby żyć?

Rzeczywiście, po dwóch tygodniach pobytu w ośrodku ten brutalny głos zaczął słabnąć. Albo został zagłuszony przez nieustanne myśli o Declanie, do czego ją zachęcają – żeby wymazała śmierć brata, zastąpiła ją iluzją, że on wciąż żyje, dotrzymuje jej towarzystwa, idzie obok niej ścieżką prowadzącą prosto do wyzdrowienia.

– Zamierzasz to zjeść? – pyta Caron, zerkając na jej batona.

Shiv się uśmiecha.

– Co jest? – pyta Caron.

– Dec zawsze to robił. Wtryniał wszystko, czego nie zjadłam.

– Ja niczego nie „wtryniam”. Wypraszam sobie.

– Tak czy inaczej, to są nieczystości chomików, nie?

– Szczurów. A to zupełnie inny smak.

Shiv oddaje jej batona.

– Na pewno? – pyta Caron.

– Jasne. Nie jestem głodna.

Prawdę mówiąc, myśl o jedzeniu przyprawia ją o mdłości. Tak samo działa na nią myśl, że za chwilę będzie musiała iść na Tworzenie, potem na obiad, Rozmawianie, Pisanie i kolację, a następnie czeka ją

kolejna noc ze zdjęciem Declana na ścianie sypialni.

Nazajutrz po tym, jak tańczyła z Nikosem na ulicy, Shiv siedziała wraz z rodziną na tarasie. Słońce wisiało nad zatoką niczym ogromny, złoty balon, opadający powoli ku horyzontowi. Kolejny dzień bez Nikosa. Nie udało im się potajemnie spotkać.

„Nie martw się coś wymyśl” – napisał w ostatnim SMS-ie.

Był poniedziałek. Wyjeżdżali w piątek rano.

Podczas kolacji Shiv prawie się nie odzywała i nie miała apetytu. Pogrzebała tylko widelcem w swojej porcji makaronu. Rodzice wspominali poprzednie wczasy, gdy nagle rozbrzmiał dzwonek.

– To pewnie ktoś z naszej agencji turystycznej – powiedział tato, ruszając do drzwi.

– Mogę wypełnić kartę oceny? – zapytał Declan.

– Nie – odparła stanowczo mama. – Nie po tym, co nawypisywałeś rok temu.

– O, witam! – zawołał tato tonem zbyt głośnym i zbyt przyjaznym.

– *Kalimera, kalimera.* – Wrócił na taras i oznajmił: – Mamy gościa.

To był Nikos.

Przez ułamek sekundy na twarzy Shiv musiał odmalować się szok, jak u postaci z kreskówki: rozdziawione usta, uniesione brwi, oczy jak dwa spodki. Po chwili opanowała emocje, uspokoiła się i zachowywała tak, jakby wizyta Nikosa była dla niej najmniej zaskakującą rzeczą na świecie. Przebiła widelcem muszelkę makaronu i wetknęła ją do ust. Smakowała jak kawałek gumy.

– Och, przepraszam – odezwał się Nikos. – Przeszkadzam państwu w posiłku.

– Ani trochę – odparła mama, obdarzając go swoim najcieplejszym z uśmiechów. Dotknęła miski z makaronem. – Sporo jeszcze zostało. Masz ochotę?

– Czy naprawdę możemy go poczęstować? – zapytał tato, śmiejąc się. – Declan jeszcze nie wziął trzeciej dokładki.

– Tato! – warknął Declan z groźną miną.

Nikos uśmiechnął się uprzejmie.

– Nic nie szkodzi, dziękuję. Już jadłem.

Stał wyraźnie zakłopotany, trzymając w obu dłoniach pakunek owinięty w brązowy papier, jakby ktoś wepchnął mu go w ręce, a on nie wiedział, co ma z nim zrobić.

– A więc, młody człowieku – zaczął tato – czemu zawdzięczamy tę niespodziewaną, ale jakże przyjemną wizytę?

Shiv próbowała nawiązać kontakt wzrokowy z Nikosem, żeby go ostrzec: jeśli ta paczka jest dla niej, jeśli przyszedł, żeby wygłosić jakąś deklarację („Zdaję sobie sprawę, że mogą państwo tego nie aprobować, lecz wasza córka i ja...”), to ona wskoczy pod stół i nie wyjdzie stamtąd aż do śmierci. Nikos jednak nie patrzył na nią. Ani razu nawet nie zerknął w jej stronę.

– Chciałem to dać Declanowi – oznajmił.

Na twarzy jej brata odmalowała się panika.

Nikos wręczył mu pakunek.

– Powiedziałeś, że bardzo ci się podoba moja koszulka, więc pomyślałem, że chciałbyś mieć podobną.

Shiv przypomniała sobie, jak tamtego dnia, gdy pływali na desce, Declan zachwyił się T-shirtem Nikosa, a potem oblał płomiennym rumieńcem. Teraz również cały spąsował, wyciągając z papieru zielono-złotą koszulkę. Pierwszy raz w życiu zaniemówił. Shiv nie była w stanie powiedzieć, czy jest zadowolony, czy zakłopotany.

– To stara koszulka, z której wyrosłem – wyjaśnił Nikos, gdy mama zaczęła powtarzać, że nie powinien być tak się wykosztowywać. – Oczywiście, jest czysta, uprana.

– Nikos, to bardzo miłe z twojej strony – odezwał się tato. – Nieprawdaż, synu?

Declan podniósł spłoszony wzrok.

– Och, tak. Tak. Dzięki.

– Mam nadzieję, że będzie pasowała – dodał Nikos.

– Wygląda na to, że będzie *idealna* – ponownie zabrała głos mama.

– Nasze dzieci świetnie się bawiły, ucząc się z tobą windsurfingu.

Shiv uśmiechnęła się w środku. Gdyby tylko mama się dowiedziała, że Nikos pocałował jej córkę, a jej syn prawie się utopił!

– Ten tutaj chłopiec – mama skinęła głową na Declana – nie przestaje o tobie mówić.

Declan zgromił ją wzrokiem.

– Ja też doskonale się bawiłem – odparł Nikos.

– Znakomicie mówisz po angielsku.

– Mamo – wtrąciła Shiv – nie sądzisz, że właśnie wzbiłaś się na szczyty protekcjonalności?

– Ja tylko mówię, że...

– Skoro nie możemy cię nakarmić – odezwał się tato – to co powiesz na piwo?

Nikos się zawahał. Zerknął na Shiv. *Proszę, powiedz „nie”!* Nie chciała, żeby sobie poszedł, ale przeraziła ją wizja wspólnego wieczoru w towarzystwie Nikosa oraz mamy i taty. Co mu strzeliło do głowy, żeby tu przyjść? Jeśli zostanie, rodzice na pewno wspomną o jej wieku.

– To miłe z pana strony, ale jestem umówiony ze znajomymi.

Gramy w piłkę na plaży. Zwyczajny mecz towarzyski. – Po chwili dodał: – Prawdę mówiąc, przydałoby się nam paru dodatkowych zawodników. Jeśli są tu jacyś chętni.

– Przecież *nienawidzisz* piłki nożnej – syknął Declan do Shiv, gdy szli za Nikosem wąską ścieżką przez wydmy.

– Robię za twoją opiekunkę.

To była prawda. W pewnym sensie. Starannie dobierając słowa, żeby nie urazić Nikosa, rodzice podkreślili, że nie mają nic przeciwko temu, żeby Declan zagrał w piłkę. Jednak, cóż, ponieważ miał tylko dwanaście lat, zatem Shiv, choć nie ma na to ochoty, mogłaby również się z nimi wybrać. I oboje powinni wrócić do domu, zanim zapadnie zmrok.

Przed wyjściem Declan przebrał się w koszulkę, którą podarował mu Nikos. Choć była na niego za duża, Shiv musiała przyznać, że wygląda w niej naprawdę świetnie.

– Muszę cię ostrzec, Nikos! – zawołał Declan. – Shiv gra w nogę jeszcze gorzej, niż pływa na desce.

– Zapomniałeś, kogo musiałem ratować? Twoją siostrę czy ciebie?

– Dla twojej wiadomości: wcale nie potrzebowałem pomocy, to ty postanowiłaś mnie uratować.

Nikos parsknął śmiechem.

– Jesteś pewny?

– Owszem, jestem. To była totalnie przesadna reakcja z twojej strony.

Gdy dotarli do plaży, mecz już trwał. Linie boiska, zaznaczone na piasku, podmywała woda. Cztery kaski motocyklowe służyły za słupki. W jednej drużynie grało trzech chłopaków i jedna dziewczyna, a w drugiej – tylko trzech chłopaków. Wszyscy wyglądali na rówieśników Nikosa.

Nikos wszedł na boisko i przerwał mecz, żeby przedstawić im Shiv i Declana. Declan zasilił drużynę z dziewczyną w składzie; Nikos i Shiv dołączyli do drugiej ekipy.

Shiv zauważyła, że znajomi Nikosa patrzą na niego tak, jakby nie rozumieli, po co przyprowadził tych dwoje. Żałowała, że zgodziła się przyjść.

Gdy jednak piłka znowu poszła w ruch, wszyscy skupili się na grze. O dziwo, okazało się, że Shiv nie jest najgorszym zawodnikiem na boisku. Ten zaszczytny tytuł przypadł kuzynowi Nikosa – Jossowi, który grał w jej drużynie, bo chłopak ganiał po boisku jak wariat, potrząsając ogoloną głową i brzuchem wylewającym się spod koszulki.

– To maskotka naszej drużyny – wyjaśnił Nikos, gdy Joss przerwał atak przeciwników, chwytając piłkę w ręce, a potem wepchał ją sobie pod koszulkę i pobiegł na drugą stronę boiska.

Przez większość meczu Shiv nie była w stanie nawet trafić w piłkę, ponieważ zataczała się ze śmiechu.

Do przerwy przegrywali 15 do 9 (lub 14 do 10 – w zależności, kto liczył). Declan strzelił cztery gole. Każdą bramkę uczcił akrobacjami podczas przybijania piątki z członkami swojej drużyny.

– Chyba zwariowałeś – wyszeptała Shiv do Nikosa w czasie przerwy – przychodząc do nas do domu.

On wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Tak, zwariowałem z tęsknoty za twoim widokiem.

– Ratunku! Kto pisze ci te teksty? – odparła. W środku jednak była zachwycona. Odgarnęła włosy ze spoconej twarzy. – Gdzie masz prezent dla mnie? Dec dostał koszulkę. A ja?

– Prezentem jest spotkanie ze mną.

– Raczej mecz piłki nożnej. Z tobą i ośmioma innymi osobami.

– W takim razie chodźmy na wydmy. Nikt nie zauważy, że zniknęliśmy.

Oczywiście Nikos tylko ją podpuszczał. Piłka znowu była w grze. Przez resztę meczu Shiv nie potrafiła przestać myśleć o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby jednak wymknęli się na wydmy, tylko we dwoje.

O zmroku, gdy już trudno było dostrzec piłkę, mecz został zakończony. Członkowie obu drużyn resztkami sił zakładali trampki i sandały i popijali wodę z butelek. Po jakimś czasie na plaży zostali już tylko Shiv, Declan, Nikos i jego kuzyn. Żółty piasek w gasnącym świetle słońca przybrał szary odcień.

Joss i Nikos podnieśli z ziemi kaski.

– Masz motor? – zapytał Declan.

– Tak, skuter. – Nikos wskazał na dwa motocykle stojące na poboczu szosy biegnącej wzdłuż plaży. – Pojemność silnika pięćdziesiąt centymetrów sześciennych. Bzyczy jak wściekły komar.

Obok niego stał Joss z kaskiem pod pachą. Jego łysa głowa lśniła od potu, a grube, ciemne brwi wyglądały jak doklejone.

– Declan, może pewnego dnia zagrasz w Manchester United.

Dec uśmiechnął się nieśmiało.

Joss odwrócił się do Shiv i powiedział:

– Sheev, przykro mi, ale ty nigdy nie zagrasz w Manchester United.

Dla pocieszenia poklepał ją po ramieniu.

Shiv nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Dziękuję, Joss. Doceniam twoją szczerłość.

Cała czwórka ruszyła wolnym krokiem w stronę skuterów.

W pobliskiej tawernie pieczono na grillu ryby. Dym unoszący się w powietrzu skojarzył się Shiv ze stosem rozpalonym podczas Wielkiej Soboty, gdy płomienie pochłaniały kukłę Judasza, aż w końcu nie zostało z niej nic oprócz czarnych strzępów fruwających ponad tłumem.

– Odprowadzę was – powiedział Nikos.

Oddał swój kask Jossowi, rzucił do niego parę słów po grecku, a następnie ruszyli we trójkę ścieżką wijącą się po wydmach.

Shiv wymyślała rozmaite – i nierealne – sposoby na pozbycie się Declana, żeby mogła zostać sam na sam z Nikosem. Marzyła o tym,

żeby położyć się obok niego na piasku.

Żałowała, że ten wspólny wieczór tak szybko się skończył.

Gdy dotarli do alejki, przy której stała ich willa, było już prawie zupełnie ciemno. Światła palące się na zewnątrz domu odbijały się w karoserii ich wynajętego samochodu. Stali w milczeniu, ponieważ nie wiedzieli, co zrobić, co powiedzieć.

*Proszę, Dec, wejdź do środka.*

Nikos życzył im dobrej nocy. Zamknął Declana w męskim objęciu – Dec był sparaliżowany, sztywny jak manekin z witryny sklepowej. Następnie ujął obiema rękami dłoń Shiv.

– Do zobaczenia – rzucił po prostu. Tylko tyle.

Po chwili odszedł, rozplywając się w nocnym powietrzu.

Shiv poczekała, aż wejdą do środka – aż Dec przejdzie na taras, gdzie siedzieli rodzice – i dopiero wtedy wślizgnęła się do łazienki. Zaryglowała drzwi i otworzyła dłoń, żeby sprawdzić, co Nikos wcisnął jej w rękę, gdy się zegnali.

Ostrożnie odwinęła różowy papierek.

W środku ujrzała małego, zasuszonego żółwika, którego Nikos pokazywał pasażerom podczas rejsu.



W czasie śniadania w drugą niedzielę ich pobytu w Klinice Korsakoffa – oficjalnie jest to dzień odpoczynku – pani Sumner informuje, że dzisiaj odbędzie się piknik.

– Psze pani – odzywa się Caron, podnosząc rękę. – Czy mogę zamówić kanapki z dżemem?

Pani Sumner, jak zwykle z uśmiechem przyklejonym do ust, ignoruje jej pytanie. Tłumaczy, że punktualnie o dwunastej mają się zebrać na schodach przed głównym budynkiem, a następnie razem z nią i doktor Pollard pójść na łękę przy jeziorze.

Jezioro. Shiv nie ma zamiaru zbliżyć się do jeziora. Gdy mija dwunasta, a ona nadal siedzi w swoim pokoju, pani Sumner zagląda do niej i każe dołączyć do grupy.

– Słyszała pani, co mówiłam na Rozmawianiu. Czytała pani, co pisałam na Pisaniu. Dobrze pani wie, dlaczego nie mogę tam pójść.

– A ty wiesz, dlaczego doktor Pollard chce, żebyś tam poszła.

Siadają na grubych kocach, ułożonych wokół wiklinowego kosza i lodówki turystycznej. Pani Sumner i dyrektorka rozdają jedzenie i napoje, talerze i plastikowe widelce.

Shiv spogląda na druciane ogrodzenie, na którym wisi tabliczka „UWAGA: GŁĘBOKA WODA”.

Siedzi na kocu razem z Caron i Lucy, odwrócona plecami do jeziora. Mimo to cały czas ma świadomość, że ono tam jest – za nią, za siatką. Słyszy chlupot wody. Czuje zapach wilgotnej ziemi i roślinności. Oczami wyobraźni widzi błękitne lustro jeziora zalane słońcem, latające nad nim ptaki, pływające po nim kaczki. W jej umyśle pojawia się też inny obraz wody: postrzępione skały, rozbijające się fale, smród wodorostów, przerażający mrok nocy. Własny krzyk.

– Ble, tuńczyk! – krzywi się Caron, zaglądając do swojej kanapki.

Jedynym nieobecnym jest Mikey. Źle się czuje – takie jest oficjalne wyjaśnienie. Na śniadaniu wyglądał jednak normalnie. Rano też musiał czuć się dobrze, skoro znowu ogołocił swój pokój z wszystkich mebli i przedmiotów. Shiv zastanawia się, czy może Mikey nienawidzi wody tak samo jak ona. Może gdzieś się schował, żeby tutaj nie siedzieć,

a może powiedział „nie” bardziej stanowczo niż ona. Pamięta, że któregoś dnia widziała przez okno, jak stał przy ogrodzeniu, zaciskając na nim ręce, wpatrując się w jezioro. Pewnie chciał, żeby ten widok przypomniał mu o tym, że nie zdołał uratować swojej siostry. Wpatrywanie się w wodę było kolejną karą, którą sam sobie wymierzył. A może marzył o tym, żeby się rzucić do jeziora? Czyżby aż tak bardzo siebie nienawidził?

Terapeutka Shiv przez jakiś czas podejrzewała ją o myśli samobójcze. Ostrożnie wypytywała, czy przemknęło jej kiedyś przez głowę, że samobójstwo mogłoby ją uwolnić od całego tego ciężaru, który musi dźwigać, całego tego koszmaru, z którym musi się zmagać. Mówiąc krótko, czy postrzegала brutalne przerwanie własnego życia jako pewnego rodzaju wyzwolenie.

Widocznie jej terapeutka nigdy nie wpadła na pomysł, że samobójstwo może być też sposobem na ukaranie siebie.

– Tak naprawdę to zalana wodą żwirownia, a nie naturalne jezioro.  
– Shiv podsłuchuje rozmowę doktor Pollard i Helen. – Jest bardzo zimne i *bardzo* głębokie.

– Czyli nie nadaje się do tego, żeby popluskać się w nim na golasa?  
– pyta Caron.

Dyrektorka śmieje się i odpowiada:

– Nikomu tego nie polecam.

Po chwili rozmowa schodzi na potwora z Loch Ness.

Shiv skupia się na jedzeniu. Nie spogląda na jezioro ani o nim nie myśli. Nie myśli też o Mikeyu i samobójstwie. Wsłuchuje się w monolog Lucy, która narzeka, jak strasznie tęskni za domem i jak wariuje z powodu braku Facebooka, SMS-ów i gadania przez komórkę. Shiv nie brakuje żadnej z tych rzeczy, co ją zresztą dziwi. Nie jest pewna, czy gdyby poluzowano zasady obowiązujące w klinice i pozwolono im dzwonić do rodziców, ona skorzystałaby z tej możliwości. Nie ma pojęcia, co miałyby im powiedzieć. Wolałaby zadzwonić do taty. Teraz nie ma sensu rozmawiać z mamą. „Jak leci?” – zapytałby tato, mając na myśli: „Czy czujesz się lepiej?”. Co mogłaby mu odpowiedzieć? „Tak, cały czas rozmawiam z Declanem. I wiesz co? Dzisiaj w czasie Chodzenia trzymał mnie za rękę!”

Po posiłku pani Sumner wyciąga frisbee i prosi wszystkich, żeby ustawili się w kółku na trawie. Shiv siada na kocu obok doktor Pollard.

– Nie lubisz się w to bawić? – pyta dyrektorka.

– Nie. To znaczy lubię, ale... nie teraz.

Kiedyś uwielbiała grać we frisbee z Declanem. Stawali daleko od siebie i rywalizowali, kto efektowniej złapie krążek. Pewnego razu na plaży w Sardynii Declan rozciął sobie wargę, próbując złapać dysk zębami, jak pies. Shiv chce się podzielić tym wspomnieniem z doktor Pollard, ale nagle się rozmyśla.

– Czy robię postępy? – pyta zamiast tego.

– Postępy?

– Czy jest ze mną lepiej?

Dyrektorka patrzy na nią badawczo, jakby szukała dowodów na to, że terapia przynosi pozytywne skutki. Wyjątkowo nie ma na sobie eleganckiego kostiumu, tylko różową koszulkę polo i wąskie, białe spodnie. Nie ma też okularów. Jej odsłonięte ramiona są chude jak patyki i obsypane piegami.

– Myślisz, że jest z tobą coraz lepiej?

– To ja chcę się tego od pani dowiedzieć. Bo to pani jest ekspertem.

Kobieta kiwa nieznacznie głową.

– Twoja reakcja na nasz program jest raczej prawidłowa.

– Czyli robię postępy?

– Ach, ale „postępy” i „poprawa” to niekoniecznie jedno i to samo.

– Jak to?

– Weźmy twoją koleżankę. – Doktor Pollard pokazuje Caron, która się schyla, żeby podnieść frisbee z ziemi. – Prace, które wykonuje na Tworzeniu, wskazują na wyraźne postępy, lecz nie zauważam ewidentnej poprawy jej zdolności artystycznych.

– Nie rozumiem. Chce pani powiedzieć, że ja...

– Jeśli chodzi o ciebie, Siobhan – przerywa jej dyrektorka – tak, uważam, że robisz postępy *oraz* dostrzegam u ciebie poprawę. Mam na myśli twoje leczenie. – Z uśmiechem dodaje: – Ale również to, jak radzisz sobie na Tworzeniu. Masz spory talent artystyczny.

Shiv ignoruje jej komplement.

Skubie koc, na którym siedzi. Wbija palec w malutką dziurkę w materiale.

– Czasami – zaczyna, biorąc głęboki wdech – on chyba tutaj jest.

– Twój brat?

– Jakbym znowu go miała. Tylko dla siebie.

– Podoba ci się to?

Shiv przytakuje.

– W mojej poprzedniej terapii musiałam nauczyć się o nim zapomnieć.

Dyrektorka wpatruje się w nią uważnie, z nieodgadnioną miną. Shiv siedzi po turecku. Doktor Pollard wyciąga nogi i zaczyna masować kolana.

– Kiepskie krążenie – wyjaśnia, czując na sobie jej wzrok. Po chwili dodaje: – Opowiedz mi o tym. – Ma na myśli Declana.

Shiv spełnia jej prośbę.

– Ciągłe pani uważa, że jest ze mną coraz lepiej? – pyta, gdy kończy opowiadać. – To nie jest normalne, prawda? Widzieć kogoś, kto nie żyje. Trzymać go za rękę. Rozmawiać z nim.

– Hmm, normalne? – Dyrektorka omiata wzrokiem resztę grupy. – Na pewno zdajesz sobie sprawę, że nie tylko ty doświadczasz tych, powiedzmy, spotkań.

– Aha, a więc jestem tak normalna jak każdy inny pacjent zamknięty w klinice psychiatrycznej. Super.

Doktor Pollard śmieje się głośno.

A jednak to, co dyrektorka powiedziała, jest prawdą. Caron każdej nocy rozmawia z Melanie. Lucy twierdzi, że gdy rzeźbi twarz siostrzenicy na Tworzeniu, czuje, że *naprawdę* dotyka jej skóry, jej ciała, a dziewczynka *uśmiecha* się do niej. Helen zdradziła, że „odwiedza” ją zmarły ojciec. Jeśli terapia ma na celu znowu połączyć żyjących i zmarłych, to jest skuteczna.

Nie działa tylko na Mikeya, jeśli mu wierzyć.

Shiv kręci głową. Ponownie poważnieje. Dłubie w kocu, powiększając dziurę.

– Nie zasługuję na to, żeby znowu mieć Declana.

Uświadamia sobie, że właściwie powtórzyła to, co pewnego razu

Docherty powiedział na Rozmawianiu. Opowiadał o Natalie, swojej dziewczynie, którą zabił w wypadku samochodowym. Skarżył się, że lepienie jej podobizny na Tworzeniu tylko miesza mu w głowie. Próbuje nie myśleć o Natalie. Nie jest w stanie patrzeć na jej zdjęcia, które wyświetlają się na ścianie w jego pokoju.

– Nie zasługuję na to, żeby znowu ją mieć – stwierdził na koniec.

Shiv patrzy, jak reszta grupy gra we frisbee. Docherty stoi na uboczu, odwrócony plecami, ze spuszczoną głową i rękami wbitymi w kieszenie.

– Wybierzemy się na spacer? – proponuje doktor Pollard.

– Spacer? Dokąd?

– Dookoła jeziora. – Kobieta poklepuje się po brzuchu. – Po takim pikniku dobrze jest spalić trochę kalorii.

Shiv wbija w nią ostre spojrzenie.

– Nie może mnie pani do tego zmusić.

– Nie, nie mogę cię *zmusić*. Ale chciałabym, żebyś ze mną poszła.

Proszę.

Doktor Pollard otwiera kluczem bramkę w ogrodzeniu. Ruszają ścieżką biegnącą wzdłuż brzegu, mijając drewniany słupek, na którym wiszą biało-pomarańczowe koła ratunkowe. Shiv wbija wzrok w ziemię. Dyrektorka idzie od strony brzegu, zasłaniając jej widok na wodę, więc Shiv próbuje sobie wmówić, że nie ma tam żadnego jeziora.

Mimo to dygocze na całym ciele.

Z nerwów? Ze strachu? Jest jej zimno, strasznie zimno, jakby była zanurzona w tej wodzie. Traci czucie w rękach. Jej palce są sztywne i lodowate jak sople.

Przypomina jej się koszmar, w którym siedziała na gałęzi, wysoko nad ziemią, nie mogąc zejść na dół, patrząc na rozjuszony psy czekające na nią pod drzewem. Shiv opowiada ten sen doktor Pollard. Właściwie tylko dlatego, że chce przestać myśleć o tym, jak się czuje.

– Ach, interpretowanie snów – mówi dyrektorka.

Czy zauważyła, jak Shiv się trzęsie, a jej głos drży?

– To było bardziej jak wspomnienie, a nie sen. – Shiv opowiada, jak mama kiedyś naprawdę uratowała jej brata, który utknął na drzewie.

– Czy w tym śnie pojawił się twój brat?

Chce powiedzieć, że na pewno go tam nie było, ale gdy teraz o tym myśli, nagle widzi, że Declan czeka na nią pod drzewem, macha do niej, daje jakieś znaki, których ona nie potrafi zrozumieć. Oba psy ganiają jak oszalałe wokół drzewa, ignorując Declana, unosząc łby w górę i upiornie ujadając.

– Nie jestem pewna – odpowiada wreszcie.

Nagle uświadamia sobie, że w którymś momencie podniosła wzrok i teraz patrzy przed siebie na ścieżkę. Wciąż nie pozwala swojemu spojrzeniu zahaczać o jezioro, ale jest świadoma jego obecności na skraju jej pola widzenia. Już nie jest jej tak zimno. Prawie przestała dygotać.

– Twoja znajomość z Mikeyem... – zaczyna dyrektorka.

– Tak?

– Jak myślisz, co cię do niego przyciąga?

– Nie wiem. Po prostu go lubię. Gdy robi sobie krzywdę, przypomina mi mnie, kiedy dostaję napadów i rozwalam rzeczy.

– Chcesz mu pomóc. Ochronić go przed samym sobą.

– To pani połączyła nas w parę. – Wzruszając ramionami, Shiv dorzuca: – On po prostu potrzebuje przyjaciela, ale takiego prawdziwego.

– Przyjaciela czy zastępczej siostry?

– Feebs była dużo młodsza ode mnie – przypomina jej Shiv. – On nie myśli o mnie w taki sposób.

– A co z Declanem? Był mniej więcej w wieku Mikeya, prawda? Shiv zerka na dyrektorkę.

– Nie szukam kogoś, kto zastąpi mi brata.

W milczeniu idą dalej, aż docierają do starego, drewnianego pomostu, w którym brakuje paru desek. Mostek sięga jakieś dziesięć metrów w głąb jeziora. Shiv przypomina sobie, jak stała na pomoście w Kyritos, gdy czekali, żeby wejść na pokład Posejdon IV.

– Coś się stało? – pyta doktor Pollard.

– Nie... Nie, nic.

Dyrektorka wpatruje się w nią przez dłuższą chwilę, a następnie mówi:

– Zastanawiam się nad rozdzieleniem waszej dwójki.

– Mnie i Mikeya? Dlaczego?

– Jego podejście do tego, co próbujemy robić w klinice, jest szkodliwe. Dla niego. I dla ciebie. Być może będę musiała odseparować go od reszty grupy.

– A więc skłamała pani, mówiąc, że Mikey dzisiaj źle się czuje.

Dyrektorka patrzy jej prosto w oczy.

– Siobhan, absolutną podstawą jest chęć otrzymania od nas pomocy.

– Nie byłoby mnie tutaj, gdybym...

– Wiem. Ale, widzisz, Mikey obecnie nie chce, żebyśmy mu pomogli. I pewnie nigdy tego nie zechce. – Doktor Pollard unosi rękę, jakby zamierzała położyć ją na ramieniu Shiv, ale nie robi tego. – Jeśli Mikey chce zmarnować swoją szansę na wyzdrowienie, proszę bardzo. Ale nie pozwolę mu zniweczyć efektów twojego leczenia.

– Mam własny rozum. – Wypowiadając te słowa, Shiv uzmysławia sobie, że Mikey już zdążył zasiać w niej ziarna zwątpienia, jeśli chodzi o skuteczność terapii.

Dyrektorka uśmiecha się i mówi:

– Uważaj. Mikey to żywioł, a nie zwykły chłopak.

Ruszają w stronę bramki, przez którą wcześniej weszły. Na koniec dyrektorka pyta, jak Shiv się czuła, przebywając tak blisko wody. To pytanie ją zaskakuje. Była tak pochłonięta rozmyślaniami i rozmawianiem o swojej przyjaźni z Mikeyem, że zupełnie zapomniała, gdzie się znajdują.

Spogląda na jezioro, gładkie i spokojne. Po chwili jednak zaczyna dygotać, więc odrywa od niego wzrok.

– Dwa kroki do przodu, jeden do tyłu, co? – komentuje dyrektorka przyjaznym tonem.

– Moja terapeutka też gadała takie bzdury.

Doktor Pollard wydaje się urażona.

– Uważasz, że to bzdury? Czasami musisz...

– W jaki dokładnie sposób – przerywa jej Shiv – moja terapia mi pomaga?

– To dopiero czternasty dzień, Siobhan. Musisz uzbroić się w cierpliwość. Proszę cię o to.

– Czy możecie mi obiecać, że będę mogła zabrać ze sobą Declana, jeśli wytrzymam do końca? – pyta, zaciskając pięści. – Bo tylko dzięki temu mogłabym czuć się znowu dobrze, prawda? Wrócę do domu, do szkoły i całe życie będę się okłamywała, że mój brat ciągle żyje. – Przeszywa dyrektorkę ostrym spojrzeniem. – Czy dacie nam dożywotnie zapasy farb, modeliny i zeszytów, w których piszemy na Pisaniu? Czy każdego ranka będę musiała przez parę godzin uprawiać medytację spacerową w parku pod domem? Czy dostanę od was projektor, żebym każdej nocy przez następne sześćdziesiąt lat wyświetlała sobie na ścianie zdjęcie Declana?

Dopiero gdy Shiv uspokaja oddech, dyrektorka pyta:

– Skończyłaś?

Shiv obraca się na pięcie i przechodzi przez bramkę.



Nikos wysłał jej SMS-a z pytaniem: „Czy moze zobaczyc sie z toba dzisiaj około 7 wieczorem?”.

Shiv odpisała, że coś wymyśli i da mu znać.

– To Laura czy Katy? – spytała mama, zerkając na jej telefon komórkowy.

– Co? A... Laura. – Shiv wcisnęła „wyślij”. – Ma problem z chłopakiem.

– Która to Laura? – włączył się do rozmowy tato.

– Ta, o której zawsze mówisz: Lorna – wyjaśnia mama.

– Myślałem, że zawsze o Katy mówię Lorna.

– O rany – odezwał się Declan, wlewając miód do swojej trzeciej dziś miseczki z jogurtem. – Czyżbym teleportował się do domu starców?

Siedzieli na balkonie, kończąc śniadanie. Shiv obserwowała, jak po zatoce sunie czerwono-biały prom, pozostawiając za sobą długą, spienioną smugę, która wygląda jak rozdarcie na turkusowej sukience.

– Masz zamiar to zjeść? – zapytał Declan, wpatrując się w jej tosta. Miał na sobie zielono-żółtą koszulkę, którą podarował mu Nikos. Od tamtej pory jej nie zdejmował; nawet w niej spał.

Shiv uśmiechnęła się w środku, myśląc o swoim prezencie – żółwiku zawiniętym w chusteczkę i ukrytym w jej szufladzie z bielizną.

– Shiv? Co z tym tostem? – niecierpliwił się Declan.

– Poczęstuj się.

Spotkała się z Nikosem przed małym sklepem spożywczym, w którym wcześniej niby przypadkowo wpadł na jej brata.

Siedział na swoim skuterze, popijając piwo z butelki i rozmawiając z dwoma chłopakami. Jednego z nich, Vassosa, Shiv poznała podczas meczu na plaży. Nikos natychmiast skupił na niej swoją uwagę i posłał jej szeroki uśmiech. Jego znajomi też spojrzeli na Shiv. Vassos uśmiechnął się i powiedział „cześć”. Ten drugi rzucił do Nikosa kilka słów po grecku, które rozbawiły Vassosa. Nikos rzucił coś do nich ostrym tonem.

– Chodziłem z nimi do szkoły – wyjaśnił jej, gdy jego koledzy odeszli.

Wyjął kolejne piwo z torby zawieszanej na kierownicy i otworzył butelkę szwajcarskim scyzorykiem.

– Co on ci powiedział? – zapytała Shiv.

– Andreas? – Wręczył jej butelkę. – Powiedział, że jesteś bardzo ładna.

– Nie ściemniaj. – Głośny rechot jego kolegi sugerował, że był to raczej jakiś bardziej dosadny komentarz na temat jej wyglądu. Albo seksu. – Nie musisz mnie chronić – podkreśliła, wlewając do gardła łyk piwa. Było zaskakująco zimne i gazowane. – Wiem, jacy są chłopcy.

„Chłopcy”? Dlaczego powiedziała „chłopcy”?

– Andreas to równy gość. Nie myśl o nim źle.

Ponieważ nie miała pojęcia, co odpowiedzieć, po prostu znowu upiła łyk piwa. Była zdenerwowana. Miała świadomość, że to może być ich ostatnia szansa, żeby spędzić ze sobą trochę czasu.

– Według oficjalnej wersji wydarzeń przyszedłam tu kupić mleko, którego nagle zabrakło w domu – poinformowała. To ona doprowadziła do tej sytuacji, celowo przewracając stojące przy zlewie mleko w kartonie, gdy akurat nie było nikogo w pobliżu.

Nikos ściągnął brwi.

– W takim razie mamy mało czasu.

– Wyślę rodzicom SMS-a, że w tym sklepie zabrakło mleka i muszę pójść do supermarketu przy głównej ulicy. – Uśmiechnęła się, dumna z siebie. – To chyba dwadzieścia minut w jedną stronę i tyle samo w drugą? A nawet dłużej, jeśli po drodze będę podziwiała widoki.

Nikos zaśmiał się, stuknął butelką o jej butelkę, a następnie nachylił się i przywarł ustami do jej ust.

– Mmm – mruknęła. – Zapomniałam, jak przyjemnie smakujesz.

Zeszli w dół na plażę pełną skał, po których wcześniej wspinała się z Declanem. Zastanawiała się, ile dziewczyn Nikos przyprowadził w to miejsce. Cóż, teraz był z nią – tylko to się liczyło.

– Kiedy moja babcia była młodsza, a dziadek jeszcze żył, przyprowadzali nas tutaj na pikniki – powiedział Nikos, siadając na skałce. – Nas, czyli mnie, moich braci i siostrę.

Shiv usiadła obok niego.

– Ile lat ma twoja babcia?

– Sporo. Gdy ją odwiedzam, myśli, że jestem moim ojcem. Albo krzyczy, że przyszedłem ją obrabować. – Ostrożnie postawił siatkę z butelkami piwa. – Mój dziadek łowił tutaj ryby i na miejscu je dla nas smażył.

– Fajne wspomnienia.

Wyobraziła sobie Nikosa jako małego chłopca.

– Szczerze mówiąc, te ryby były obrzydliwe. Ale kiedy tu jestem, nadal czuję w powietrzu ich zapach, tak samo jak dym z fajki dziadka. Wiesz, co mam na myśli?

Skinęła głową.

– Ja za każdym razem, gdy czuję zapach brzoskwiń, myślę o mojej babci. Zawsze używała kremu do rąk o takim zapachu.

Oboje zamilkli, a potem znowu się pocałowali.

Gdy przerwali pocałunek, żeby zaczerpnąć tchu, Nikos posadził sobie Shiv między nogami. Wtuliła się plecami w jego tors, a on położył dłoń na jej brzuchu, w drugiej ręce trzymając butelkę. Shiv na razie przystopowała, bo z nerwów na początku za dużo wypila, a nie chciała się upić. Jego dłoń spoczywająca na jej brzuchu była przyjemnie ciepła. Zaczął całować ją w policzek, ucho, szyję. Wiedziała, do czego to doprowadzi, jeśli w porę mu nie przerwie. Zaaferowana tym, jak mają zorganizować to spotkanie, nawet nie zdążyła pomyśleć, w jakim celu się spotkają. Czego Nikos będzie od niej oczekiwał.

*On ma dziewiętnaście lat. Jest przekonany, że ja mam siedemnaście...*

W tej chwili czuła, że ma właśnie tyle lat. A nawet więcej: dwadzieścia czy dwadzieścia pięć. Nigdy nie czuła się tak dorosła, tak dojrzała. Nie miała pojęcia, czy to zasługa Nikosa, czy może płynęło to gdzieś z jej wnętrza. Tak czy inaczej, zdawała sobie sprawę, że żaden chłopak w jej wieku nie zdołałby siedzieć z nią tak długo, tak blisko, nie próbując dotykać jej miejsc intymnych.

– Gdzie się tak urządziłaś? – zapytał Nikos, gładząc guzek na jej czole.

– Graliśmy dzisiaj na plaży w siatkówkę. Ja i Declan kontra rodzice.

Jednocześnie unieśli swoje butelki i upili parę łyków.

– Picie synchroniczne – rzuciła, łagodnie gładząc palcami włoski na jego przedramieniu.

– Lubisz spędzać czas ze swoją rodziną?

– Lubię takie dni jak dzisiaj. Chociaż wolałabym, żeby tato nie miał takiego fioła na punkcie wygrywania.

– Twój brat też lubi wygrywać. Zauważyłem to wczoraj, kiedy graliśmy w piłkę.

– Zgadza się, ale on nie jest jak tato. W przypadku Declana chodzi o ambicję. Po prostu chce być dobry we wszystkim, co robi. Tak jak było z pływaniem na desce.

– Nie znosi porażki – skwitował Nikos.

– Właśnie.

– A ty?

Pokręciła głową.

– Ja raczej taka nie jestem.

Znowu zamilkli, popijając piwo. Dom stojący na drugim brzegu nagle zaczął się poruszać. Po chwili zdała sobie sprawę, że to światła kutra rybackiego wypływającego w morze.

Nikos objął ją mocniej i wtulił twarz w jej policzek. Gdy wreszcie się odezwał, jego oddech łaskotał jej skórę.

– Sądzę, że twój brat się we mnie zabujał.

Obróciła się gwałtownie, żeby na niego spojrzeć.

– Co?!

Parsknęła śmiechem. Ale zaraz sobie uświadomiła, że Nikos ma rację. Rzeczywiście, wszystko wskazuje na to, że Declan się w nim zabujał. Niewinnie zadurzył.

– Na pewno cię lubi. I to bardzo – odparła. – Jesteś dla niego jak starszy brat, którego nigdy nie miał.

Nikos wyjął z reklamówki kolejne dwie butelki.

– Fajny i przystojny starszy brat.

– Uwaga, narcyz na horyzoncie! – rzuciła, szturchając go łokciem w żebra.

Nikos westchnął teatralnie.

– Och, cóż ja biedny poradzę na to, że jestem greckim bogiem.

– Tak. Pół człowiekiem, pół osłem – dogryzła mu.

Znowu zaczęli się całować. Gdy przestali, jęknęła:

– Boże, trudno uwierzyć, że już w piątek wracam do domu.

– Wiem...

– A ty kiedy wracasz do Salonik?

– W sobotę. Dzień po weselu brata.

– Będziesz megaskacowany.

– Mam nadzieję.

Uśmiechnęła się. Po chwili powiedziała jednak poważnie:

– Dziwne uczucie. Teraz tu sobie siedzimy, a za parę dni będzie dzieliła nas cała Europa.

Nikos przytulił ją mocniej.

– Wybacz – mruknęła. – Przyrzekłam sobie, że dziś nie będę uderzała w poważniejsze tony.

– Co porabiasz jutro?

– Chyba jedziemy do jakiegoś fortu po drugiej stronie wyspy.

– A pojutrze?

– Rodzice mają rocznicę ślubu. Wychodzą na kolację.

– Tylko we dwoje?

– Tak. Ostatni dzień wakacji, a ja będę musiała się opiekować braciszkiem.

– Życie jest brutalne.

– Niestety. A ty jakie masz plany?

– Urządzamy mojemu bratu imprezę na plaży. Wieczór kawalerski.

Rozmawiali ze sobą, a ona w każdej sekundzie miała świadomość, że ich czas się kończy. Wkrótce będzie musiała wrócić do willi, żeby jej rodzice nie zaczęli się niepokoić. Strach przed rozstaniem, przed tym, że już nigdy go nie zobaczy, ścisnął ją za gardło.

– Nikos...

– Ciii – szepnął, przykładając palec do jej warg.

Znowu się pocałowali. Był to długi pocałunek, niebezpiecznie zmysłowy i głęboki. Nie chciała go przerywać, ale nie chciała też posuwać się dalej. Nie tutaj, na plaży. I jeszcze nie teraz. Ale dla nich nie istniało żadne później. Teraz albo nigdy. Posunęli się tak daleko, jak można bez rozbierania się. Shiv wiedziała, że zaraz przekroczą ostatnią

granicę, a wtedy nie będzie mogła – ani chciała – tego przerwać.

– Masz coś przeciwko? – spytał szeptem Nikos.

Nie odpowiedziała. Oddychała tylko głośno, muskając wargami jego ucho, policzki, usta.

A potem, gdy zaczął rozpinąć jej szorty, nagle przypomniała sobie komentarz jego kolegi i głośny rechot tego drugiego.

– Przepraszam – wymamrotała, chwytając go za nadgarstki, żeby przestał jej dotykać. – Nikos, przepraszam, ale nie mogę tego zrobić.

W drodze powrotnej wstąpili do sklepu po mleko i miętówki, żeby Shiv pozbyła się piwnego oddechu. Nikos wręczył jej swój kask i podrzucił na motorze do willi. Nie pędził jak wariat, nie próbował dla zabawy jej przestraszyć ani zaimponować brawurą. Shiv obejmowała go mocno w pasie, a on kierował jedną ręką, by drugą trzymać na jej udzie.

Nie zareagował zbyt dobrze na to, co się stało – a raczej nie stało – jednak też nie tak źle, jak mogłaby się tego spodziewać. Nie było łatwo go ostudzić, ale jakoś się udało. Był wyraźnie niezadowolony, lecz nie powiedział niczego, co wywołałoby w niej poczucie winy za to, że nie zgodziła się pójść na całość.

Mimo to czuła się głupio.

Przycisnęła się do niego, wdychając zapach kwiatów i czując, jak zmierzch otula ich niczym miękkim kocem. Gdyby mogła zapomnieć o tym, co się wydarzyło na plaży, byłaby w stanie wmówić sobie, że ta przejażdżka to idealne zakończenie idealnego wieczoru.

Nikos wyhamował na poboczu, gdzie alejka prowadząca do willi łączyła się z szosą. Myślała, że po prostu pozwoli jej odejść, po czym odjedzie bez pożegnania. On jednak wyłączył silnik i zsiadł ze skutera razem z nią. Zdjął z kierownicy siatkę z mlekiem i wręczył ją Shiv, która w zamian oddała mu kask.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, w porządku. – Spojrzała mu w oczy. – A u ciebie?

Skinął głową. Następnie, wskazując na zdezelowany przystanek autobusowy i wielki, cuchnący kubek na śmieci, zauważył:

– Jakże romantyczna sceneria do powiedzenia sobie „dobranoc”.

– Pewnie mówisz to każdej dziewczynie, z którą żegnasz się przy śmietniku.

Oboje się starali, żeby znowu było tak jak wcześniej, ale nie wychodziło im to naturalnie. Było oczywiste, że oboje czują się skrępowani. Shiv zaczęła znowu przepraszać:

– To było po prostu... – Chciała powiedzieć: „Za dużo, za szybko”, lecz Nikos ją uciszył.

– Nie musisz nic wyjaśniać.

Zamrugła, żeby odpędzić łzy. Zdołała wyznać niemal szeptem:

– To byłby mój pierwszy raz.

Nie umiała niczego wyczytać z jego twarzy.

– Jest ci zimno. – Przebiegł palcem po gęsiej skórcie na jej ramieniu.

Zadrżała, jakby to właśnie słowo „zimno” przyprawiło ją o dreszcz.

– Proszę, przytul mnie.

Nadal stali przytuleni – całując się delikatnie, nieśmiało – gdy nagle usłyszała, jak ktoś podnosi klapę śmietnika i wrzuca do środka worek.

Przerwali pocałunek. Odwróciła się i zobaczyła wpatrującego się w nich Declana. W półmroku panującym na ulicy zielone pasy na koszulce, którą dostał od Nikosa, świeciły prawie jak neony.

– Hej, Declan....

Urwała, gdy dostrzegła, że jej brat nie wpatruje się w nią, tylko w Nikosa. W jego oczach zobaczyła to, o czym wspominał Nikos na plaży. Zrozumiała jednak, że to coś więcej niż zwykłe, chłopięce zadurzenie.

Wyglądał jak ktoś, kto przyłapał swojego kochanka na zdradzie.

– Wpadłam na Nikosa w sklepie – wydukała. – Podrzucił mnie do domu.

Declan spojrział na nią, a potem znowu na Nikosa. Jego mina wyrażała teraz już nie dezorientację i ból, tylko gniew. Stał w bezruchu, z zaciśniętymi pięściami.

– Powinienem już lecieć – odezwał się Nikos, ostatni raz głaszcząc dłonią jej ramię.

Gdy wskakiwał na skuter, Declan zawołał:

– Wiesz, że ona ma dopiero *piętnaście* lat?!

Od dwóch tygodni Shiv trzyma się programu leczenia. Jeszcze głębiej się w nim zanurza. Albo przynajmniej próbuje. Każdy kolejny dzień jest trudniejszy od poprzedniego.

Czuje, że zaczyna tracić energię i wiarę w tę klinikę. Robi to, czego się po niej spodziewają, ale brakuje jej już pewności, że terapia okaże się skuteczna. Nawet czas spędzony z „Declanem” traci swój urok.

„Uzbrój się w cierpliwość” – radziła jej doktor Pollard, gdy spacerowały wokół jeziora. Od tamtej pory ten temat powraca podczas ich rozmów w cztery oczy. Dyrektorka obiecuje, że wkrótce będzie inaczej. Gdy faza pierwsza dobiegnie końca, terapia diametralnie się zmieni. Zacznie się skupiać na innych rzeczach.

– Na czym będzie polegać faza druga?

– Faza druga to to, co nastąpi potem.

– To ma być zabawne?

– Faza pierwsza ma przygotować grunt pod fazę drugą – wyjaśnia dyrektorka. – Proszę cię tylko, Siobhan, abyś była cierpliwa i wytrwała i nie przestawała wierzyć, że możemy ci pomóc.

Sęk w tym, że Shiv nie potrafi już zagłuszać wątpliwości, których szept ciągle słyszy w głowie.

„Inne terapie nie pomogły, dlaczego więc ta miałaby okazać się skuteczna?”

„Oni chcą, żebyś czuła się dobrze ze sobą, ale przecież na to nie zasługujesz”.

„Zabiłaś Declana. Powinnaś przez to cierpieć. Do końca życia”.

Ograniczenie kontaktów z Mikeyem w niczym nie pomaga. Choć nie zabronili jej z nim rozmawiać ani nie odizolowali go całkowicie od reszty grupy, chłopak nie bierze już udziału w żadnych zajęciach. W trakcie Czasu dla Przyjaciela i Relaksu przebywa zamknięty w swoim pokoju. Shiv widuje go tylko podczas posiłków. Zwykle siedzi sam, ale niekiedy Shiv się do niego przyłącza. Niekiedy, ponieważ nie chce zbyt często zaniedbywać Caron.

Gdy pogoda dopisuje, Shiv i Mikey wynoszą obiad na ławkę ustawioną w słońcu. Czasami rozmawiają, a czasami po prostu siedzą



i jedzą w milczeniu. Gdzieś w pobliżu zawsze kręci się sanitariusz, który ma na nich oko. Mimo to Shiv lubi te chwile spędzone z Mikeyem. Poza tym nienawidzi, gdy ktoś jej mówi, z kim powinna lub nie powinna się zadawać.

– Co porabiasz całymi dniami? – zapytała go kiedyś.

– Muszę biegać po lesie z panem Webbem. Albo każą mi pomagać ogrodnikowi. Pcham taczkę, wyrywam chwasty i tak dalej. I chodzę na rozmowy z Pollard. – Wzruszając ramionami, Mikey dodał: – Ale najczęściej pozwalają mi siedzieć w mojej celi.

Jego pokój rzeczywiście jest teraz celą. Dostał zgodę na usunięcie wszystkich mebli i przedmiotów, pod warunkiem że będzie spał na pościelonym łóżku, a nie na gołym materacu.

– Pozwalają mi się bawić w skazańca.

Wygląda na to, że ta metoda działa. Podczas gdy ją coraz bardziej ogarnia zniechęcenie, on jest nie tylko coraz bardziej chętny do współpracy, ale też spokojniejszy, bardziej odprężony.

Shiv odnosi jednak wrażenie, że Mikey tylko ich oszukuje. Udaje. Czeka.

*Na co? Jaki ma plan?*

Śniadanie, dzień trzydziesty pierwszy. Shiv siedzi z Mikeyem przy stoliku w kącie sali.

Wczoraj minął półmetek pobytu w klinice. Gdy dzisiaj rano Shiv się obudziła, liczyła na ogłoszenie przez interkom: „Dzień dobry wszystkim. Z przyjemnością oświadczamy, że od dzisiaj wchodzicie w fazę drugą leczenia”... Lub coś w tym stylu. Interkom milczał jednak jak zaklęty.

Mikey próbuje poprawić jej humor, nieudolnie naśladowując pana Henshera, panią Sumner i doktor Pollard. Shiv nie potrafi zgadnąć, kogo akurat przedrzeźnia. Jest w tym tak beznadziejny, że aż zabawny. Shiv wbrew sobie zaczyna się uśmiechać. Potem Mikey zaczyna naśladować postacie z telewizji.

– A to kto? – pyta, robiąc głupią minę i wydając dziwaczne, bełkotliwe odgłosy.

– Ktoś po udarze mózgu?

– Homer Simpson – mówi Mikey obrażonym tonem. – No wiesz, kiedy się ślini. Popatrz. – Znowu robi tę minę. – Piwoooo. Aaarrgghhh. Pąączkiii.

Shiv parska śmiechem.

– Jak doszliśmy do tego, że to ty musisz wyciągać mnie z dołka, a nie na odwrót?

Mikey wygląda na zadowolonego z siebie.

Gdy kończą jeść owsiankę, nastrój przy stole się pogarsza. Wiedzą, że za chwilę Mikey zniknie, a ona pójdzie na kolejne Chodzenie.

– Jeśli planujesz wykopać tunel, żeby stąd uciec, daj mi znać – rzuca do niego, wstając od stołu.

Mikey spogląda na nią zdziwiony.

– Mówisz poważnie?

Shiv ciągle zapomina, że on nie łapie ironii.

Gdy są przy okienku, żeby wyrzucić resztki jedzenia do śmietnika i odstawić brudne talerze, do stołówki wchodzi pan Webb. Klaszcze głośno w dłonie i oświadcza:

– Wszyscy macie bezzwłocznie stawić się w Błękitnej Sali.

Głośno spekulują, o co może chodzić, gdy do Błękitnej Sali wreszcie wchodzi dyrektorka w asyście Webba, Henshera i Sumner. Tak jak pierwszego dnia.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry, pani dyrektor – odpowiadają chórem.

– Podzielę was na dwie grupy – odzywa się Caron głębokim, męskim głosem. – Jedna osoba z grupy przegranych opuści dziś dom Wielkiego Brata.

Żart wywołuje falę śmiechu wśród rezydentów. Dyrektorka i jej asystenci zachowują kamienne twarze; nawet pani Sumner, która zawsze chodzi z uśmiechem przyklejonym do ust, jest śmiertelnie poważna.

– Dotarliście do półmetka pobytu w naszej klinice – mówi doktor Pollard, gdy rezydenci się uspokajają. – To oznacza koniec fazy pierwszej waszej terapii. – Przesuwa wzrokiem po twarzy każdego z nich. – Dzisiaj wkraczacie w fazę drugą.

Lucy podnosi rękę.

– Żadnych pytań – gasi ją dyrektorka.

Żadnych pytań, żadnego przerywania. Nawet nie zaczęła tłumaczyć, na czym będzie polegała faza druga, a już sam ton jej głosu i zachowanie wywołują w Shiv niepokój, któremu towarzyszy gęsia skórka. Czuje, że teraz czeka ich coś *naprawdę* poważnego, jakby pierwszy miesiąc był tylko dziecinną zabawą.

– Dziękuję – mówi dyrektorka, gdy Lucy opuszcza rękę. – A zatem faza druga. – Splata dłonie w sposób, w jaki robi to małe dziecko, składając dłonie do modlitwy. – Trzydzieści dni temu, gdy stałam tutaj, aby powitać was w klinice, powiedziałam, że każdy z was przeżył ogromną traumę. Pamiętacie?

Niektórzy kiwają głową. Zapada taka cisza, że można by usłyszeć, jak na podłogę upada szpilka.

– Jak wiecie, w fazie pierwszej skupialiśmy się na osobie, którą utraciliście. Zachęcaliśmy was do odtworzenia bardzo silnego poczucia obecności tej osoby. Mam na myśli twoją siostrzenicę Milly – mówi, patrząc na Lucy, a następnie przenosi wzrok na Caron i Docherty’ego – twoją najlepszą przyjaciółkę Melanie. I twoją dziewczynę Natalie.

Każde z tych imion pozostawia po sobie głośnie, bolesne echo. Gdy dyrektorka wspomniała o Natalie, Docherty dosłownie się wzdrygnął, jakby uderzyła go w twarz.

– Twojego brata Declana – kontynuuje doktor Pollard, patrząc na Shiv. – Twojego ojca Petera, twoją siostrę Phoebe – zwraca się do Helen i Mikeya.

Twarz Mikeya jest nieruchoma, jak wykuta z kamienia. Nawet jeśli był zaskoczony, gdy pan Webb powiedział, że on też musi się stawić w Błękitnej Sali, to nie dał niczego po sobie poznać.

– Jest rzeczą zupełnie naturalną, że gdy umiera bliska nam osoba, marzymy o tym, żeby wciąż była z nami, a nawet wyobrażamy sobie, że *jest* z nami. – Dyrektorka przebiega szybko wzrokiem po twarzach rezydentów. – Widzimy ją, rozmawiamy z nią. Nasze głowy zapełniają się myślami o niej, przez co wydaje się bardziej obecna niż nieobecna. – Robi przerwę, zaciska palce tak mocno, aż bieleją jej kostki. – Dla niektórych z nas jest to pociechą, a dla innych torturą. Może być i jednym, i drugim.

Shiv odruchowo kiwa głową. Doktor Pollard patrzy na nią w taki

sposób, jakby to, co zaraz powie, było adresowane tylko do niej.

– Tak czy inaczej, mamy wówczas do czynienia z urojeniem. Jeśli to urojenie zapuści w nas korzenie, z całkowicie normalnego stadium żałoby może przerodzić się w coś, co hamuje, a nawet zastępuje proces wychodzenia z niej. – Dyrektorka wreszcie odrywa spojrzenie od Shiv, która czuje nagłą, dziwną ulgę. – Każdy z was, w pewnym stopniu, przyszedł do nas w takim właśnie stanie.

– To dlaczego... – zaczyna Caron, lecz milknie zgromiona wzrokiem przez doktor Pollard.

– Jak już wiecie, faza pierwsza waszego leczenia została zaprojektowana tak, aby zachęcać was do iluzji, a raczej by *zanurzać* was w iluzji, że osoba, którą utraciliście, wciąż jest z wami. Przekonywaliśmy was, że dalej możecie utrzymać jakąś namiastkę prawdziwych relacji z tą zmarłą osobą. – Znowu robi pauzę. – Dlaczego to robiliśmy? Czy właśnie o to chciałaś zapytać? – zwraca się do Caron.

Caron przytakuje.

– Może sami odpowiedzieć na to pytanie. – Wreszcie rozplata palce i opuszcza rękę. – Po trzydziestu dniach tego typu terapii jak wielu z was wciąż żyje tą iluzją? Kto z was wierzy, że osoba, którą straciliście, nadal jest z wami?

Nikt nie podnosi ręki.

– A kto z was chce dalej żyć w iluzji?

Znowu nikt nie podnosi ręki. Ani jedna osoba.

– Oto odpowiedź na wasze pytanie.

Te słowa są niczym wyczekiwany finał magicznej sztuczki. Shiv prawie ma ochotę głośno się zaśmiać. Sądząc po szeptach pozostałych rezydentów, oni również tak się czują. Czy to naprawdę może być takie proste? Takie sprytne? Takie *łatwe*? Nie ma pojęcia, co powinna myśleć, ale nagle zdaje sobie sprawę, że minął już co najmniej tydzień od czasu, gdy postrzegala „Declana” (w którejkolwiek z jego licznych postaci) jako choć w części *prawdziwą* osobę, a nie jedynie wytwór własnej wyobraźni.

– Faza pierwsza koncentrowała się na osobie, którą straciliście – reasumuje doktor Pollard. – W fazie drugiej skupimy się na naturze waszej traumy, czyli na okolicznościach śmierci tej osoby. Nazywamy to

terapią traumocentryczną. W skrócie: TTC.

Dyrektorka przerywa, żeby przetrwali jej słowa.

– Na tym etapie nie mogę dodać nic więcej – ciągnie dalej – ponieważ powinniście przystąpić do TTC, nie wiedząc, czego dokładnie się spodziewać. Niektóre terapie uczą nas racjonalizować naszą traumę, dystansować się od niej, jakby przydarzyła się komuś innemu lub jakiemuś wcześniejszemu, nieaktualnemu już „mnie”. TTC zrobi coś innego. Wrzuci was w samo serce traumy – tłumaczy, gwałtownie gestykułując. – Staniecie twarzą w twarz z tym, co się stało, gdzie to się stało oraz jak to się stało.

Pierwszy raz tego dnia doktor Pollard się uśmiecha, odsłaniając przerwę między zębami.

– Różnica pomiędzy tymi dwiema terapiami jest taka jak pomiędzy zapaleniem świeczki w intencji kogoś opętanego przez demony a przeprowadzeniem na nim pełnego egzorcyzmu.

Rezydenci nie odzywają się ani słowem, gdy asystenci Webb i Hensher wyprowadzają ich na korytarz. Shiv się domyśla, że wszyscy są zbyt zaszokowani. Zbyt przestraszeni. Od tej pory nie będzie Chodzenia ani Tworzenia. Każdy z nich będzie spędzał poranki w specjalnie zaprojektowanym pomieszczeniu – Osobistej Sali Terapeutycznej. Cztery godziny dziennie. W odosobnieniu. Pod kluczem.

Shiv ma wilgotne ręce. Jej oddech jest przyśpieszony i bardzo płytki.

Prowadzą ich na pierwsze piętro, na korytarz, którego Shiv nigdy wcześniej nie widziała. Biegnie on bezpośrednio pod pokojami rezydentów. Wygląda jednak tak samo jak tamten na drugim piętrze: ściany pomalowane na zielono, rzędy drzwi po prawej stronie.

Webb zatrzymuje się przy każdych drzwiach, otwiera je kartą magnetyczną i wprowadza do środka rezydenta. Helen, Caron i Docherty po kolei znikają w swoich pokojach.

Teraz kolej na Shiv.

Webb wpuszcza ją do środka i bez słowa zamyka za nią drzwi. Shiv słyszy kliknięcie zamka elektronicznego. Ciemne pomieszczenie nagle wypełnia się światłem.

Bielone ściany, podłoga wyłożona kafelkami, zwyczajne, błękitne zasłony, asymetryczne półki zastawione książkami, dywan w biało-niebieską szachownicę, sofa obita kremową skórą, krzesła, niski stolik kawowy – pokój, jej Osobista Sala Terapeutyczna, jest prawie dokładną repliką salonu w willi, którą wynajmowali na Kyritos.

Następnego dnia Declan opuścił swój pokój dopiero wtedy, gdy wszyscy już zjedli śniadanie i szykowali się do wyjścia.

Tato siedział w salonie przed mapą rozpostartą na stoliku kawowym, planując wycieczkę do fortu na drugim krańcu wyspy. Shiv pomagała mamie w kuchni przygotowywać prowiant na piknik; terakota pod jej bosymi stopami była rozkosznie chłodna. Co jakiś czas zerknęła w stronę schodów, na których w każdej chwili mógł się pojawić jej brat.

Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby cały dzień leżał obrażony w łóżku, ale oprócz złości czuła też strach. Przed tym, co Declan mógłby powiedzieć rodzicom.

– Jedzie się tam pięćdziesiąt minut – odezwał się tato, stukając palcem w mapę. – Góra godzinę.

– Fajnie – odparła mama, smarując masłem kromkę chleba.

W przeciwieństwie do ojca wyczuła, że coś jest nie tak.

– O co wam poszło wczoraj wieczorem? – zapytała wcześniej, gdy tato brał prysznic.

– Co masz na myśli?

– Declan poszedł wyjątkowo wcześnie do łóżka, a ty chodziłaś naburmuszona jak dziesięciolatka.

– Wcale nie – burknęła Shiv.

Zajrzała do trzech szafek, zanim znalazła papier śniadaniowy. Przez okno napływały dźwięki greckiej muzyki. Mężczyzna czyszczący basen słuchał radia. Tylko dlatego, że był starym Grekiem, Shiv zaczęła myśleć o dziadku Nikosa, który smażył ryby podczas rodzinnych pikników na plaży.

Nikos. To spojrzenie, którym ją obrzucił, gdy wczoraj wieczorem wsiadał na swój motor...

„No i co z tego, że masz tylko piętnaście lat?” To chciała wyczytać z jego twarzy po tym, jak Declan ją zdemaskował. „W porządku, Shiv, nie ma sprawy”. W ciągu ostatnich dwunastu godzin w nieskończoność odtwarzała tę scenę w pamięci. Prawie zdołała przekonać samą siebie, że właśnie to mówiła mina Nikosa, zanim odjechał i zniknął.

A może po prostu zobaczyła to, co chciała zobaczyć? Może tylko

się oszukiwała? To całkiem możliwe. Znowu odtworzyła w myślach tamte chwile. Tym razem wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Widać było wyraźnie, że Nikos spojrzał na nią jak na głupią, kłamliwą, żalosaną, nieletnią panienkę. Na jego twarzy odmalowała się ulga. Ucieszył się, że wtedy, na plaży, do niczego nie doszło. Widziała, z jakim pośpiechem wskoczył na skuter i odjechał...

Nie miała pojęcia, która wersja jest prawdziwa. Gdyby chociaż Nikos coś powiedział. On jednak tylko rzucił jej ostatnie spojrzenie – przelotne, nieodgadnione – odpalił motor i zostawił za sobą chmurę kurzu. Shiv stała przez chwilę z Declanem, a potem zupełnie sama, gdy ten bez słowa wrócił do willi. Poczekała, aż w ciemności znikną światła skutera, i dopiero wtedy odwróciła się, i poszła za bratem.

Przed snem wysłała do Nikosa trzy, może cztery SMS-y. Zostawiła na jego poczcie głosowej wyszeptaną wiadomość. Dziś rano znowu napisała do niego dwukrotnie.

Nic.

Nawet jeśli ostatnie spojrzenie, które jej rzucił, wydawało się niejednoznaczne, jego milczenie było już całkowicie wymowne. Nikos nie chciał mieć z nią do czynienia. Shiv wiedziała, że już nigdy więcej go nie zobaczy i nie usłyszy.

Wczoraj wieczorem, tuż po tym, co się stało, znalazła Declana przy basenie. Siedział ze skrzyżowanymi nogami na końcu trampoliny, wpatrując się w wodę pustym wzrokiem. Nie miał już na sobie koszulki, którą dostał od Nikosa. Dygotał na całym ciele, marznąc na nocnym powietrzu.

– Dlaczego mu wygadałeś? – spytała rozwścieczona ścisłym głosem, żeby rodzice niczego nie usłyszeli przez otwarte drzwi na taras. Z wnętrza willi dobiegał stukot talerzy i odgłos otwierania wina. – *Dlaczego, Declan?*

Milczał. Trampolina ugiwała się pod ciężarem jego ciała. Światła basenu podświetlały od dołu jego twarz, jak na filmach, gdy ktoś otwiera skrzynię ze skarbem. Tak całkowicie ją ignorował, że można było pomyśleć, że nawet nie zauważył jej obecności. Stała z zaciśniętymi pięściami, piorunując go wzrokiem.

Nagle zauważyła, że Declan płacze. Ale i tak syknęła:



– Nigdy ci tego nie wybaczę.

– Czy jego wysokość zamierza w dniu dzisiejszym zaszczyścić nas swą obecnością? – zapytał tato. Złożył mapę i wszedł do kuchni.

Wyłowił oliwkę z półmiska z sałatką i wrzucił ją do ust.

– Kto wie? – odparła mama, zerkając z ukosa na Shiv.

Tato rzucił okiem na zegarek.

– Chciałem, żebyśmy wyjechali za...

W tej chwili rozległ się odgłos bosych stóp plaskających o schody. Pojawił się Declan. Miał rozczochrane włosy, pogniecione bokserki oraz, zamiast koszulki od Nikosa, bardzo wymięty i nieświeży T-shirt z cytatem z *Buszującego w zbożu*. Zauważył, że wszyscy się w niego wpatrują.

– Co? – burknął pod nosem.

– Mieliśmy jechać do fortu – przypomniał mu tato.

– I co z tego?

– Zmarnowaliśmy już pół poranka.

Declan przeszedł przez kuchnię, przepychając się obok Shiv. Wyjął z lodówki sok pomarańczowy i zaczął pić prosto z kartonu.

– Ten fort ma chyba z tysiąc lat – powiedział, ocierając usta dłonią.

– Zdążymy tam dojechać, zanim się zawali, nie sądzisz?

Do akcji wkroczyła mama, chcąc zapobiec sprzeczce.

– Zjedz coś – poprosiła, wręczając mu miskę – a potem weź prysznic i się przebierz.

Tato mruknął coś pod nosem i wymaszerował z kuchni. Shiv patrzyła, jak jej brat wsypuje do miski płatki śniadaniowe, zalewa je mlekiem i zaczyna jeść na stojąco. Myślała, że będzie traktował ją jak powietrze, ale spojrzał jej prosto w twarz z niedającą się rozszyfrować miną.

Mama krzątała się po kuchni, pakując jedzenie do lodówki turystycznej.

– Możesz coś z tym zrobić, Shiv? – zapytała, pokazując deseczkę do krojenia pokrytą ścinkami warzyw.

Shiv chciała wrzucić resztki do kosza, lecz brat tarasował jej drogę.

– Sorry – mruknęła.

– Przecież jem – powiedział z pełnymi ustami.

– To stań gdzie indziej.

– Na miłość boską! – wybuchnęła mama. Trzasnęła pokrywką przenośnej lodówki tak mocno, aż butelka z płynem do mycia naczyń wpadła do zlewozmywaka. – Nie wiem, o co wam chodzi, ale zostały nam już tylko dwa dni wczasów i nie pozwolę, żebyście je popsuli. – Zgromiła ich wzrokiem. – Zrozumiano?

Ani Shiv, ani Declan nie odpowiedzieli.

– Mówię całkowicie poważnie – dodała. – Obydwoje musicie dorosnąć.

– Och, Shiv jest już dorosła. Nieprawdaż?

– Zamknij się, Declan.

– W czym problem? – zapytał tato z salonu.

– W niczym – odparła Shiv, patrząc wyzywająco na Declana, który odstawił miskę na blat, rozlewając mleko, i ruszył w stronę wyjścia.

– Nie spędź całego dnia pod prysznicem! – zawołał za nim tato.

– Bez obaw.

– Co się stało z twoją koszulką od Nikosa? Myślałem, że przykleiłeś ją sobie do ciała.

Declan zatrzymał się, spuścił głowę i wyszedł z kuchni bez słowa.

Shiv była pewna, że w aucie Declan będzie siedział obok niej nadąsany i milczący. Zachowywał się jednak normalnie. Wymyślał nedorzeczne „fakty” na temat fortu, udając, że czyta z przewodnika, i śpiewał, koszmarnie fałszując, do piosenek, które leciały z płyty. Zachowywał się *zbyt* normalnie, jakby występował w reality show, odgrywając przed kamerami przerysowaną wersję samego siebie.

Nie wiedziała, czy woli tego Declana, tamtego, dla którego wczoraj nagle przestała istnieć, czy tamtego, którym był w kuchni. Nie wiedziała również, czego może się po nim teraz spodziewać.

Jechali przez wyspę drogami wijącymi się jak węże. Patrzyła przez szybę na opromienione słońcem wzgórza usłane ogromnymi głazami i porośnięte powykręcanyimi, starymi drzewami. Widoki były tak piękne, że prawie zapomniała o wszystkim sprawach, które powodowały jej przygnębienie.

Zdała sobie sprawę, że znajdują się niedaleko rajskiej krainy Nikosa, gdzie leżeli na plecach, podziwiając sępa latającego nad ich

głowami. Sprawdziła komórkę. Żadnych wiadomości. Brak sygnału.

Declan nagle zamilkł. Może zauważył, jak sprawdzała telefon? A może, spoglądając przez szybę, też przypomniał sobie o tamtej wycieczce? Wrzuciła z powrotem komórkę do torebki. Minęło pięć, dziesięć minut. Na tylnym siedzeniu panowała głęboka cisza. Shiv nie mogła uwierzyć, że jej rodzice niczego nie wyczuwają, tylko rozmawiają beztrąsko, komentując krajobraz przesuwany się za oknem. Gdy skręcili i ich oczom ukazała się spektakularna panorama wschodniego wybrzeża, Declan powiedział wystarczająco głośno, by usłyszeli gorodzice:

– Nie martw się, Shivolopoulos. Nie powiem im.

– Czego nam nie powiesz? – zapytał tato, marszcząc czoło.

Mama siedziała w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w szosie, jakby była kierowcą, a nie pasażerem. Jakby bała się tego, co zaraz usłyszy, równie mocno jak Shiv.

Shiv odwróciła się do brata.

– Dec, proszę...

– Czego nam nie powiesz? – powtórzył tato.

– Nie powiem wam, że wasza kochana córeczka bzyka się z Nikosem.

Shiv natychmiast zdaje sobie sprawę, że replika wnętrza willi jest wirtualna, a nie prawdziwa. Nie znajduje się wcale w pokoju umeblowanym i urządzonym, jak ich salon na Kyritos. To, co widzi, to tylko projekcja – powiększone zdjęcia tamtego salonu (zapewne zgrane ze strony internetowej) wyświetlone na podłodze i ścianach zupełnie pustego pomieszczenia.

Dopiero po paru minutach czuje, że jej oddech wreszcie się uspokaja, a serce bije w normalnym rytmie. Zanim to nastąpiło, miała ochotę walić w drzwi i krzyczeć, żeby ją stąd wypuścili.

Oni jednak jej nie posłuchają. Nie przerwą tego eksperymentu psychologicznego, czy jakkolwiek to nazwać. Spędzi tutaj cztery godziny. We własnym pokoju 101, sali tortur rodem z powieści Orwella. Zamknięta, uwięziona, zaciągnięta z powrotem do miejsca, w którym jej brat mieszkał w ostatnich dniach swojego życia.

Mogą kazać jej tu być, ale nie mogą kazać jej patrzeć.

Nie ma tu żadnego krzesła, więc siada w kącie, opiera głowę o ścianę i zamyka powieki. Otworzy oczy dopiero wtedy, gdy oni otworzą drzwi.

Po paru sekundach ciszę przerywa ostre brzęczenie, które wwierca się jej w uszy, prosto do mózgu. Otwiera oczy. Dźwięk ustaje. Znowu je zamyka. Brzęczenie powraca. Otwiera oczy. Cisza.

A jednak mogą zmusić ją do patrzenia. Wiedzą, kiedy zamyka i otwiera oczy. Bez przerwy ją obserwują.

Dostrzega na suficie parę okrągłych szkiełek, wyglądających jak owadzie oczy. To one wyświetlają zdjęcia wypełniające pomieszczenie. W nich pewnie są też zamontowane kamery, dzięki którym ją podglądają. Chcą nie tylko pilnować, żeby miała otwarte oczy, ale też monitorować jej zachowanie, jej reakcje. Czuje się jak szczur laboratoryjny.

Gdy trochę się uspokaja, dokładniej przygląda się fotografiom i dostrzega szczegóły, które wcześniej umknęły jej uwadze. W kącie widzi telewizor plazmowy, na półkach – książki, niektóre greckie, niektóre angielskie, na ścianie – oprawiony w ramki portret starej

kobiety w greckim stroju ludowym. Bez problemu jest w stanie wyobrazić sobie swojego ojca siedzącego przy stoliku kawowym z drewna i szkła, pochylonego nad rozpostartą mapą, sprawdzającego drogę do fortu. Potrafi wyobrazić sobie pocztówki mamy ustawione na gzymsie nad kominkiem oraz powieść Stiega Larssona, którą czytał tato, leżącą obok poduszki. Oczami wyobraźni widzi znoszone klapki Declana, jego przemoczone kąpielówki oraz okruszki ciastek na podłodze, które zawsze po sobie zostawiał.

Prawie czuje powiew zawieszzonego pod sufitem wiatraka, który nie jest w stanie wygrać z porannym upałem.

Prawie czuje olejek do opalania, który wciera w swoją skórę.

Prawie słyszy odgłos piłki tenisowej, którą jej brat odbija o ścianę willi.

Nie jest pewna, ile to trwa, zanim obraz się zmienia.

Gdy już się przyzwyczajają do tego, co ma przed oczami, i patrzenie na pokój staje się mniej przykre, pomieszczenie nagle tonie w ciemności. Po chwili podłoga i ściany znowu się rozświetlają. Jest już gdzie indziej. Siedzi na zewnątrz, na tarasie, spoglądając przez zwisające pnącza na basen migoczący pod idealnym, śródziemnomorskim niebem. Ma przed sobą gaj oliwny, zatokę, wzgórza lekko falujące w rozgrzanym powietrzu.

Patrzy na basen i czuje ukłucie w sercu. Oczami wyobraźni widzi, jak Declan, w czerwonych kąpielówkach, wygłupiając się, wykonuje akrobatyczny skok do wody i ochlapuje biało-różowe płyty, którymi wyłożony jest taras. Do jej umysłu wdziera się inne wspomnienie: Declan siedzi ze skrzyżowanymi nogami na krańcu trampoliny, bez koszulki, z pochyloną głową, oświetlony przez światła basenu, załamany po tym, jak przyłapał ją na pocałunku z Nikosem.

Odruchowo zamyka oczy. Rozlega się brzęczenie. Podnosi powieki.

Przez resztę poranka – pomijając pięciominutową przerwę na wyjście do toalety, do której odprowadza ją pan Hensher – Shiv siedzi zamknięta w swojej Osobistej Sali Terapeutycznej. Raz znajduje się wewnątrz willi, a raz przed nią. Powinna być już znudzona, a co za tym idzie – zubożniała. Obrazy powinny stracić swoją siłę oddziaływania na

jej emocje. Rzeczywiście, po dwóch godzinach zaczyna czuć się trochę lepiej, ale nie trwa to długo. Potem znowu jest strasznie. Zaczyna rozumieć, że torturą ma być nie tylko patrzenie na te zdjęcia, lecz także towarzysząca temu monotonia.

Najgorsze jest jednak coś innego. Shiv nie potrafi zapanować nad swoją wyobraźnią, która podsuwa jej to, czego nie widać na zdjęciach. Nie potrafi zablokować pamięci, która przypomina jej o tym, co się dopiero wydarzy. W myślach odlicza dni, godziny i minuty do śmierci brata.

Przez parę następnych dni pokazują jej te same fotografie.

Zaczyna wierzyć, że zdoła to przetrwać, wytrzymać. Zamknięta każdego ranka w swojej Osobistej Sali Terapeutycznej próbuje opanować sztukę: patrzeć na zdjęcia, lecz o nich nie myśleć.

A potem pojawiają się zupełnie nowe zdjęcia.

Z początku nie jest w stanie zrozumieć, skąd klinika je wytrzasnęła. Nigdy wcześniej ich nie widziała. Nawet nie miała pojęcia, że istnieją. Wreszcie ją olśniło, że zdjęcia muszą pochodzić z akt policyjnych. Od greckiego prawnika, którego tato wynajął na Kyritos. Co oznacza, że to właśnie tato przekazał fotografie doktor Pollard.

Zgodził się, żeby klinika je wykorzystwała.

Najpierw wyświetlają się zdjęcia miejsca, gdzie zginął Declan. Seria ostrych, cyfrowych ujęć wykonanych z każdej możliwej perspektywy. Shiv musi patrzeć na nie przez pełne cztery godziny.

Następnego dnia pokazują jej fotografie zrobione tam, gdzie znaleziono ciało Declana. Wie, że to właśnie to miejsce, bo na zdjęciach są zwłoki, tyle że zakryte niebieskim brezentem. Sekwencja zdjęć kończy się fotografią, na której grecki policjant zamierza odsłonić ciało jej brata.

Shiv odwiedza Caron w jej sypialni. Jest pora obiadu, ale żadna z nich nie może nawet myśleć o jedzeniu. Shiv miała zamiar wrócić do siebie, żeby przed Rozmawianiem posiedzieć trochę w samotności, ale mijając drzwi Caron, usłyszała płacz. Zapukała. Caron pozwoliła jej wejść.

Siedzą na przeciwległych krańcach łóżka, milcząc, szukając słów. Caron wygląda tak, jakby znowu miała się rozplakać.

– Pokazali mi Mel – mówi wreszcie. – Zdjęcie zrobione tuż po tym, jak zemdląca.

Wyjaśnia, że jeden z chłopaków na imprezie myślał, że Melanie się wygłupia, więc filmował ją komórką. Klinika musiała zdobyć to nagranie i przerobić je na serię zdjęć. W pierwszych dniach fazy drugiej musiała patrzeć na zdjęcia zrobione Melanie, gdy jeszcze żyła – tańczyła, śmiała się, śpiewała – zanim wzięła ecstazy, co było dla Caron wystarczająco trudne. Po tym, co zobaczyła dzisiaj, jest wrakiem: blada jak ściana, roztrzęsiona, z podkrążonymi oczami, oklapłymi, przetłuszczonymi włosami.

– A co u ciebie?

Shiv opowiada jej o ostatnich zdjęciach. Caron przykładła dłoń do ust, jakby zebrano się jej na wymioty.

– Jak możesz wytrzymać... – nie kończy zdania.

– Chyba od początku wszystko do tego zmierzało – odpowiada Shiv.

– Do czego?

– Do... śmierci. Po prostu.

Śmierci Melanie, śmierci Declana. Na trzydzieści dni ich wskrzeszono, a teraz znowu zostali uśmierceni. Shiv nie potrafi jednak złagodzić tego słowa tak, żeby nie brzmiało brutalnie. Wpatruje się w twarz Caron. Gdzie się podziała ta przebojowa, bezczelna dziewczyna w czerwonej sukience? Ta, która przemycała w majtkach papierosy?

– Nie wiem, jak wytrzymam dzisiaj Rozmawianie i Pisanie.

– Ja też nie – odpowiada po chwili Caron.

Zajęcia różnią się od poprzednich tym, że każdy rezydent – bez wyjątku – musi zabrać głos oraz przeczytać to, co napisał w zeszycie. Muszą mówić i pisać tylko i wyłącznie o śmierci. Jak wyjaśniła pani Sumner, muszą „przerobić emocje”, które wywołały w nich poranne pokazy zdjęć. Dlatego grzebie w ich wspomnieniach, w ich umysłach. Chce wyciągnąć od nich wszystkie szczegóły, nawet te najbardziej drastyczne. „Gdzie dokładnie umarł?” „Co dokładnie się stało?” „Proszę, wyjaśnij mi, dlaczego to była twoja wina”.

– Napiszesz mi zwolnienie, że jestem chora? – pyta Shiv, mając nadzieję, że zdoła wywołać uśmiech na twarzy koleżanki.

Caron jednak ignoruje jej pytanie. Mówi o czymś innym, ale nagle urywa, słysząc, jak ktoś idzie korytarzem, szurając nogami, a potem zatrzymuje się przed drzwiami Shiv i chyba nasłuchuje, czy jest w środku. Zaraz potem rozlega się pukanie do drzwi.

– To Mikey – mówi Caron bezbarwnym tonem.

– Będzie się zastanawiał, dlaczego nie przyszłam na obiad.

Shiv chce się dowiedzieć, jak Mikey się trzyma po dzisiejszym pobycie w Osobistej Sali Terapeutycznej, ale nie chce też, żeby Caron poczuła się porzucona.

– To miło z jego strony. – Ton Caron jest znowu matowy, obojętny.

Shiv potrafi sobie z łatwością wyobrazić zdjęcia rzeki, w której utopiła się siostra Mikeya, oraz błotnisty brzeg, na który wyciągnięto jej ciało. Mikey reaguje zaskakująco dobrze na fazę drugą, jakby uważał, że klinika wreszcie zrozumiała, jak należy prowadzić terapię. Dla niego oglądanie tych zdjęć jest formą kary. Jednak Shiv przeczuwa, że prędzej czy później Mikey pęknie. Zobaczy w swojej Osobistej Sali Terapeutycznej coś tak mocnego, tak drastycznego, że zapragnie znowu rozwalić sobie głowę o drzewo.

Shiv odwraca się do Caron i mówi:

– Nie bądź taka.

– Jaka? Nie wiem, o co ci chodzi.

Znowu rozlega się walenie do drzwi.

– Shiv?! – woła Mikey.

– Powinam...

– Wiem – mówi Caron. – Nie chcesz, żeby twój braciszek się martwił.

Shiv gromi ją wzrokiem.

– On nie jest moim bratem.

– Mów, co chcesz, Shiv.

Następnego dnia znowu torturują ją obrazami śmierci, ale stopniowo dodają zdjęcia żyjącego Declana. Wakacyjne fotografie przeplatają się z tymi, na których jego martwe ciało leży pod brezentem. Pewnie chodzi im o to, żeby patrzyła na żywego Declana przez pryzmat jego śmierci. A może odwrotnie?



Nie kończy się na zdjęciach.

Dnia czterdziestego lub czterdziestego pierwszego (straciła już rachubę) zaczynają się pojawiać ruchome obrazy. Zapomniała o filmach, które mama kręciła na Kyritos swoją komórką.

Declan tańczący „po grecku” z kelnerką w pobliskiej tawernie.

Declan chodzący na rękach po plaży.

Declan wykonujący salto z trampoliny.

Klinika celowo wybrała takie nagrania, na których jej brat wydaje się przepelniony energią i witalnością. „Popatrz, jaki jest pełen życia! Jaki szczęśliwy!” Fotografie Declana, które wyświetlały się w nocy na ścianie sypialni, nie przeszkadzały jej, za to te nagrania okazują się nie do zniesienia, zwłaszcza oglądane po zdjęciach zrobionych po jego śmierci.

Filmy są z dźwiękiem. Declan mówi, krzyczy, śmieje się.

Dopiero teraz, znowu słysząc głos brata, Shiv uzmysławia sobie, że już nigdy więcej go nie usłyszy. Już nigdy nie usłyszy jego głupich dowcipów, bystrych komentarzy, błyskotliwych docinków, udawanych akcentów, komicznego jodłowania. Nigdy nie usłyszy, jak przechodzi mutację, jak jego głos zmienia się z chłopięcego w męski. Nigdy nie usłyszy go w słuchawce, jak udaje automatyczną sekretarkę. Nigdy nie usłyszy, jak krzyczy do niej przez drzwi, żeby zwolniła łazienkę. Nigdy nie usłyszy, jak wypowiada jej imię.

Oczywiście nie słyszała jego głosu od wielu miesięcy – od tamtej nocy, kiedy zginął. Słyszała go tylko w swoich snach i w swojej wyobraźni. A jednak dopiero teraz, gdy Declan krzyczy na filmie: „Patrz i płacz, Shivoloppoulos!”, po czym wykonuje salto i wpada do basenu, Shiv uświadamia sobie, że naprawdę już nigdy, przenigdy go nie usłyszy.

Skazała swojego brata na wieczne milczenie.

Declan dobrze wygląda. Jest opalony i uśmiechnięty. Kręci piłkę do siatkówki na środkowym palcu. Wygląda na to, że już opanował tę sztuczkę, lecz po paru chwilach piłka mu ucieka i spada na piasek.

– Tamtego dnia byłeś taki wkurzający – mówi do niego Shiv. – Pamiętasz?

Declan podnosi piłkę i powtarza sztuczkę. Mama nagrywa telefonem jego każdą próbę. W tle słychać jej głos – dodaje Declanowi otuchy albo wybucha śmiechem. Mieli zagrać w siatkówkę, dwóch na dwóch, ale on kazał im czekać i patrzeć, jak kręci piłkę na palcu.

– Byłeś taki wściekły, że ci nie wychodziło.

– Wcześniej mi wychodziło! – Declan na filmie skarży się rozdrażnionym tonem.

Jakby to była ich wina, że piłka mu ucieka – jej, że patrzy, i mamy, że nagrywa, chociaż sam ją do tego zmusił. Film kończy się stop-klatką: twarz Declana jest w połowie zasłonięta piłką, jego ręka i piłka są rozmazane, a przedramię oblepiają ziarenka piasku, co wygląda jak jakaś dziwna choroba skórna.

– A potem tato złapał piłkę i perfekcyjnie wykonał tę sztuczkę. Pamiętasz? – Shiv śmieje się głośno, tak samo jak jej brat na filmie. – Wtedy naprawdę się wkurzyłeś.

Wstaje, podchodzi do ściany i dotyka obrazu, próbując zetrzeć piasek z jego skóry. Kiedy to robi, film znika, a w jego miejsce pojawia się zdjęcie jej martwego brata przykrytego brezentem.

Cofa gwałtownie dłoń, jakby ściana była pod wysokim napięciem. Prawie natychmiast powraca stop-klatka, na której Declan bawi się piłką.

– Doktor Pollard uważa, że opętał mnie demon – mówi po chwili, usiłując uspokoić oddech. – Mówi, że trzeba poddać mnie egzorcyzmom.

Declan milczy.

Shiv uśmiecha się do siebie. A potem znowu poważnym tonem dodaje:

– Oni nigdy mnie nie obwiniali.

Declan nie pyta kto.

– Mama i tato. Policja. Tak naprawdę nikt mnie nie obwiniał. –

Shiv znowu chce dotknąć ściany, ale w porę się powstrzymuje. – „To twoja wina. Gdyby nie ty, on nadal by żył”. Oni wszyscy tak uważają, ale nikt nie powiedział mi tego prosto w twarz.

Declan wciąż milczy.

– A co ty myślisz? Uważasz, że to moja wina?

Cisza.

– Tak, tak uważasz. Nic dziwnego.

Shiv patrzy na stop-klatkę. Częściowo zakryty uśmiech. Piłka. Rozmazana dłoń. Zapiaszczone ramię. Czuje, jak zapala się w niej płomyk irytacji, ale od razu go gasi. Przecież Declan ma tylko dwanaście lat i to on ma prawo być na nią wściekły, a nie ona na niego.

– Kiedy tu przyjechałam, powiedziałam dyrektorce, że muszę znaleźć sposób, jak żyć z tym, co ci zrobiłam – wyznaje łamiącym się głosem. – Ale jak mogłabym? Jak mogłabym z tym żyć?

Declan nie ma jej nic do powiedzenia.

Następnego dnia nie pokazują jej żadnych zdjęć ani filmów. Pokój wypełniają tylko dźwięki.

Szczekanie psów. Dziesięciominutowe serie co pół godziny przez cztery godziny.

To nie jest zwyczajne szczekanie, tylko wściekłe ujadanie, tak głośne, tak dzikie, jakby te bestie miały za chwilę wpaść do pokoju i rozerwać ją na strzępy. Nie widzi ich, ale jest pewna, że to są psy z jej snu o drzewie. Te, które czekały, aż spadnie na ziemię.

Opowiada o nich na Rozmawianiu i Pisaniu. Opowiada grupie swój koszmar. Wyjaśnia, dlaczego szczekanie kojarzy się jej ze śmiercią brata, z tamtą tragiczną nocą. To wcale nie pomaga jej oswoić tych psów w myślach. Przeciwnie, zaczyna się ich bać jeszcze bardziej. To, co mówią i czytają pozostali rezydenci, pokazuje, że poranne sesje w Osobistych Salach Terapeutycznych dla nich też są „ostatnią rundą”, jak nazywa to doktor Pollard, czyli ponownym przeżywaniem ostatnich godzin i minut życia osób, które stracili. Na Kyritos psy były raczej nieistotnym szczegółem; tak naprawdę nie miały nic wspólnego ze śmiercią Declana. A przynajmniej tak jej się wtedy wydawało. Teraz wydają się nieodłącznym elementem tamtej tragedii. Słuchając ich ujadania, Shiv ma wrażenie, że są oburzone tym, co zrobiła swojemu

bratu. Tym, czego były świadkami.

Oczywiście zdaje sobie sprawę, że tak naprawdę na nagraniu nie ujadają psy, które szczekały tamtej nocy. Ale to nie ma znaczenia. To mogłyby być one.

Spoglądając na udręczone twarze rezydentów siedzących w kółku, Shiv dostrzega, że nie tylko ona została zepchnięta do najmroczniejszych, najgłębszych zakamarków swojej duszy. Jeśli ta faza ma na celu wypędzenie z niej demonów, uwolnienie jej od poczucia winy, to na razie przynosi przeciwne rezultaty. Od śmierci brata nigdy nie czuła do siebie aż takiej nienawiści jak w tej chwili.

Po powrocie do swojej sypialni ma ochotę wziąć długi prysznic w nadziei, że strumienie wody zmyją z niej smród psów i zagłuszą ich niekończące się ujadanie. Odkręca gorącą wodę i zaczyna się rozbierać. Na widok koszulki z cytatem z Salingera, którą ma pod kombinezonem, zamiera w bezruchu na środku łazienki.

„Lepiej nikomu nic nie opowiadajcie. Bo jak opowiecie – zaczniecie tęsknić za wszystkimi”.

– Dec, dlaczego tak lubiłeś nosić tę koszulkę? – pyta na głos. – Przecież zawsze rozmawiałeś z ludźmi, zaprzyjaźniałeś się z nimi, opowiadałeś im różne rzeczy.

Powraca do niej pewne wspomnienie. Ma cztery lata, może trzy i pół, siedzi w salonie i przebiera lalki. Podchodzi do niej Declan. Chce się z nią pobawić. Shiv odpowiada, że bawi się z lalkami. Declan zaczyna płakać. Shiv od razu odstawia lalki, siada na szorstkim, czerwonym dywanie i zaczyna się bawić z bratem, wtykając kolorowe, drewniane klocki do otworów o różnych kształtach – okrągłych, kwadratowych, trójkątnych – a potem wszystko wysypują i zaczynają od początku...

Stoi w bezruchu jeszcze parę chwil, a potem kończy się rozbierać, wchodzi do kabiny i zostaje pod prysznicem tak długo, aż traci poczucie czasu.

Kolejne nagranie: Declan na pokładzie Posejdona IV.

Choć siedzi na jednej z ławeczek, przechyla się raz w lewo, raz w prawo, jakby łodzią miotał sztorm. Jest w swoich czerwonych spodenkach, jego opalona skóra ma odcień miodu. Filmująca go mama

mówi, żeby przestał się kołysać. Jej głos jest zniekształcony przez wiatr i szum morza. Jedna z pasażerek, starsza Angielka, podaje coś Declanowi. Po jego ustach przemyka niepewny uśmiech.

– Pokaż, co tam masz – prosi mama.

Declan wyciąga rękę w stronę kamery. Obraz się rozmywa. Mama próbuje złapać ostrość. Wreszcie się jej udaje.

Zasuszone zwłoki małego żółwia.

Shiv przykłada dłoń do ust. Nie ma pojęcia, jak zdołali go naprawić, złożyć, po tym jak... Nie, wszystko się jej pomieszało. Przecież to się stało później. Kiedy wrócili do Anglii, tylko we trójkę, a ona wreszcie zmusiła się do rozpakowania bagaży. Zapomniała, że żółw jest w walizce, schowany pomiędzy ubraniami, owinięty w różową chusteczkę. Gdy tylko go zobaczyła, zniosła go do łazienki, połamała na kawałeczki i wrzuciła do sedesu. Trzy razy spuszczała wodę, żeby spłukać wszystkie resztki.

Tłumaczy sobie, że ten film został nagrany wcześniej, zanim zniszczyła żółwia, więc to normalne, że na filmie jest jeszcze w całości, nietknięty. A mimo to jakaś część jej mózgu nie może ogarnąć tego, co widzi.

Mama robi zbliżenie.

Żółw jest tak powiększony, że Shiv widzi wyraźnie jego poczerniałą, zasuszoną skórę, częściowo wykształconą skorupę oraz małe dołki w miejscu oczu. Zdjęcie wypełnia prawie całą ścianę, od sufitu po podłogę, więc w tle widać również dłoń Declana, zmarszczki na jego skórze, ziarenka piasku albo morskiej soli na jego palcach, błyszczące w słońcu jak diamenty, wijące się i spiralne linie papilarne, a w miejscu, gdzie kciuk łączy się z nadgarstkiem, niebiesko-biała żyła wypełniona krwią pulsuje pod skórą w rytmie jego serca.

Cały ranek w kółko puszczają to jedno nagranie. Shiv jest pewna, że znowu zobaczy je w nocy, w swoich snach (o ile uda jej się zasnąć).

Przez resztę dnia nie potrafi wyrzucić z głowy tych obrazów. To tak jak z patrzeniem w słońce: gdy zbyt długo się to robi, plamy światła i kolorów dalej tańczą przed oczami, nawet wtedy, gdy już przeniesie się wzrok na coś innego. Różnica jest taka, że w przypadku Shiv nie trwa to kilka czy kilkanaście sekund, tylko wiele godzin, jakby oślepiające

greckie słońce, widoczne na tamtym nagraniu, na stałe wypaliło te obrazy w siatkówkach jej oczu.

– Jak tam twoja poranna sesja? – pyta Shiv.

Mikey wzrusza ramionami.

– Tak jak zwykle.

Czasami opowiada jej o zdjęciach i filmach, które mu pokazują, ale zazwyczaj tego nie robi. Siedzą w jego pokoju (który już nie jest celą, tylko normalną, umeblowaną sypialnią) po obu stronach łóżka. Mikey przeczesuje włosy palcami. Ma na sobie żółty kombinezon. To jedyne, co pozostało z jego więziennej fazy.

– A twoja? – pyta.

Shiv opowiada o filmie z Declanem na pokładzie łodzi. Mikey ze szczegółami zna historię tamtego rejsu, ponieważ Shiv dużo o tym mówiła i pisała na zajęciach.

– Mogłam się spodziewać, że wcześniej czy później pokażą mi to nagranie.

Tamtego pięknego, idealnego dnia miała swój początek śmierć Declana. Wszystko, co się wydarzyło później, w kolejnych dniach, tygodniach i miesiącach, zaczęło się od tego, że we włosy zaplątała się jej maska do nurkowania, a Nikos jej pomógł. Wszystko właśnie wtedy się zaczęło. Gdyby nie wybrali się na tamten rejs, Declan nadal by żył, a Shiv nie siedziałaby tutaj, w Klinice Korsakoffa, rozmawiając z Mikeyem.

Ale się wybrali.

– Myślisz czasami o tym, że to wszystko mogłoby się skończyć zupełnie inaczej? – pyta Shiv. – To znaczy ta historia z Phoebe.

– Cały czas – odpowiada Mikey, patrząc na nią.

– Moja terapeutka dużo o tym mówiła. Jakby śmierć Declana była czymś całkowicie przypadkowym. Tak jak to, że trafi w ciebie piorun. Jakby to nie była moja wina, tylko po prostu pech. Przysięgam, ona naprawdę myślała, że uwierzę w te brednie.

– To dlatego pokazują nam te filmy i zdjęcia zrobione, no wiesz, nie tylko po, ale też przed – mówi Mikey.

– Żeby nas torturować, przypominając wszystkie chwile, kiedy mogliśmy zapobiec temu, co się stało później? – Shiv kręci głową. –

I bez ich pomocy ciągle o tym myślę.

– Ona lubi mieszać nam w głowach. – Mikey stuka palcem w swoją skroń.

Ona. Doktor Pollard.

Kiedy Shiv rozmawia z nim w cztery oczy, Mikey często pozwala sobie na mówienie tego, co naprawdę myśli o klinice. Oficjalnie jednak, od rozpoczęcia fazy drugiej, jest „dobrym chłopcem”. Nie buntuje się, nie wpada w szał, nie próbuje robić sobie krzywdy. Klinika daje temu nowemu Mikeyowi kredyt zaufania – pozwalają mu uczestniczyć we wszystkich zajęciach i już tak intensywnie go nie pilnują.

Shiv podejrzewa, że Mikey chce tylko uspić ich czujność. To część jakiegoś planu, który zna tylko on. Gdy czasami go pyta, co właściwie kombinuje, zachowuje się tak, jakby nie miał pojęcia, o czym ona mówi.

– Ciągle rozmawiam z Declanem. – Nie musi dodawać: „Mimo że już się skończyła faza pierwsza”.

Mikey milczy i czeka, aż Shiv powie coś jeszcze. Zawsze powtarzał, że nie rozmawia ze swoją siostrą ani jej nie widzi, jednak Shiv nie jest pewna, czy nie kłamie.

– Oni naprawdę miesza nam w głowach, nie? – ciągnie dalej. – Wymyślili fazę pierwszą, żebyśmy zrozumieli, że cierpimy na urojenia, a potem zaczęli zamykać nas codziennie na cztery godziny w tych cholernych pokojach, puszczając nam filmy z osobami, o których mieliśmy przestać myśleć.

– Co byś zrobiła inaczej? – pyta nagle Mikey.

– Słucham?

– Wtedy, na łodzi. Gdybyś mogła cofnąć się w czasie.

– Ach. – Dopiero teraz rozumie, że Mikey wrócił do poprzedniego tematu. To pytanie ją zaskoczyło. – Chyba... To znaczy...

Chce powiedzieć, że w ogóle nie weszłyby na pokład albo nigdy nie odezwałyby się do Nikosa, ale to nie byłaby prawda. Sama myśl, że miałyby wykasować wszystkie chwile spędzone z Nikosem: rejs łodzią, wypad na plażę, wycieczkę w góry, żeby zobaczyć sępa, mecz na plaży, taniec na ulicy, picie piwa, pocałunki na skałkach... To były najlepsze i najszcześniejsze chwile w jej życiu.

– Zmieniłabym ostatni wieczór – odpowiada wreszcie, próbując

zapanować nad łamiącym się głosem. – Zostałabym w domu i grała w karty. – Kiwa głową, ociera twarz, bierze głęboki wdech. – Właśnie to bym zrobiła. Grała w karty z moim bratem.

Większość osób odwraca wzrok, gdy ktoś przy nich płacze. Mikey jest inny. Wpatruje się w nią z miną, która niczego nie zdradza. Nie wiadomo, czy jej współczuje, nie wiadomo, co sobie myśli. Żadnego głupiego pocieszania czy uspokajania. Shiv podoba się takie podejście. Kończy płakać i odwzajemnia pytanie:

– A ty? Co byś zrobił inaczej?

– Nie puściłbym ręki Feebs.

– Nawet gdyby ciebie też porwała rzeka? I utonąłbyś razem z nią?

Mikey kiwa głową.

– Nawet.

Zapada cisza. Mikey siedzi na swoim krańcu łóżka, obgryzając paznokcie na kciuku. Unika kontaktu wzrokowego; nagle zrobił się wyraźnie skrępowany. W tej zgarbionej pozycji wygląda jak wychudzony Budda albo jakiś bezdomny dzieciak żebrzący na ulicy. Biedny chłopak, który stracił młodszą siostrę, dla której był starszym bratem.

Powiedziała mu – tuż po tym, jak to się stało – jak nazwała go Caron: „Twój braciszek”. I co zasugerowała doktor Pollard podczas spaceru wokół jeziora: rzekomo ciągnie ich do siebie, ponieważ ona jest dla niego substytutem siostry, a on dla niej – substytutem brata.

– Tak nas postrzegasz? – zapytała Shiv.

– Nie – odpowiedział, gdy wyjaśniła, co znaczy słowo „substytut”.

– To dobrze. Bo ja też nie.

Po tej rozmowie przez kilka dni czuli się jednak skrępowani w swoim towarzystwie. Patrząc teraz na niego, Shiv uzmysławia sobie, jak bardzo Mikey w niczym nie przypomina Declana. Nie, nie patrzy na niego jak na brata. A jednak gdyby zamiast Mikeya był tutaj Declan (niby jakim cudem?), pewnie tak samo siedzieliby i rozmawiali.

– Chciałam, żeby wpakowali mnie do więzienia. – Pokazuje ręką kombinezon Mikeya. – Chciałam złożyć zeznania, żeby grecka policja o coś mnie oskarżyła. – Czuje na sobie jego intensywne spojrzenie. – Ale prawnik, którego zatrudnił tato, nie pozwolił mi na to.



– To nie jego decyzja. Ani tamtych innych.

„Tamci inni”. Prawnicy, policja, pracownicy socjalni, sędziowie, psychoterapeuci. Rodzice. Ta klinika. Jakim prawem udzielili jej rozgrzeszenia, podjęli za nią decyzję? Jakim prawem kazali ją leczyć, a nie ukarać?

Było zbyt gorąco, żeby spędzić na leżaku choć sekundę dłużej. Shiv usiadła i poczuła, jak krople potu spływają jej po plecach. Zmrużyła oczy, spoglądając na oślepiające lustro basenu. Myśl o wskoczeniu do wody przyprawiła ją o przyjemny dreszcz.

Usłyszała głos mamy z cienia pod pergolą, gdzie razem z tatą grali w rzucanie obręczami do celu.

– Na pewno nie chcesz się do nas przyłączyć?

Shiv pokręciła głową.

Tato nawet na nią nie spojrział. Od dziwnej awantury, która wybuchła po tym, jak poszedł porozmawiać z Nikosem, właściwie się do niej nie odzywał.

Poszedł do portu, poczekał, aż przyplynie łódź ojca Nikosa, i wrócił parę godzin później. Przez otwarte okno w swoim pokoju Shiv usłyszała rozmowę rodziców stojących na dole na tarasie.

– Mam nadzieję, że go nie uderzyłeś! – powiedziała głośno mama.

– Oczywiście, że nie. Ale sądzę, że ojciec przetrzepie mu skórę.

– No i co powiedział Nikos?

– Podobno tylko się całowali. Nic więcej.

Gdy mama zapytała, czy mu uwierzył, tato odpowiedział, że tak. Podobno Nikos wyglądał na autentycznie skruszonego. Naprawdę nie miał pojęcia, że Shiv jest tak młoda.

W tym momencie Shiv zeszła, a raczej zbiegła po schodach, wpadła na taras i zawołała:

– A mnie nie wierzyliście!

– Siobhan...

– Uwierzyliście najpierw Declanowi, a potem Nikosowi, ale kiedy ja mówiłam...

– Powiedział, że go okłamałaś. – Shiv nigdy nie widziała taty tak rozgniewanego. – Nie zbliżyłby się do ciebie, gdyby wiedział, że jesteś dzieckiem.

– *Dzieckiem?* Na pewno tak nie powiedział!

– Właśnie tego słowa użył. Bo czy ci się to podoba, czy nie, właśnie tym jesteś: dzieckiem, piętnastoletnią dziewczynką.

A piętnastolatki przebywające na wczasach z rodzicami nie wymykają się wieczorem z domu, żeby iść na schadzkę z dziewiętnastoletnim mężczyzną. Boże, Shiv, przecież wszystko się mogło wydarzyć.

– Wiesz co, teraz naprawdę żałuję, że nic się nie stało.

Tato uderzył pięścią w krzesło.

– Mógł cię zgwałcić!

Dopiero teraz dostrzegła, że jest tu Declan. Nawet nie słyszała jego kroków.

– Zadowolony? – syknęła mu w twarz.

Wzruszył ramionami.

– To nie ja poszedłem na tajną randkę z Nikosem.

– Dlaczego tak bardzo ci przeszkadza, że się z nim spotkałam?

– Nie przeszkadza.

W jego głosie usłyszała strach. Strach przed tym, co mogłaby powiedzieć. I co postanowiła powiedzieć.

– A może jesteś zazdrosny?

– Zamknij się.

– O to chodzi, prawda? Chciałbyś...

– Siobhan – odezwała się mama. – Wystarczy.

W oczach Declana zalśniły łzy.

– Po prostu... zamknij się!

Shiv wstała z leżaka. Jej skóra odkleiła się od plastikowego oparcia. Stąpając ostrożnie po rozgrzanych kamiennych płytach, podeszła do krawędzi basenu i skoczyła.

To było cudowne uczucie – zanurzyć się w chłodnej wodzie.

Mogłaby zostać tam dłużej – pod wodą, w ciszy, wśród wirujących bąbelków, wśród promieni słońca tańczących na bladoniebieskich kafelkach. Wynurzyła się z głośnym westchnieniem.

– Uważaj, żebyś się nie spalił, dobrze? – To mama. Zasłaniając dłonią oczy przed słońcem, wyszła spod pergoli, żeby zawołać do Declana. – Dec, skarbie?

On siedział na balkonie i milczał. Shiv widziała jego stopy oparte na drewnianej balustradzie. Rano nie zszedł na śniadanie. Zajął miejsce na balkonie dopiero wtedy, gdy oni ulokowali się przy basenie, żeby spędzić tam – jak powiedziała mama – „leniwy ostatni dzień wakacji”.

Po wczorajszej przerwanej wycieczce do fortu oraz tym, co się stało później, żadne z nich nie było w nastroju na wspólne wyjście ani wspólną zabawę.

– Daj mu spokój – powiedział tato. Kiedy Declan był w złym humorze, zawsze kazał „dać mu spokój”, ale gdy Shiv tak się zachowywała, mówił: „Niech się dąsa”.

Nie chciała nienawidzić swojego brata. I nienawidzić siebie za to, że go nienawidzi. Od czasu do czasu zdarzały im się sprzeczki, ale nigdy tak poważne, tak ostre. Nie mogła mu wybaczyć, że zniszczył jej znajomość z Nikosem, że wypaplał wszystko rodzicom. Pragnęła zemsty. Chciała go zranić.

I zrobiła to.

Dalej wpatrywała się w jego nogi, w białe podeszwy stóp, kontrastujące z opaloną skórą łydek. Resztę jego ciała zasłaniały ręczniki rozwieszane na balkonie. Podejrzewała, że specjalnie je tam rozwiesił, żeby się przed nimi ukryć.

Zostało im już tylko popołudnie, jeden wieczór, jedna noc. Jutro o tej porze będą w samolocie. Na myśl o tym poczuła, jak jej serce pęka na kawałki.

Miała ochotę wyskoczyć z basenu, wybiec na szosę, zatrzymać jakiś samochód i poprosić o podwiezienie do portu, żeby się zobaczyć z Nikosem. Zamiast tego odepchnęła się od ścianki basenu i pływała do utraty tchu.

Declan nie pojawił się na obiedzie. Nie tknął jedzenia, które mama zniosła mu do pokoju.

– Mogłabyś pójść na górę i pogodzić się z bratem? – zapytała mama.

– Ja? To on powiedział, że „bzykam się” z Nikosem.

– Shiv!

– Tylko go cytuję.

Siedzieli w cieniu drzewa nieopodal basenu. Shiv pisała SMS-y do Laury i Katy, umawiając się na spotkanie po powrocie do Anglii. Mama układała pasjansa kartami pofałdowanymi od rozgrzanego, wilgotnego powietrza. Tato ucinał sobie drzemkę w willi.

– Do kogo piszesz? – spytała mama.

– Nie do Nikosa, jeśli to chciałaś wiedzieć.

Jej matka odwróciła kartę. Walet kier. Spojrzała na obrazek tak, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– Wiesz, Shiv, sposób, w jaki się odezwałaś do Declana... – Nie dokończyła zdania.

– On was okłamał! – odparła Shiv wściekłym tonem. Nie chciała pamiętać, co ujrzała w jego oczach po tym, co mu powiedziała.

– Posłuchaj. Darzysz Nikosa silnym uczuciem. Widzę to.

– Możemy nie rozmawiać o...

– Ale Declan jest twoim *bratem*, Siobhan – przerwała jej mama. Po chwili dodała: – Będzie twoim bratem do końca twojego życia. Długo po tym, jak mnie i twojego ojca zabraknie na tym świecie. I długo po tym, jak zapomnisz o Nikosie.

Shiv patrzyła na gaj oliwny, gdzie znajoma, samotna koza leżała w cieniu jednego z drzew. Po zatoce pływali windsurferzy. Z daleka ich żagle wyglądały jak malutkie chorągiewki powiewające na wietrze.

Przypomniała sobie minę Declana, gdy Nikos uratował go przed niebezpiecznymi falami. Wyglądał na takiego szczęśliwego. I... zadowolonego. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że sama była zbyt zapatrzona w Nikosa, żeby zauważyć, że jej brat też jest nim całkowicie zauroczony.

„Będzie twoim bratem do końca twojego życia”.

– Idę popływać – rzuciła, wstając z leżaka.

Mama zaczęła coś mówić, lecz Shiv jej nie słuchała. Wskoczyła do wody, zanim mama dokończyła i zanim pociekły jej łzy.

Pływała tak długo, aż zabrakło jej tchu, a ciało zaczęło odmawiać posłuszeństwa.

Obróciła się na plecy, całkowicie wyczerpana, rozpostarła ręce i nogi i unosiła się na wodzie jak rozgwiazda. Spoglądając na balkon, na stopy brata, miała wrażenie, że to nie ona obraca się na powierzchni wody, tylko willa zaczyna wirować i wzlatuje do nieba niczym gigantyczny balon, zabierając ze sobą Declana.

Shiv siedziała przy basenie, z nogami w wodzie, czując na ramionach gorące, popołudniowe słońce, gdy nagle dostrzegła pod żywoplotem piłeczkę tenisową Declana. Tę samą, którą dostała w głowę

pierwszego dnia tych wakacji. Miała wrażenie, że to było sto lat temu. Od tamtej pory tyle się wydarzyło...

Spojrzała na balkon. Dalej tam siedział, zasłonięty ręcznikami.

Podniosła piłeczkę, nachyliła się i zamoczyła ją w basenie.

Uśmiechnęła się pod nosem, wyobrażając sobie, jak trafia w niego tym mokrym pociskiem. Wyskoczy z własnej skóry. Zwłaszcza jeśli zasnął.

Od dołu czy znad głowy? Od dołu, zdecydowała.

Ustawiła się pod balkonem, wzięła zamach i rzuciła piłeczką ociekającą wodą. Zbyt mocno. Piłka pofrunęła wysoko, przeleciała obok balkonu, uderzyła w krawędź dachu i... rykoszetem trafiła w cel. Głośne przekleństwo potwierdziło to, co chciała wiedzieć.

Zacisnęła pięść i wykrzyknęła w myślach: *Tak, tak, tak!*

Na balkonie znowu zapadła cisza.

Wszystko było tak jak wcześniej. Z jedną różnicą – zniknęły stopy Declana. Nie wiedziała, czy dalej tam siedzi, czy wszedł do środka. Jeszcze minutę temu rzucenie w niego mokrą piłką wydawało się jej świetnym pomysłem, poczuła dreszczyk emocji i dobrze się bawiła. Teraz nie miała pojęcia, dlaczego to zrobiła ani co chciała osiągnąć.

Naprawdę wierzyła, że trafi w niego piłką i nagle – klik! – między nimi będzie tak jak przedtem?

Spojrzała na mamę, która zamarła z kartami w rękach. Pewnie obserwowała ją od dłuższego czasu.

– Porozmawiaj z nim – powiedziała bezgłośnie, jedynie poruszając wargami.

Shiv nie miała jednak zamiaru jej posłuchać. Zdobyła się na gest pojednania i została zignorowana. Czuła się jak idiotka.

Odwróciła się od balkonu i przeszła przez taras w stronę drzwi do willi. Chciała się schować przed słońcem. I zacząć się pakować.

– On ci to dał?

Shiv prawie upuściła żółwia. Nie usłyszała, kiedy mama weszła po schodach i stanęła w progu jej pokoju.

– Tak – mruknęła.

Siedziała na łóżku, obok otwartej, na wpół spakowanej walizki.

Mama weszła do środka.

– Mogę zobaczyć?

Shiv podała jej żółwia. Mama zapytała, czy to ten, którego Nikos pokazywał pasażerom w czasie rejsu.

– Chyba tak.

– Biedne stworzonko – westchnęła, oddając jej żółwia.

Shiv owinęła go z powrotem w chusteczkę i schowała między ubraniami, żeby nie połamał się w podróży, ale też żeby ukryć go przed tatą. I przed Declanem.

– To był uroczy dzień, prawda? Wtedy, na łódce – odezwała się mama.

Shiv przytaknęła. Odwróciła głowę, lecz mama zdążyła zauważyć łzy w jej oczach.

– Och, skarbie. – Stała nad nią i objęła ją ramionami. Shiv wtuliła się w jej brzuch, trzęsąc się od szlochów. – Wypłacz się – szeptała mama, głaszcząc jej włosy. – Wyrzuć to z siebie.

– Kocham go, mammo...

– Wiem, wiem.

– Naprawdę go kocham.

Rodzice szykowali się na kolację. Mama próbowała przekonać ojca, że w tych okolicznościach lepiej byłoby zostać w domu, lecz on nawet nie chciał o tym słyszeć.

– Nie pozwolę jej popsuć naszej rocznicy.

Shiv podsłuchiwała ich rozmowę. Nie miała wątpliwości, że tato nie ustąpi i nie zrezygnuje z kolacji. Teraz byli już gotowi do wyjścia. Tato czekał w drzwiach, wypatrując taksówki. Mama stała przed lustrem, kończyła makijaż i mówiła do Shiv, nie odrywając wzroku od swojego odbicia.

– Wrócimy koło jedenastej... Mam ze sobą komórkę... W szafce jest makaron, a w lodówce ser. Musicie to zjeść, bo się zmarnuje...

Shiv siedziała na sofie przed telewizorem, słuchając słów mamy tylko jednym uchem. Przeskakiwała po greckich kanałach z wyłączoną fonią. Declan był gdzieś na górze.

– Taksówka już czeka – powiedział tato.

– Jesteś pewna, że dacie sobie radę?

– Mammo...

– Dobrze, już dobrze. Idziemy.

Gdy rodzice wyszli, Shiv przez jakiś czas snuła się po pustym domu, a potem postanowiła pogodzić się z Declanem – a przynajmniej znowu spróbować. Weszła na półpiętro i zawołała go, pytając, czy zrobić mu coś do jedzenia. Bez odpowiedzi.

– Dec?

Cisza.

– Ja... przepraszam, Dec – przerwała, nasłuchując pod drzwiami jego sypialni. Wiedziała, że jest w środku. – Znaczy za to, co powiedziałam. Nie powinnam... tego mówić. I w ogóle. No więc... – westchnęła głośno – *naprawdę* przepraszam.

Dalej cisza.

– Dec, *blagam*. Nie bądź taki.

W końcu się poddała i zeszła na dół, do kuchni. Nastawiła makaron i sprawdziła komórkę. Nikos też się do niej nie odzywał.

Pomyślała, że trudno o gorszy ostatni dzień wakacji.

Zjadła kolację na tarasie, w powietrzu przesyconym zapachem świec z dodatkiem olejku odstraszającego komary. Starła się nie myśleć o Nikosie, który teraz bawił się gdzieś na plaży, na imprezie swojego brata. Nie była nawet głodna. W blasku świec makaron penne wyglądał jak odcięte palce. Niczym robot nabijała na widelec jedną rurkę po drugiej, wkładała je do ust, przeżuwała, połykała i popijała białym winem, które podkraśla z ledwie napoczętej butelki stojącej w lodówce.

Tato może zauważy, że brakuje trochę wina, ale co z tego? Przecież już bardziej nie mogła mu podpaść.

Jednak nie udało jej się dopić wina, ponieważ nagle w jej kieliszek trafiła piłeczka tenisowa. Kieliszek uderzył o brzeg talerza i rozbił się na kawałeczki. Jedzenie, stół i kolana Shiv były całe w winie i odłamkach szkła.

– Bingo! – odezwał się głos z balkonu.



No dalej, Shiv! Zrób to!

Jak może go słyszeć, skoro siedzi tak wysoko nad ziemią, uwięziona na gałęzi, a Declan stoi pod drzewem, daleko w dole, malutki jak mrówka? A jednak jego głos jest wyraźny. Słyszy każde jego słowo.

– No, śmiało!

Declan chce, żeby skoczyła, bo pod nią nie rosną żadne gałęzie, po których mogłaby zejść. Wszystko, co musi zrobić, to się nachylić. Resztą zajmie się grawitacja. Skoro on zeskoczył i przeżył, to jej też nic się nie stanie. Shiv wyobraża sobie, jak opada z drzewa niczym liść, wiruje łagodnie w powietrzu i wreszcie ląduje w ramionach brata.

– Shiv! Zrób to!

Więc nachyla się do przodu, puszcza gałąź i leci.

Spadanie trwa całe wieki, a jednocześnie tylko kilka sekund. Choć wie, że leci w dół z ogromną prędkością – widzi, w jakim tempie zbliża się do ziemi – nie ma wrażenia, że się porusza. Uderzenie o ziemię dosłownie odbiera jej dech.

Woda.

To, co brała za stały grunt, okazuje się wodą. Wpada w nią jak kamień, zanurza się pod powierzchnią.

A potem się wynurza. Płynie do brzegu. Woła do Declana, żeby jej pomógł.

– Jestem tutaj, Shiv. Trzymam cię.

Odwraca się za jego głosem.

– Dec?

– Tutaj.

Ręce wyciągają ją z wody na błotnisty brzeg u podnóża drzewa. Shiv wyciera oczy i widzi przed sobą twarz. Twarz chłopca. Ale nie Declana.

– Mikey?

On się uśmiecha.

– Jesteś już bezpieczna.

– Gdzie jest mój brat?

– Tam.

Shiv odwraca się i dostrzega sylwetkę unoszącą się na powierzchni wody – bezwładne kończyny, szyja skrzycona pod dziwnym kątem, ubrania przesiąknięte krwią. Nagle zauważa, że woda to szkło. Ogromna tafla szkła, roztrzaskana na tysiąc kawałków.

Wie, co musi zrobić, żeby dotrzeć do Declana.

Gorączkowo zaczyna zbierać kawałki szkła i próbuje je do siebie dopasować, jakby układała ogromne puzzle. To nie ma sensu. Jej pokaleczone dłonie krwawią, fragmenty rozbitego szkła nie chcą się trzymać razem i połączyć w powierzchnię gładką jak lustro.

Shiv spogląda na stojącego nad nią Mikeya, który ciągle się w nią wpatruje.

– Pomóż mi! – krzyczy. – Mikey, błagam, pokaż mi, co mam zrobić!

Tak wygląda teraz większość jej koszmarów. Są przerażającą kompilacją starych i nowych snów, mieszanką autentycznych wspomnień śmierci Declana i surrealistycznych obrazów płynących z jej podświadomości. W tych wizjach Declan i Mikey są do siebie tak podobni, że nie zawsze jest w stanie ich odróżnić.

W niektórych snach pojawiają się psy: uwiązane na łańcuchu, rozjuszone, ujadające, próbujące ją dopaść albo rzucić się na martwe ciało chłopca – jej brata albo Mikeya – przy którym stoi.

Te wizje nawiedzają ją również na jawie. I to coraz częściej. Najgorsze są jednak w nocy – tak upiorne, tak prawdziwe, że boi się zasnąć.

Doktor Pollard wspomniała o punkcie zwrotnym, do którego w tej fazie docierają rezydenci. Tłumaczyła, że jest to moment, gdy zamiast wpatrywać się w najczarniejszą otchłań, ich głowy zaczynają się podnosić – powoli, niepewnie – w stronę błękitnego nieba.

„Umysł bez przerwy karmiony ciemnością w pewnej chwili zaczyna się domagać światła”.

Chce, żeby w to uwierzyli.

W przypadku Shiv ten punkt zwrotny wygląda jednak inaczej, niż wyobraża to sobie dyrektorka. Nie ma powolnego unoszenia wzroku ku niebu, tylko nagły skok w przepaść.

W otchłań piekła. Teraz już wie, czym jest ciemność. Wie, kim

sama jest.

„On nie może się ruszać” – notuje Shiv w zeszycie podczas Pisania.

„Nie może biegać.

Nie może pływać.

Nie może rzucać piłką, wspinać się na drzewa, skakać z trampoliny do basenu.

Nie może patrzeć.

Nie może słyszeć, wąchać, smakować, dotykać.

Nie może myśleć ani mówić.

Nie może śmiać się ani płakać.

Nie może pić. Nie może jeść.

Nie może niczego już czuć. Ani miłości, ani nienawiści. Ani bólu, ani przyjemności. Ani radości, ani smutku. Ani nadziei, ani rozpaczy. Niczego.

Nie może oddychać.

Nie może dorastać. Nie może się starzeć.

Jest niczym. Nigdzie. Wiecznie.

JA. MU. TO. ZROBIŁAM”.

Traci poczucie czasu. Ma trudności z ustaleniem, jaki jest dzień tygodnia. Liczy dni w „spaniach”, tak jak wtedy, gdy była małym dzieckiem.

Minęły trzy spania, odkąd obudziła się z kolejnego koszmaru i odkryła, że zmoczyła łóżko. Dwa spania, odkąd pokazali jej film, na którym Nikos wciąga Declana na pokład Posejdona. Jedno spanie, odkąd przestała nosić swoje ubrania i zaczęła się ubierać w kombinezon, w którym spacerowała na Chodzeniu.

Doktor Pollard chce o tym wszystkim porozmawiać podczas ich następnego spotkania. Jest zaniepokojona.

– Wydaje mi się, że zbaczasz z kursu – powiedziała ostatnim razem. *Cztery czy trzy spania temu?*

– Czyjego kursu? Mojego czy waszego?

Shiv przestaje jeść.

Gdy o tym myśli, wydaje się to takie oczywiste. Dziwi się, że wcześniej nie wpadła na ten pomysł. Więc od teraz nie będzie niczego

jadła i będzie piła tylko wodę.

Dzień po dniu trzyma się tego postanowienia.

W głodzeniu się jest coś *oczyszczającego*. Czuje, jak pozbywa się toksyn ze swojego organizmu. A także ze swojego umysłu. Zatrute myśli powoli odpływają z jej głowy. Po śmierci Declana też się głodziła – zapominała o jedzeniu, nie przychodziła na posiłki albo prawie nie tykała tego, co dostawała na talerzu. Jedzenie wydawało się jej bezsensowne, tak samo jak wszystko inne. Teraz jest inaczej. Teraz robi to celowo. Chce być czysta, pusta, skupiona.

I chce się ukracać.

Na początku jest ciężko. Bardzo ciężko.

Ale już trzeciego dnia uczy się, jak wytrzymać głód, jak oszukiwać żołądek. Musi pić dużo wody, bo to wywołuje wrażenie sytości. Musi przyciskać mocno poduszkę do brzucha, żeby złagodzić skurcze, które czasami ją dopadają. Gdy wstaje, łapie się czegoś i przytrzymuje, dopóki nie miną zawroty głowy.

Oczywiście musi być sprytna. Przebiegła. Dyskretna. W żadnej klinice nie pozwalają pacjentom głodować.

Podczas posiłków nakłada sobie najmniejsze porcje, a potem ukradkiem zrzuca część jedzenia na talerz Mikeya albo Caron, gdy pilnujący ich sanitariusz akurat nie patrzy. Zostawia na swoim talerzu tak dużo, jak się da, żeby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, albo chowa jedzenie w kieszeniach, a potem wyrzuca je do śmietnika. Kiedy pozwalają im jeść na dworze, bierze kanapkę, idzie do ogrodu, z dala od wścibskich oczu, i karmi nią ptaki, które gromadzą się wokół jej ławki. Minimalne ilości pokarmu, który przyjmuje, zwraca tak szybko, jak tylko może, zmuszając się do wymiotów.

Podczas codziennych zajęć zakłada na siebie dodatkowe warstwy ubrania, żeby nie było widać, że traci na wadze. Pociera policzki, żeby nie były takie blade. Przy opiekunach i członkach personelu zmusza się do udawania, że wszystko jest w porządku. Porusza się, mówi i zachowuje normalnie.

Mikey ją rozumie, ale Caron już nie. Grozi, że nakabluje. Shiv musi więc przy niej udawać, że przestała się głodzić. To trudne, ale nie niemożliwe.

Powinna czuć się jak żywy trup, ale jest wprost przeciwnie – nigdy nie miała tak wyostrzonych zmysłów, nigdy nie była tak pobudzona. Zdjęcia i filmy, które pokazują jej w Osobistej Sali Terapeutycznej, widzi wyraźniej niż wcześniej. W czasie Rozmawiania i Pisania wreszcie potrafi doskonale, bez najmniejszych problemów wyrazić swoje uczucia i myśli.

– Mnisi się głodzili – mówi do Mikeya. – No wiesz, ci ludzie, którzy mieszkali tutaj, gdy to miejsce było klasztorem. Odmawiając sobie jedzenia, zbliżali się do Boga.

– Tobie też o to chodzi?

– Nie, tak tylko mówię.

– Ja w to wszystko nie wierzę. Moja ciotka podeszła do mnie po pogrzebie, położyła mi ręce na policzkach i powiedziała: „Pheobe teraz bawi się z aniołkami”. – Mikey pociąga nosem i przełyka ślinę. – Myślisz, że twój brat czeka na ciebie?

Shiv potrząsa głową. Przyciska poduszkę do brzucha. Siedzą w jej sypialni prawie od rana. Kolejna niedziela bez żadnych zajęć. Nie mają co robić. Nie rozmawiają ze sobą zbyt dużo. Czasami wystarcza im siedzenie w milczeniu.

– Jutro pięćdziesiąty dzień – mówi Mikey.

– Naprawdę?

To wydaje się prawie niemożliwe, że za jedenaście dni zostaną wypuszczeni z kliniki. Czy uda się jej głodzić jeszcze przez tyle czasu?

Boli ją głowa. Bolą ją nawet oczy.

Przymyka powieki. Opiera głowę o ścianę w nadziei, że chłód złagodzi ból, który cały dzień pulsuje gdzieś pod jej czaszką. To zły pomysł. Ból głowy jeszcze przybiera na sile. Zamienia się w jej umyśle w odgłos odbijanej piłeczki do tenisa. Jest prawie w stanie uwierzyć, że gdyby teraz poszła do pokoju Caron, znalazłaby tam swojego brata rzucającego piłką o ścianę.

Cztery spania, odkąd przestała jeść.

Dzisiaj wszystko nie jest już takie wyraźne, takie ostre. Korytarze i pomieszczenia wydają się jej zbyt ciemne, a światło słoneczne, wpadające przez okno, jest zbyt rażące. W jej polu widzenia pojawiają się różne obiekty – drzwi, poręcz, krzesło, twarze – a po chwili znikają,

rozmyte, rozmazane, jakby patrzyła na nie oczami pełnymi łez. Nie jest w stanie ocenić, jak daleko znajduje się dana rzecz czy osoba. Potyka się na schodach. Uderza nogą o ławkę w sali do Rozmawiania. Upuszcza na ziemię plastikowy kubek z wodą, kiedy próbuje postawić go na stoliku. Nie potrafi rozczytać słów, które zapisuje podczas Pisania...

Czy to właśnie wtedy zemdląca?

Nie ma pewności. Może już wyszła z sali, gdzie mieli Pisanie? Tak, na pewno było po zajęciach. Straciła przytomność, idąc korytarzem (a może było to w czasie przerwy podczas sesji?). Nieważne. Tak czy inaczej, gdzieś szła i nagle zakręciło się jej w głowie, a uszy wypełnił odgłos morskich fal rozbijających się o brzeg.

Nie przypomina sobie samego omdlenia – tego, jak upadła, uderzając twarzą o podłogę. Pamięta tylko tę absolutną pewność, że to się zaraz, za sekundę, stanie. A potem – nicość.

Widzi przed sobą uśmiechniętą twarz: skóra biała jak kreda, błękitne oczy, delikatne, jasne włosy. Twarz wróżki z bajki. Albo anioła. Dopiero po chwili dociera do niej, że to siostra Zena.

– Gdzie on jest? – pyta ją spanikowanym głosem, usiłując się podnieść.

Pielęgniarka przestaje się uśmiechać i marszczy czoło.

– Kto?

Shiv nie pamięta. Leży w łóżku, w jasno oświetlonym, pomalowanym na biało pokoju. Łóżko jest takie miękkie, takie wygodne.

– Za wysoko wszedł na drzewo.

– Cała się rozkopalaś. – Zena poprawia kołdrę i poduszkę za plecami Shiv, pomagając jej odrobinę się podnieść. – Wypij to.

Niebieski kubek z plastiku, zielona słomka. „Zielony i niebieski gryzą się jak wściekłe psy”. Skąd zna to powiedzonko? Chyba mama go używała. A może to był czerwony i zielony? Z trudem dosięga słomki ustami. Czuje się jak żyrafa, która zrywa listek z wysokiej gałęzi.

– Powoli. Pij małymi łyżkami.

Sok owocowy. Niesamowicie pyszny. Opróżnia połowę kubka, zanim przypomina sobie, że może pić tylko wodę.

– Nie powinnam...

– Jesteś w moim gabinecie – przerywa jej pielęgniarka. – Tutaj panują moje zasady, nie twoje.

Sala medyczna. Shiv omiata ją wzrokiem. Tak, zna ten pokój – to tutaj leżał Mikey, gdy roztrzaskał sobie głowę o drzewo. Mikey! To właśnie o niego przed chwilą pytała.

– Utknął na drzewie – mówi gorączkowym tonem, odtrącając ręką kubek, który Zena znowu podsunęła jej pod usta. – Weszłam za nim i... chyba spadłam.

– Zemdlałaś.

– Nie, zaczęłam...

– Straciłaś przytomność, wychodząc z sali po Pisaniu. –

Pielęgniarka dotyka swojej brody i dodaje: – Potłukłaś się. Masz zdartą skórę na brodzie.

Shiv dotyka swojej twarzy i krzywi się, czując pod palcami lepka, wrażliwą skórę. Opuszcza dłoń i dopiero teraz zauważa, że jest pod kroplówką. Przy jej łóżku wisi na stojaku plastikowy worek wypełnionym bezbarwnym płynem.

– Musieliśmy ci podać jakieś składniki odżywcze – tłumaczy pielęgniarka.

– Caron wam wygadała?

– Świetnie udawało ci się to przed nami ukrywać. Brawo. Jestem pod wrażeniem.

Ton pielęgniarki przeczy jej słowom. Widać, że jest niezadowolona. Uważa, że Shiv zachowała się jak idiotka, ale też obarcza winą personel, który niczego nie zauważył.

Shiv wpatruje się w gumową rurkę przyklejoną do grzbietu jej dłoni i wenflon wbity w żyłę.

– Jeśli to sobie wyciągniesz – uprzedza Zena, jakby czytała w jej myślach – dam ci zastrzyk uspokajający i znowu podepnę cię do kroplówki. Jeśli będziesz niegrzeczna, na jednym zastrzyku się nie skończy.

Godziny spędzone w sali medycznej wloką się w nieskończoność. Shiv nie ma co robić, więc na zmianę drzemie, gapi się w sufit albo patrzy, jak kroplówka sączy się do jej żył.

Czy próbują zmusić ją do uległości właśnie poprzez nudę?

Przypomina sobie anegdotę, którą często powtarzała mama. Podobno gdy rodziła Declana, nagle w izbie porodowej zapadła cisza – przerwa pomiędzy skurczami, która się przeciągała. Mama, otumaniona środkami znieczulającymi, popatrzyła ze zdziwieniem na tatę i położoną, po czym zapytała:

– Na co my właściwie czekamy?

– Na panią – zaśmiała się położona.

Poród ciągnął się przez dwadzieścia siedem godzin. A potem Declan żył tylko dwanaście lat, sześć miesięcy i siedem dni.

Shiv czuje się w tej chwili tak, jak wtedy musiała czuć się mama: jest w dziwnym stanie zawieszenia. Jakby wszyscy (włączając Shiv) czekali. Żeby coś zrobiła. Jakby wszyscy czekali, żeby zobaczyć, co zrobi.



Teraz sama nie ma pojęcia, co to mogłoby być.

Gdy za oknem zaczyna się ściemniać, zagląda do niej Zena i informuje, że ktoś do niej przyszedł. To nie może być Mikey – dyrektorka nie wyraziła zgody, żeby Shiv się z nim zobaczyła – ale i tak w głębi serca ma nadzieję, że to właśnie on wejdzie do pokoju.

– Hej – mówi Caron z niepewnym uśmiechem.

– O, cześć. – Shiv siada w łóżku i zmusza się do uśmiechu.

– Czy to uśmiech pod tytułem „dobrze cię widzieć, wejdź do środka” czy „spadaj, zostaw mnie w spokoju”?

– I to, i to.

– Dżizas, dziewczyno, kiedy cię poznałam, nie byłaś nawet w połowie tak skomplikowana.

Prawdę mówiąc, Shiv się cieszy, że Caron przyszła. Wykończyły ją długie godziny spędzone w samotności. Do oczu napływają jej łzy.

– Ej, ej.

Caron podchodzi do łóżka, bierze jej rękę, tę, do której nie jest wbita kroplówka, i masuje ją obiema dłońmi.

Po chwili przyciąga krzesło i siada. Z początku nie mają sobie zbyt dużo do powiedzenia, a raczej – mają sobie mnóstwo do powiedzenia, ale większość wolą przemilczeć. Siedzą obok siebie jak dwie staruszki zajęte robieniem patchworkowej kołdry, od czasu do czasu przerywając ciszę krótkimi rozmowami.

W pewnym momencie Caron mówi:

– Miałam zamiar specjalnie na tę okazję włożyć swoją czerwoną sukienkę. No wiesz, tamtą, w której przyjechałam.

Jest ubrana w granatową bluzę i sprane dzinsy, podarte na kolanach. Wskazuje na piżamę Shiv.

– Chyba dzisiaj nie masz na sobie...

– Mam. Pod spodem – przerywa jej, dotykając góry od piżamy. – Pięćdziesiąt dni na pięćdziesiąt.

Nawet w niedziele, kiedy robione jest pranie, Shiv daje do wysuszenia w suszarce swój T-shirt z cytatem z *Buszującego w zbożu*, żeby mogła jak najszybciej znowu się w niego ubrać.

– Twój brat miał go na sobie, gdy umarł? – pyta Caron.

– Nie. Chciał go włożyć do samolotu, więc mama mu go wyprała.

Następnego ranka, po jego śmierci, koszulka wciąż wisiała na sznurku w łazience. Shiv zdjęła ją i schowała do swojej walizki. Po prostu chciała oszczędzić mamie tego widoku. Dopiero po powrocie do Anglii postanowiła zatrzymać ją dla siebie.

– Kiedyś wmawiałam sobie, że ta koszulka ciągle nim pachnie. Ale wcale nie pachniała. To był tylko zapach greckiego proszku do prania.

Tłumi ziewnięcie.

– Już znudziło ci się moje towarzystwo? – pyta Caron. – A może jesteś zmęczona?

– Zdecydowanie znudzona.

Uśmiechają się obydwie. To takie przyjemne uczucie uśmiechać się razem z Caron, która wygląda już znacznie lepiej. Nie ma już tak podkrążonych oczu jak wcześniej. Sesje w Osobistej Sali Terapeutycznej najwyraźniej zaczęły wreszcie działać.

– Prawdę mówiąc – dodaje Shiv – wytrzymałaś tutaj dłużej niż mój poprzedni gość.

– Czyli kto?

– Doktor Pollard. Udawałam, że jej nie widzę i nie słyszę. Po pięciu minutach dała za wygraną.

Shiv marszczy czoło i próbuje sobie przypomnieć, kiedy miała miejsce ta wizyta: dzisiaj czy wczoraj, jeszcze zanim zemdląca? Nie, na pewno dzisiaj. Pamięta, jak Zena wymieniała jej kroplówkę. Wcześniej, gdy odzyskała przytomność, w pokoju zobaczyła Declana. Stał pod ścianą i machał do niej. Wyglądało to tak, jakby odgradzała ich zaparowana szyba, a on ją przecierał, żeby lepiej widzieć.

Wszystko się jej miesza i myli. To, co wydarzyło się pięć minut temu, z tym, co wydarzyło się pięć godzin temu. To, co przeżywa we śnie, z tym, co przeżywa na jawie. To, co znajduje się w tym pokoju, z tym, co znajduje się tylko w jej głowie.

Wychodzi na to, że Caron również może być tylko wytworem jej wyobraźni.

– No więc kiedy? – głos Caron wyrywa ją z zamyślenia. Nie usłyszała jej poprzedniego pytania.

– Co „kiedy”?

– Zapytałam, kiedy cię stąd wypuszczą.

– Nie dzisiaj. Chcą mnie podtuczyć. Chyba też się martwią, że potłukłam sobie głowę, kiedy straciłam przytomność. – Po chwili dodaje: – Nie wiem, może jutro.

– A co potem?

Shiv wzrusza ramionami.

– Jesteśmy tak blisko mety – mówi Caron, nachylając się do niej.

– Mety? Myślisz, że istnieje jakaś meta?

– Może istnieje. Shiv, jeśli...

– To Pollard przysłała cię do mnie? – pyta gniewnym tonem. – „Wyślijmy do niej Caron, może przemówi jej do rozsądku”. Tak było? Dlatego tu przyszłaś?

– Nie. To ja musiałam ją prosić, żeby pozwoliła mi się z tobą zobaczyć – odpowiada Caron z irytacją. – Jeśli chcesz znać prawdę, podobno jesteś tak „blisko powrotu do zdrowia”, że musiałam się nieźle wysilić, żeby się zgodziła na moją wizytę.

– Powrotu do zdrowia? Ale dowcip.

– Tak powiedziała.

Shiv wbija w nią podejrzliwe spojrzenie i pyta:

– Dlaczego więc chciałaś tu przyjść?

– Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale po prostu cię lubię. I martwię się o ciebie.

– Tak? W takim razie się nie martw. Dobrze się czuję.

– Jasne. Właśnie widzę.

Shiv stuka się lekko w skroń i wyjaśnia:

– Mam na myśli moją głowę.

– No, oczywiście. Przecież Declan chciałby...

– Nie mów mi, co mój brat...

– Chciałby, żeby – ciągnie dalej Caron – jego siostra zagłodziła się na śmierć.

– Przecież sama chciałaś ze sobą skończyć z powodu Melanie.

– Chciałam. Ale to było, zanim...

– Zanim co?

– Zanim tutaj przyjechałam.

Shiv wzrusza ramionami.

– Wszystkie terapie sprowadzają się do tego samego.

– Czyli?

– Musisz nauczyć się myśleć tak, jak twój terapeuta. To tak jak w szkole. Dobre albo złe jest to, co nauczyciel uważa za dobre albo złe.

– Nie. Ja naprawdę wierzę w to, co powiedziałam.

– Naprawdę? A może po prostu chcesz w to wierzyć, żeby dobrać do końca tej terapii?

Caron nie robi sceny, nie wymaszerowuje z pokoju naburmuszona. Przeciwnie, uśmiecha się do Shiv, lekko ściska jej rękę i dopiero wtedy wychodzi.

Shiv woła za nią „Przepraszam!”, ale jest już za późno.

Spogląda na dłoń, której dotknęła Caron – tę, w którą wbita jest kroplówka. Patrzy na gumową rurkę. Jednym gwałtownym ruchem wrywa wenflon z żyły, ochlapując pościel jaskrawoczerwoną krwią, a potem przewraca stojak z kroplówką, rozwalając go o podłogę.

Mija jeszcze kilka dni, zanim Shiv, uznana za wystarczająco zdrową, zostaje wypuszczona z sali medycznej.

Wraca do swojej sypialni. Już po dziesięciu minutach zagląda do niej pan Hensher i mówi:

– Doktor Pollard chce się z tobą zobaczyć.

Shiv idzie za nim. Gdy zdaje sobie sprawę, dokąd asystent ją prowadzi, zaczyna się trząść. Zatrzymuje się w pół kroku i zawraca. Dopiero gdy Hensher zapewnia, że pokój nie będzie „aktywny”, zgadza się wejść do środka.

– Czy wiesz, dlaczego to miejsce nazywa się Kliniką Korsakoffa? – pyta doktor Pollard. Tak po prostu. Żadnego „Dzień dobry”, „Jak się czujesz?” czy czegoś podobnego.

Shiv kiwa głową.

– Przeczytałam informator, który przysłaliście tacie. Sprawdziłam też w internecie.

– Wiesz zatem, że doktor Siergiej Korsakoff był neuropsychiatrą. Psychiatria bada, *co* myślimy i *dlaczego* tak myślimy, natomiast neuropsychiatria przygląda się temu, *jak* myślimy. W szczególności interesuje się uszkodzeniami bądź zaburzeniami neurologicznymi.

Siedzą naprzeciwko siebie na podłodze w Osobistej Sali Terapeutycznej Shiv, dyrektorka pod jedną ścianą, ona – pod drugą. Ich

głosy rozchodzą się echem po pustym pomieszczeniu. Podłoga, sufit i ściany mają odcień zszarzałej bieli. Projektory są wyłączone. W takim surowym stanie sala sprawia wrażenie mniejszej, wygląda zupełnie zwyczajnie. Nie ma w niej nic straszego.

Dlaczego przyprowadzili ją akurat tutaj?

Dyrektorka zaczyna opowiadać o tak zwanym syndromie Korsakoffa.

– Znanym również pod nazwą syndrom amnezyjno-konfabulacyjny. Amnezyjny, czyli dotyczący amnezji, utraty pamięci. Konfabulacyjny, czyli dotyczący konfabulacji, nieprawdziwych wspomnień lub wrażeń zmysłowych. Mówiąc najprościej, osoby cierpiące na to zaburzenie nie tylko doświadczają zaników pamięci i percepcji, lecz także tworzą wspomnienia wydarzeń, które nie miały miejsca, oraz widzą i słyszą rzeczy, które nie istnieją.

– Halucynacje? – pyta Shiv.

– Tak, to jeden z symptomów.

Shiv przypomina sobie, jak wiele razy widywała „Declana” na terenie kliniki, trzymała go za rękę podczas Chodzenia albo widziała go parę dni temu, gdy leżała w sali medycznej.

Doktor Pollard prostuje plecy. Wygląda jak lalka Barbie zgięta w pasie i oparta o ścianę. Elegancka, ubrana w żakiet Barbie-psychiatra.

– Podczas niektórych incydentów po powrocie z Kyritos, bez względu na to, czy zdawałaś sobie z tego sprawę, czy nie, prawdopodobnie doświadczałaś zaburzeń amnezyjno-konfabulacyjnych.

Chodzi jej o akty wandalizmu i napady agresji.

Shiv chce zaprzeczyć, ale nie może oszukiwać samej siebie. Przecież w supermarkecie roztrzaskała butelki z alkoholem, a potem nawet nie pamiętała, że to zrobiła. Gdy teraz o tym myśli, dostrzega, że zdarzały się jej również inne momenty, kiedy zupełnie wyłączała się z rozmowy albo traciła na jakiś czas świadomość, tak jak się traci przytomność.

– Nie da się nad tym panować – dodaje doktor Pollard. – To pewna nieprawidłowość w funkcjonowaniu mózgu, przez którą to, co urojone, myli ci się z tym, co rzeczywiste. Może to być wspomnienie jakiegoś wydarzenia albo coś, co się dzieje, a raczej *wydaje* ci się, że się dzieje

w tej chwili.

– Dlaczego mi pani o tym wszystkim opowiada?

– Mam rację, prawda? Rzeczywiście doświadczyłaś konfabulacji.

Shiv przytakuje, czując na sobie intensywny wzrok dyrektorki.

Twarz doktor Pollard jest kremowa, lekko zażółcona od światła zapalonego w pokoju. Wygląda jak zrobiona z wosku. Shiv czuje się zmęczona. Wcześniej planowała w tej chwili spać w swoim łóżku. Wie jednak, że musi się skupić na tej rozmowie, żeby zrozumieć, co dyrektorka chce jej wyjaśnić.

– Zdaniem Korsakoffa owe zafałszowania mogą również dotyczyć tego, co ludzie uważają za prawdziwe w odniesieniu do siebie albo innych osób, jak interpretują poszczególne rzeczy i zdarzenia.

– Na przykład?

– Nawet gdy pamiętają rzeczywiste wydarzenie, tworzą w swojej głowie fałszywą narrację. Chłopiec próbuje uratować swoją siostrę przed utonięciem, ale we własnej ocenie ponosi klęskę... Nie dlatego, że w bystrym nurcie rzeki nie miał najmniejszej szansy jej uratować, tylko dlatego, że nie miał odwagi podjąć największego ryzyka, czyli stracić życia, próbując ją ocalić.

– Mikey...

– Każdy powiedziałby – ciągnie dalej dyrektorka – że ten chłopiec zrobił wszystko, co było w jego mocy. On jednak uważa, że nie zrobił wystarczająco dużo.

– Nie obwiniam się za to, że nie uratowałam Declana – mówi Shiv.  
– Winię się za to, że...

– Fałszywe narracje, Siobhan – przerywa jej doktor Pollard, wpatrując się w jej oczy – występują pod różnymi postaciami. Myślenie, że ta bliska osoba wciąż żyje, że mogłaś zapobiec jej śmierci, że spowodowałaś jej śmierć, że twoje życie bez niej jest pozbawione sensu, i tak dalej. Wszystkie te narracje są zakorzenione w syndromie amnezyjno-konfabulacyjnym. Innymi słowy, są one fikcją.

– A jeśli naprawdę spowodowało się śmierć tej osoby?

– Iluzja to przekonanie zrodzone z naszych marzeń. Wiesz, czyje to słowa? Zygmunta Freuda.

– Sugeruje pani, że... *chciałam* zabić Declana?

– Oczywiście, że nie. Ale chcesz, żeby prawdą było to, że go zabiłaś.

Shiv uderza mocno tyłem głowy o ścianę.

– Bo to prawda.

– Czyżby? Naprawdę uważasz, że to właśnie ty zabiłaś...

– To, co się stało, stało się przeze mnie.

– Dobrze. Skoro uważasz, że zabiłaś swojego brata, musisz zapłacić za jego śmierć. Tak?

Shiv nie odpowiada. Siedzi, gapiąc się w podłogę pomiędzy rozstawionymi stopami, w deski pokryte małutkimi, wygryzionymi przez korniki dziurkami, które przywodzą jej na myśl ponumerowane kropeczki, które się łączą, żeby powstał obrazek. Od uderzenia w ścianę boli ją głowa.

– Nie każdy, kto stracił bliską osobę, żyje w urojeniu – mówi posępnym tonem.

– To prawda. Ale w tej klinice specjalizujemy się w leczeniu ludzi, którzy właśnie na to cierpią.

– Dlaczego akurat ja? Dlaczego... konfabuluje?

– Istnieją dwie główne przyczyny – zaczyna doktor Pollard, poprawiając swoje okulary. – Pierwsza ma podłoże biologiczne: niedobór tiaminy. Druga dotyczy osób takich jak ty, dotkniętych traumą. Zaburzenie, o którym mówimy, może być spowodowane przez czynniki fizyczne, na przykład uszkodzenie kory przedczołowej mózgu, albo wywołane nagłym, ekstremalnym szokiem. Nazywamy to ostrą reakcją stresową lub ostrym zaburzeniem stresowym.

– Zespół stresu pourazowego. Moja terapeutka tak...

– Nie, to nie do końca to samo. W zespole stresu pourazowego ludzie zazwyczaj wypierają ze świadomości wspomnienia albo doznają intensywnych reminiscencji tego traumatycznego przeżycia. Albo i jedno, i drugie, tak jak w twoim przypadku. Ty jednak masz również objawy syndromu amnezyjno-konfabulacyjnego, o którym rozmawialiśmy.

– Widzę rzeczy, które nie istnieją w rzeczywistości.

– Tak. I wierzysz w rzeczy, które nie są prawdą.

Doktor Pollard wyjaśnia, że w przypadku ostrego zaburzenia

stresowego pacjent nie potrafi odnaleźć sensu w tym, co się wydarzyło i co dzieje się wokół niego.

– Ludzie w swojej podświadomości piszą własną wersję wydarzeń. Przez to żyją w dwóch światach: prawdziwym i fikcyjnym, które zlewają się w jedno.

Jak ten pokój, myśli Shiv. To jest prawdziwa rzeczywistość: nagie ściany, żadnych zdjęć, filmów czy dźwięków. Pusta, neutralna przestrzeń. Fikcyjną rzeczywistością jest ta, w której się zanurza, gdy pokazują jej fotografie i nagrania, a ona od nowa przeżywa śmierć swojego brata. Może właśnie dlatego doktor Pollard kazała ją tu przyprowadzić – żeby pokazać, że to tylko zwyczajny, niegroźny pokój.

A może wcale nie? Shiv nie jest już niczego pewna.

Nagle uderza ją pewna myśl.

– W jaki sposób zdjęcia i filmy, które dla mnie wyświetlacie, mają pomagać mi odróżniać to, co prawdziwe, od tego, co nieprawdziwe? – Pokazuje na ściany. – Chyba tylko wszystko pogarszają.

– Zgadza się. I o to właśnie chodzi.

– Jak to?

– Podczas pierwszej wojny światowej mnóstwo żołnierzy doznało straszliwych obrażeń twarzy. Lekarze w szpitalach polowych łatali ich najlepiej, jak potrafili, a potem wysyłali do domu, aby chirurdzy rekonstruowali ich twarze. To były pionierskie eksperymenty w dziedzinie, którą współcześnie nazywamy chirurgią plastyczną. Ale zanim...

– Co to ma wspólnego ze mną?

– Zanim chirurdzy mogli przystąpić do operowania rannych żołnierzy, musieli najpierw przywrócić ich twarze do poprzedniego, makabrycznego stanu, czyli de facto cofnąć robotę, którą wykonali lekarze polowi. Czekali, aż rany porządnie się zagoją, i dopiero wtedy zaczęli odbudowywać ich twarze. Gdyby tak nie postępowali, operacje rekonstrukcyjne powodowałyby jeszcze gorsze deformacje, nie wspominając o ryzyku infekcji.

Dyrektorka robi pauzę, nie odrywając oczu do Shiv.

– A więc te poranne sesje w tej sali...

– Można nazwać psychiatrycznym odpowiednikiem tego typu



chirurgii – kończy za nią dyrektorka. – Pamiętasz, jak na początku fazy drugiej nazwałam tę terapię traumocentryczną?

Shiv kiwa głową.

– Ten etap twojego leczenia ma na celu cofnąć efekty wszystkich terapii, którym wcześniej się poddawałaś, aby zdrapać tkankę bliznowatą twojego cierpienia, przebić się przez wszystkie warstwy konfabulacji i przywrócić cię do pierwotnego stanu traumy.

– A co potem?

– Potem poznasz prawdę.

Declan pomógł jej posprzątać stół na tarasie, Shiv zmieniła szorty pochłapane winem, a następnie usiedli na niskim murku i patrzyli na słońce zachodzące nad zatoką.

To była dobra okazja, żeby pogadać. Pogodzić się.

Nie byli jeszcze gotowi na to, żeby zapomnieć o wzajemnej niechęci. Do tego potrzeba było czegoś więcej niż rzucanie w siebie piłeczką tenisową. A jednak po paru dniach konfliktu przyjemnie było siedzieć obok siebie, patrzeć na kolory zmieniające się na niebie, czuć na twarzy ciepłą bryzę i myśleć, że wkrótce uda im się zakopać topór wojenny.

– Co będzie, jeśli rodzice zauważą, że brakuje jednego kieliszka? – zapytał Declan.

– Będziemy udawać, że o niczym nie wiemy. Zresztą to nie mój problem – dodała zaczepnym tonem. – To nie ja go rozbiłam.

– To nie ja chlałem wino – odciął się.

Znowu zapadła cisza.

– Muszę przyznać, że to był dobry rzut – powiedziała wreszcie, uśmiechając się.

– Też tak myślę.

Wieczorną ciszę nagle zakłócił odgłos dwóch skuterów.

Shiv spojrzała na brata.

– To nie może być on – wyszeptała, czując suchość w ustach.

Shiv spotkała go na ścieżce prowadzącej do willi. Poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Obiecała sobie jednak, że będzie twarda.

– O, jesteś – odezwał się, nienaturalnie blady w świetle latarni ulicznej. Po jego ustach błąkał się nieśmiały uśmiech. Nigdy wcześniej nie był przy niej tak skrępowany i niepewny. – Myślałem, że nikogo nie ma w domu.

Starła się powstrzymać drzenie głosu.

– Co ty tu robisz?

– Ja... – rozłożył ręce – przypomniałem sobie, że dzisiaj twoi rodzice mieli wyjść na kolację. Z okazji rocznicy ślubu.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Stali parę metrów od siebie, w wąskim przejściu pomiędzy żywopłotem a białą ścianą willi. Nikos spuścił głowę, jakby wiedział, że zasługuje na tak nieżyczliwe powitanie.

– Musiałem cię zobaczyć – wydusił z siebie ściszone głośnie.

*Musiałem* – powtórzyła w myślach.

– A gdyby się okazało, że moi rodzice nie wyszli?

Wskazał ręką ich wynajęty samochód.

– Na początku tak pomyślałem.

– Mój tato by cię ukatrupił. – Sama myśl, że jej ojciec mógłby kogoś zabić, była absurdalna. Nikos jednak pokiwał głową. – Z kim przyjechałeś? – zapytała, nie łagodząc swojego tonu.

– Z Jossem, moim kuzynem. Jedziemy na imprezę mojego brata.

– Mm-hmm.

Dalej stali naprzeciwko siebie. Nikos sprawiał wrażenie, jakby kompletnie nie wiedział, co ma powiedzieć czy zrobić.

– Więc baw się dobrze – rzuciła, odwracając się.

– Shiv, chciałem cię przeprosić.

Obróciła się z powrotem do niego.

– Za co?

– Za wszystko. Ja... przepraszam, że tak wyszło.

– Powiedziałaś mojemu tacie, że nie miałaś pojęcia, że jestem *dzieckiem*. Tym dla ciebie byłam, Nikos? Dzieckiem?

– Nie. Nie byłaś.

– Więc dlaczego to powiedziałaś?

„Skłamałaś, że masz siedemnaście lat”. „Oszukałaś mnie”. „Przez ciebie mogliby mnie aresztować, oskarżyć o przestępstwo seksualne i wpakować za kratki”. Zdała sobie sprawę, że Nikos mógłby właśnie to odpowiedzieć. Ale tego nie zrobił.

– Powiedziałem to, co twój ojciec chciał usłyszeć.

Zmarszczyła czoło.

– Co to znaczy?

Potał dłońią nieogolony policzek.

– To znaczy, że nie przestajesz kogoś lubić tylko dlatego, że jest młodszy... młodsza... niż myślałaś.

Zanim się zjawił, wszystko było takie proste, czarno-białe, a teraz

stało się skomplikowane. Nic już nie rozumiała.

– Wysyłałam ci SMS-y. Zostawiłam wiadomości na poczcie głosowej.

– Wiem. Przepraszam. Obiecałam twojemu tacie, że nie będę się z tobą kontaktował.

Zaśmiała się wbrew sobie.

– Więc pomyślałeś, że bezpieczniej będzie złożyć mi wizytę?

– Jutro wracasz do Anglii – odparł dopiero po dłuższej chwili. – Przyszedłem, bo... musiałem. Nie przeżyłbym, gdybym cię nie zobaczył.

Wreszcie zmiękła. Wybaczyła mu w myślach. Prawie. Zrobiła parę kroków w jego stronę, a gdy rozłożył ramiona, żeby ją objąć i przytulić, walnęła go mocno w biceps.

– Za co? – zapytał, przytrzymując się ściany, żeby nie stracić równowagi.

– Nie wiem – odparła. – Po prostu... cholernie chciałam to zrobić.

Nie mogliby się przytulić, nawet gdyby na to pozwoliła, ponieważ na końcu ścieżki pojawił się Joss.

– No to co? – odezwał się, szczerząc zęby zza ramienia Nikosa. Jego łysa głowa lśniła w blasku latarni równie mocno jak srebrny kask, który trzymał pod pachą. – Jadą z nami na imprezę?

Declan nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Nie interesowała go żadna impreza. Powiedział, że jeśli Shiv ma ochotę, niech idzie. Bez niego.

– Nie zostawię cię tutaj samego.

– Mam prawie trzysta lat, a nie siedem.

– Jeśli ty nie idziesz, ja też nie idę. Koniec, kropka.

– W porządku. W takim razie zostajemy w domu.

Prawdę mówiąc, pomysł, żeby wymknąć się na imprezę, był szalony. Do powrotu rodziców zostały w najlepszym wypadku dwie godziny. Rezygnując z imprezy, musiałyby pożegnać się z Nikosem w tej chwili, raz na zawsze, a resztę wieczoru – ostatniego wieczoru tych wakacji – spędziłyby z Declanem, grając w karty, oglądając grecką telewizję albo CNN, kończąc pakowanie walizki. Zabijałyby czas, czekając na rodziców, którzy wrócą z restauracji taksówką, lekko wstawieni winem.

Declan jednak nie chciał jechać na imprezę. A Shiv nie chciała jechać bez niego.

Wstała z murka, zostawiając brata, i wróciła przed dom, żeby powiedzieć Nikosowi i Jossowi, że nic z tego.

– Shiv, poczekaj – odezwał się Joss. – Pójdę z nim pogadać.

Wrócił po paru minutach, uśmiechnięty od ucha do ucha. Uniósł oba kciuki w górę. Za jego plecami ujrzała Declana. Maszerował już w srebrnym kasku na głowie.

– Rodzice nie mogą się o tym dowiedzieć – powiedziała, przekrzykując muzykę. – Nigdy, przenigdy.

– Przeprzenigdy – przerwał jej Declan. – Mogę tak w nieskończoność. Przeprzeprze...

– *Prze*-stań! – Wskazała puszkę coli, którą trzymał w dłoni. – Joss czegoś ci dosypał?

– Nie. – Spojrzał na jej kubek. – Ale ty już chyba nie powinnaś chlać.

Miał rację. Gdyby przesadziła z winem, rodzice bez pomocy Declana zgadliby, co się działo podczas ich nieobecności. Odstawiła plastikowy kubek, zakopując jego denko w piasku, żeby się nie przewrócił.

– Idę jeszcze trochę potańczyć – powiedziała.

– Nie musisz co chwila przyłączyć i sprawdzać, czy nic mi nie jest.

– Wiem. Po prostu... – urwała i westchnęła. – Przepraszam.

Zostali na imprezie dłużej, niż planowali, ale wszystko było pod kontrolą. Shiv dostała wiadomość od mamy, że taksówka, którą zamówili, nie przyjechała, więc wrócą do willi najwcześniej o wpół do dwunastej.

„Nie ma sprawy” – odpisała.

„Wszystko u was w porządku?”

„Gramy w karty. Wygrywam!”

Wyłączyła telefon, czując lekkie wyrzuty sumienia, że oszukała mamę. Zanotowała w myślach, że będzie musiała ustalić z bratem spójną wersję wydarzeń – to ona wygrała z nim w karty, a nie na odwrót.

Wprośenie się na imprezę nie było tak krępujące, jak się tego obawiała. Przez chwilę cała ich czwórka znalazła się w centrum

zainteresowania, to wszystko. Brat Nikosa nie miał nic przeciwko ich obecności – uznał, że skoro Nikos ich przyprowadził, to nie ma żadnego problemu. Shiv zdjęła buty i tańczyła z Nikosem na piasku. Nawet Declan (który nigdy, przenigdy nie tańczył) dołączył do nich po trzecim ataku na grilla. Joss też podrygiwał, a raczej brykał po plaży niczym Tygrysek z *Kubusia Puchatka*, potrząsając galaretowatym brzuchem i pryskając pianą z butelki Mythosa. Jego koszulka była poplamiona potem albo piwem, albo i jednym, i drugim.

– O co chodzi z imieniem twojego kuzyna? – zapytała Nikosa, dotykając ustami jego ucha, żeby ją usłyszał. – „Joss” nie brzmi zbyt grecko.

– To zdrobnienie od Giorgios.

Jej włosy zaczepiły się o jego nieogolony policzek. Oddech Nikosa był słodko-gorzki od piwa.

– Na nazwisko też ma Giorgios – dodał ze śmiechem.

– Naprawdę? Co za kosmos!

– Nie, Kosmos to tamten koleś przy barze, w zielonej koszulce.

Spojrzała tam, gdzie pokazał. Dopiero po chwili zrozumiała, że Nikos się z niej nabija.

– Tylko nie znowu w to samo ramię! – zawołał i odskoczył do tyłu, żeby nie dosięgła go swoją pięścią.

Wreszcie opuścili imprezę. Joss i Declan szli z przodu, a Shiv z Nikosem za nimi, trzymając się za ręce. Nikos i Joss mieli odwieźć ich do domu, a potem wrócić na plażę.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwała się Shiv na tyle cichym głosem, żeby brat jej nie usłyszał.

– Zależy o co – odparł Nikos lekkim tonem, w którym wyczuła jednak jakąś poważną, smutną nutę.

Koniec ich wspólnego wieczoru, koniec jej pobytu na Kyritos... Shiv miała wrażenie, że niemal dławi się smutkiem.

– Przyprowadziłeś mnie tutaj tylko po to, żeby dać mi kosza, prawda?

Milczał przez długą chwilę, idąc obok niej, bez butów; sandały i kask trzymał za paski wolną ręką.

– Nie chciałem, żeby to się skończyło w taki sposób, w jaki się...

urwało. No wiesz, tamtego wieczoru.

– Ale i tak chcesz zakończyć naszą znajomość. – To było stwierdzenie, nie pytanie.

Westchnął głośno.

– Ty mieszkasz w Anglii, a ja w Grecji. Zostało ci jeszcze... ile? Trzy lata szkoły? A potem studia. Wiesz, co mam na myśli.

Nie poprosiła, żeby na nią poczekał. Takie rzeczy zdarzały się tylko w bajkach.

– No, cóż – zaczęła lekkim tonem. Spróbowała się zaśmiać, ale nie była w stanie. – Było miło.

Nikos ścisnął mocniej jej dłoń.

– Chodź, zawiozę cię do domu.

– Zanim zamienię się w dynię?

Zaśmiał się, ale nie zabrzmiało to szczerze. Miał smutną minę, tak samo jak ona. Joss i Declan stali trochę dalej i podrzucali w powietrzu srebrny kask, coraz wyżej i wyżej, łapiąc go na zmianę i wyjąc ze śmiechu. Shiv uśmiechnęła się, widząc, że jej brat dobrze się bawi.

Gdy dotarli do skuterów, Nikos i Joss oddali jej i Declanowi swoje kaski.

Rzuciła okiem na zegarek.

– Jezu, chłopaki, jest już piętnaście po jedenastej.

– Spoko – odezwał się Joss, siadając na motorze. – Jesteśmy szybsi niż błyskawice.

Z początku wcale nie pędzili. Skutery z trudem jechały pod górę. W ciemności szosa wyglądała jak bladoszara wijąca się wstążka, oświetlana żółtymi światłami motorów. Po prawej stronie postrzępione góry przesuwwały się niczym ogromne, czarne cienie. Po lewej otwierała się atramentowa przepaść. Gdzieś w dole majaczyło morze.

Shiv przytuliła się do pleców Nikosa, obejmując go ramionami, i przechylała się to w jedną, to w drugą stronę, gdy brali kolejne zakręty. A potem, gdy wreszcie dotarli na szczyt wzgórza, nagle zaczęli pędzić w dół.

– Łuu-huu! – krzyknęła prosto do ucha Nikosa.

– Trzymajcie kapelusze! – zawołał, naśladowując akcent kowbojów z amerykańskich westernów.

Do tej pory to oni jechali z przodu. Teraz Joss, któremu spora tusza dawała przewagę na zjeździe, przyśpieszył i wyminął ich złą stroną szosy. Declan coś krzyknął, lecz jego słowa zagłuszył ryk silników. Odwrócił się na siodełku i pokazał im ręką literę „L” jak „lamusy”.

– Dogoń ich! – powiedziała Shiv.

– Shiv...

– No, dalej! – Śmiała się, klepiąc siodełko. – Musimy dojechać pierwsi.

– To nie jest dobra droga do takich...

– Przecież szosa jest totalnie pusta. Dogoń ich!

Zaśmiał się razem z nią, potrząsając głową. Kazał jej mocno się go trzymać. Gdy jednak nagle przyśpieszył i skuter wyrwał do przodu, Shiv prawie zsunęła się z siedzenia.

– Łaaaaaaa! – zawołała.

Joss i Declan jechali jakieś trzydzieści metrów przed nimi. Żółta koszulka jej brata i jego srebrny kask świeciły w ciemności rozpraszanymi światłami skutera Nikosa. Poganiany przez Shiv znowu dodał gazu. Silnik zaprotestował, jechali pod wiatr, ale Nikos był doświadczonym kierowcą. Dystans pomiędzy nimi stawał się coraz mniejszy.

– Dawaj, dawaj! – wołała Shiv. – Dogoń ich!

Zjechał na przeciwległy pas, maksymalnie dodał gazu, na sekundę przednie koło oderwało się od ziemi i ze świstem wyminęli Jossa i Declana.

– Taaaak! – krzyknęła triumfalnie, pokazując bratu ręką literę „L”.  
– Lamusy!

Wjechali na długą, stromą prostą – bez zakrętów, które mogłyby wymusić wolniejszą jazdę. Joss z Declanem znowu się z nimi zrównali. Shiv zerknęła na Jossa. Pędził z wybałuszonymi oczami, usta miał rozciągnięte w histerycznym grymasie. Wyglądał jak szaleniec.

*Pijany szaleniec.*

Nagle Shiv uświadomiła sobie z przerażeniem, ile alkoholu musieli wlać w siebie na plaży zarówno Joss, jak i Nikos. Przez jej głowę przemknęły sceny z imprezy: picie, tańczenie, wygłupy.

Joss znowu dodał gazu i wyrwał do przodu. Oba skutery pędziły w stronę ostrego, niebezpiecznego zakrętu. Przy szosie po lewej stronie,



tuż nad urwiskiem, stał samotny dom. Jego pobielone ściany i zielone okiennice zaśniły w świetle dwóch reflektorów.

Declan odwrócił się i pomachał do niej, jakby mówił: „Pa, pa, do zobaczenia później, frajerzy!”.

Shiv szarpnęła Nikosa za koszulkę, krzyząc mu do ucha, żeby przestał się ścigać. Nigdy się nie dowiedziała, czy ją usłyszał, czy nie, czy może sam doszedł do wniosku, że powinien zwolnić. Ponieważ w tym momencie Joss, wciąż pędząc jak wariat, skręcił zbyt ostro i stracił panowanie nad motorem. Tylne koło zaczęło się ślizgać na jezdni posypanej żwirem. Skuter przewrócił się na bok, ale dalej sunął po szosie, strzelając iskrami. Rozległ się koszmarny odgłos metalu piłującego o asfalt.

Lecieli prosto w stronę krawędzi urwiska.

Nikos gwałtownie wyhamował. Shiv uderzyła kaskiem w jego plecy. Straciła z oczu Jossa i Declana. Poczowała tylko swąd spalenizny i usłyszała ogłuszający huk, po którym zaległa upiorna cisza. Zeskoczyli ze skutera, zanim ten się zatrzymał. Pojazd runął na jezdnię. Shiv zerwała kask z głowy i cisnęła nim o ziemię. Zaczęli biec w ciemności. Nikos wyjął telefon, wybrał jakiś numer i rzucił coś po grecku do słuchawki.

– Karetka już jedzie.

Shiv oddychała tak szybko, jakby zaraz się miała udusić.

*Błagam, Declan. Błagam, błagam, błagam.*

W domu w jednym z okien zapaliło się światło, rozpraszając otaczającą ich ciemność. Na szosie pojawił się pas jasności, niczym palec wskazujący roztrzaskany skuter, który rozwalił barierkę, ale nie spadł w przepaść.

Nocną ciszę rozdarł piekielny hałas.

Psy, znajdujące się za ogrodzeniem, zaczęły ujadać jak oszalałe. Skakały, warczały, szczekały i szarpały z furią drucianą siatkę.

A potem usłyszała drugi odgłos. Czyjś koszmarny, nieludzki jęk.

– Dec! – zawołała bez tchu, wpatrując się w roztrzaskany, zdeformowany skuter. – Declan...

W świetle dolatującym z budynku dostrzegła, że barierka jest

odkształcona, ale nie rozerwana. Skuter utknął pod nią, tuż przed przepaścią. Dookoła leżały kawałki metalu, odłamki szkła, gumowy uchwyt na kierownicę, boczne lustro, sandał. Po szosie ciągnęła się długa smuga czegoś mokrego. Oleju. Albo krwi.

A tam – uwięziony pod wrakiem, w bezruchu – leżał jakiś ciemny kształt. Kształt, który równie dobrze mógłby być człowiekiem, jak i zwierzęciem. Czy to noga? Czy to plecy? Błady blask skóry?

– Declan, już jestem. Już jestem przy tobie – wyszlochała.

Nikos stanął obok niej. Nachylili się, oboje przerażeni, spanikowani. Shiv bała się, że nadeptnie na jakąś kończynę. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić, od czego zacząć. Nikos łagodnie przekręcił ciało i położył je na plecach. Światło z domu dosięgło twarzy.

Joss.

Jego nogi przygniatał skuter. Ręce i głowę miał pokryte krwią. Widok był makabryczny, lecz jeszcze gorsze okazały się odgłosy, które z siebie wydawał: gardłowe, zwierzęce charczenie, przerywane piskliwymi jękami, które zdawały się jeszcze bardziej podjudzać rozwścieczone psy.

Shiv obeszła Jossę, żeby się dostać do Declana.

Lecz jego tam nie było.

Za ciałem Jossę znajdowało się tylko powykręcane tylne koło, kawałki tylnego światła, oderwana tablica rejestracyjna. Czarna dziura zionęła w miejscu, gdzie barierka została roztrzaskana przez skuter. Słupki wisiały w powietrzu nad przepaścią, wyrwane z ziemi przez siłę uderzenia. Wyglądały jak kikuty zębów w rozdziawionych ustach.

– Nikos, gdzie on jest? Gdzie jest Dec?

Ale Nikos zajmował się swoim kuzynem. Shiv obróciła się gwałtownie, omiotła wzorkiem podświetlony odcinek jezdni, a potem otaczające ją cienie, szukając brata, który może spadł z siedzenia, zanim skuter uderzył w barierkę. Gorączkowo wykrzykiwała jego imię, słaniając się na nogach, nasłuchując jego wołania o pomoc. On jednak milczał. Słyszała tylko charczenie Jossę i ujadanie psów.

Z domu wyłoniła się jakaś postać. Mężczyzna w średnim wieku, zaspany, rozczochrany, w siatkowym podkoszulku i wygniecionych białych bokserkach. Trzymał w dłoni latarkę, która rzucała silny promień

światła na miejsce wypadku. W oknie na piętrze Shiv zauważyła trójkę gapiących się dzieci, które po chwili przegoniła matka.

– Błagam, mój brat... – powiedziała Shiv, gdy mężczyzna ruszył w jej stronę. Wskazała ręką jego latarkę. – Muszę znaleźć mojego brata.

Nikos i mężczyzna zaczęli rozmawiać po grecku.

– Mój brat! – krzyknęła znowu Shiv.

Nikos wziął od mężczyzny latarkę, poprosił go, żeby popilnował Jossa, a potem wstał i podszedł do barierki. Przesunął wiązka światła po krawędzi urwiska, a potem spojrział w dół, kierując tam promień latarki.

– Nikos, on musiał spaść, zanim...

– Widziałem go, Shiv.

Ruszyła w jego stronę.

– Widziałeś? Gdzie?

Nikos przechylił się ryzykownie przez barierkę.

– Widziałem, jak tam spadł.

– Nie! *Nie!* On nie mógł... *Nienienie.*

Chwyciła Nikosa za ramię, żeby odciągnąć go od przepaści. Chciała, żeby pomógł jej szukać Declana na szosie. Nikos jednak ani drgnął.

– Tam – powiedział jedynie.

Spojrziała w miejsce, które oświetlił latarką. Zobaczyła głązy stłoczone u podnóża klifu, obmywane spienioną wodą.

Declan leżał na boku. Jakby spał. Jego żółta koszulka i srebrny kask odcinały się od czarnych skał. T-shirt był rozdarty pod pachami, jedno ramię groteskowo wykręcone za plecami. I krew. Plamy krwi.

Emanował jednak dziwnym, idealnym spokojem.

– Musimy tam zejść – powiedziała. – Musimy go...

Nagle w skałę uderzyła spieniona fala, lśniąca w świetle latarki i na parę sekund całkowicie zalała głąz, na którym leżał Declan.

Gdy woda odpłynęła, jej brata już tam nie było.

Przeszła przez barierkę, zanim Nikos zdążył ją powstrzymać.

Zbocze było bardzo strome, ale nie pionowe. W ciemności rozpraszaną tylko blaskiem latarki nad jej głową Shiv zaczęła się opuszczać i ześlizgiwać po zabłoconej, poszarpanej skale, aż wreszcie spadła z wysokości czterech metrów na głąz, na którym wcześniej leżał

Declan. Pokaleczyła sobie ręce i kolana. Jej ramię przeszył ostry ból. Ale była na dole. Podniosła się, wykrzykując imię swojego brata.

Kolejna dzika fala uderzyła w głaz, prawie ścinając ją z nóg.

– Declan!

Gorączkowo omiatała wzorkiem powierzchnię morza, próbując coś dostrzec, coś znaleźć. Coś, co mogło być jej bratem. Zawołała do Nikosa, żeby przesuwiał latarką po wodzie, ale nagle zauważyła, że on schodzi do niej, obsypując ją kamieniami i grudkami ziemi.

– Daj mi latarkę – powiedziała, gdy padł na kolana obok niej.

Nikos z trudem się podniósł.

– Shiv...

– Szybko, musimy go znaleźć. Muszę go stamtąd wyciągnąć.

Chwyliła za latarkę, ale on nie puszczał.

– Nie możesz mu pomóc – wysapał, łapiąc oddech. Jego dłonie były śliskie od krwi. Jego własnej czy Jossa? Nie wiedziała.

– On tam jest!

– Shiv, utoniesz. Umrzesz. Uważaj!

Odwróciła się. Kolejna fala grzmotnęła w głaz, na którym stali. Nikos złapał ją mocno za rękę, żeby woda jej nie porwała. Morze było czarne, wzburzone, jakby opętane furją. Z hukiem uderzało o skały i podstawę klifu, jakby chciało go roztrzaskać, żeby runął na nich. Shiv i Nikos stali przemoczeni, ociekający wodą, ledwie trzymając się na nogach.

– Nawet jeśli – zaczął krzyczeć jej do ucha – Declan jeszcze żył, kiedy...

– Nie. *Nie*.

Wyszarpnęła rękę z jego uścisku, odepchnęła go i podeszła do krawędzi głazu, gotowa do skoku w rozszalałe morze, żeby odszukać swojego brata, wyciągnąć go na brzeg.

Nikos znowu ją złapał, zamknął w swoich ramionach, odciągając ją w stronę podnóża klifu, gdzie woda nie mogła ich dosięgnąć. Trzymał ją w uścisku, nie zważając na to, jak głośno krzyczała, przeklinała i próbowała się wyrwać. Obejmował ją tak długo, aż opadła z sił. Osunęła się w jego ramionach, zapłakana, pokonana. Padła na kolana i ostatni raz rozpaczliwie wykrzyzała imię Declana prosto w czarną

noc.

Przez parę następnych dni Shiv prawie nie opuszcza swojego pokoju.

Żadnych sesji w Osobistej Sali Terapeutycznej. Żadnego Rozmawiania i Pisania. Żadnego Relaksu. Żadnych odwiedzin. Posiłki przynosi jej sanitariusz, który pilnuje, żeby wszystko zjadła. Dostaje nafaszerowane kaloriami koktajle owocowe. Co godzinę ktoś sprawdza, jak się czuje. Codziennie pojawia się Zena, żeby ją zważyć. Doktor Pollard mówi, że muszą pomóc jej odzyskać siły. Psychiczne i fizyczne. Klinka musi dopilnować, żeby była w dobrej formie, jeśli ma przystąpić do ostatniego etapu leczenia.

Dyrektorka podkreśla słowo „jeśli”.

– Zamierzałaś zagłodzić się na śmierć? – pyta podczas jednej z rozmów w cztery oczy (odbywają je każdego dnia). – Czy tylko chciałaś się ukarać?

– Może.

– Może się zagłodzić czy może ukarać?

– Może jedno i drugie – wzdycha Shiv. – Nie wiem, co myślałam.

Po prostu czułam, że tak powinnam. Miałam wrażenie, że odzyskuję kontrolę.

– A jak jest teraz?

Doktor Pollard musi wybadać, czy Shiv nadal chce, żeby jej pomogli.

– Już nie będę się głodziła – obiecuje.

Któregoś dnia odbywają rozmowę pod tytułem: „Co dalej?”.

Dyrektorka przedstawia możliwości. Pierwsza opcja: mogą złagodzić jej terapię – traktować ją ulgowo podczas Rozmawiania i Pisania, skrócić poranne sesje w Osobistej Sali Terapeutycznej. Druga opcja: może uczestniczyć we wszystkich zajęciach w takim samym stopniu jak wcześniej.

– Opcja trzecia: możemy w ogóle zakończyć twoje leczenie.

– Wypisalibyście mnie?

– Powiedz tylko słowo, a załatwię, żeby przyjechał twój tato i zabrał cię do domu.

– Zrobiłaby to pani?

– Trzymanie cię tutaj nie ma sensu, jeśli już w nas nie wierzysz.

Shiv wyobraża sobie, jak się pakuje, znosi walizkę po schodach, ciągnie ją na parking po ścieżce wysypanej żwirem. Tato stoi przy aucie i rozmawia z doktor Pollard. Nagle ją dostrzega, przerywa rozmowę i rusza w jej stronę. Ma na sobie białą koszulę, uśmiecha się do niej, jego oczy są wilgotne, unosi ramiona, żeby ją przytulić... „Powiedz tylko słowo”. Wsiedliby do samochodu, wyjechali przez bramę, która zamknęłaby się za nimi. Przez opuszczoną szybę wlatywałby letni wiaterek. Klinika zniknęłaby gdzieś w oddali...

A więc to koniec. Wraca do domu. Wystarczy, że poprosi.

Pięćdziesiąt trzy dni. Stracony czas?

„Trzymanie cię tutaj nie ma sensu, jeśli już w nas nie wierzysz”.

Czy naprawdę przestała wierzyć w klinikę? W wyzdrowienie? Czy mogłaby po prostu wyjechać i powiedzieć: „No, cóż, starałam się, jak mogłam. Przykro mi, tato, ale nie masz pojęcia, jakie to trudne. Przepraszam, Declan”. Czy byłaby w stanie to zrobić? Wrócić do domu, do swojego życia i nienawidzić siebie jeszcze bardziej niż wcześniej?

Patrzy na doktor Pollard i mówi:

– A jeśli nie wybiorę żadnej z tych opcji?

– Pytasz, czy istnieje czwarta, tak? Chciałabyś, żeby istniała?

– Zdjęcia, które wyświetlacie... – urywa, niepewna, co chce powiedzieć.

– Wiem, jak trudno ci było na nie patrzeć.

Shiv macha ręką. Nie to miała na myśli.

– Gdybym nie przestała jeść i nie musielibyście przerywać mojego leczenia, pokazywalibyście mi dalej te same zdjęcia?

– Nie – odpowiada dyrektorka po chwili wahania.

– Inne? Jakie?

Doktor Pollard milczy tak długo, że Shiv zaczyna się zastanawiać, czy w ogóle odpowie.

– Siobhan, zdjęcia byłyby coraz gorsze – mówi wreszcie.

Shiv kiwa głową. Tak, to ma sens. Na pewno istnieje więcej zdjęć i filmów, które klinika zdobyła od prawnika taty. To oczywiste, że terapia stałaby się jeszcze bardziej ekstremalna. Taka jest filozofia tej

kliniki: zanim poczujesz się lepiej, musisz poczuć się gorzej.

Gdyby się nie głodziła, gdyby nie musieli jej chronić przed samą sobą...

– Chcę je zobaczyć – oświadcza nagle. – Chcę znowu chodzić do swojej Osobistej Sali Terapeutycznej. Pokażujcie mi zdjęcia i filmy, których jeszcze nie widziałam.

Dyrektorka wpatruje się w nią intensywnie.

– Jesteś tego absolutnie pewna?

– Tak. Muszę dokończyć moją terapię.

– Pamiętaj, co ta terapia ci zrobiła...

– Nie. Sama to sobie zrobiłam.

Doktor Pollard namyśla się przez dłuższą chwilę.

– Muszę cię ostrzec, że te zdjęcia są...

– Nie obchodzi mnie to.

Najpierw następuje seria fotografii zrobionych przez policję na plaży, gdzie morze wyrzuciło ciało jej brata na brzeg. Zostały wykonane po zdjęciu brezentu przykrywającego zwłoki.

Potem fragment wiadomości telewizyjnych, na którym widać ozdobioną kwiatami trumnę Declana, którą żałobnicy – w tym tato – niosą do kaplicy. Shiv i mama, z twarzami mokrymi od łez, bladymi, w odcieniu popiołu, idą pod rękę na czele konduktu.

Na koniec nagranie audio. Żadnych zdjęć, tylko białe ściany i odgłosy pędzących skuterów – pięciominutowe, puszczone co pół godziny przez cztery godziny sesji. Shiv nie może zdecydować, co jest gorsze: słuchanie tych dźwięków czy czekanie, aż znowu przerwą ciszę.

Dzień pięćdziesiąty ósmy. Shiv siedzi z Caron na poduszkach w świetlicy. Docherty gra samotnie w bilard, jak robot wbija wszystkie bile do luzu, a potem zaczyna od nowa. Helen siedzi na podłodze w kącie, układając w kółko pasjansa. Lucy już tu nie przychodzi. Shiv przypuszcza, że po prostu chce przeczekać do końca terapii.

W pewnym sensie każdy z rezydentów izoluje się od reszty, zamyka się w sobie. Wiedzą, że za parę dni będą musieli zupełnie sami stawić czoła temu, co ich czeka.

Shiv i Caron rozmawiają o głupotach. O niedogotowanych ziemniakach na stołówce; o tym, czy po dwóch deszczowych dniach



jutro wyjdzie słońce; o włosach Caron i paznokciach Shiv. Nie wspominają o tym, co się działo w ich Osobistej Sali Terapeutycznej, co robili na Rozmawianiu czy Pisaniu. Już nikt o tych rzeczach nie rozmawia. Terapia stała się tak brutalna, że zamknęła im usta. Podczas posiłków i Relaksu rezydenci siedzą zamroczeni, niczym w zbiorowym szoku, jak zespół ratowników odpoczywających po długiej zmianie odkopywania zwłok wśród gruzów zawalonego budynku.

– Jeszcze dwa dni – mówi Caron.

– Wiem.

– To dziwne, ale nie wyobrażam sobie, że mogłabym być gdzieś indziej niż tutaj.

– Na tej poduszce? – pyta Shiv.

– Tak, właśnie to miałam na myśli.

– Zabierz ją ze sobą, kiedy będziesz stąd wyjeżdżała.

– Ta poduszka jest *fioletowa* – mówi Caron, jakby ten kolor ją dyskwalifikował, a Shiv była głupia, bo tego nie rozumie.

Często to robią. Prowadzą żartobliwe, niedorzeczne rozmowy. Doszły już do tego, że nie muszą się nawet śmiać ani uśmiechać, żeby pokazać, że są rozbawione.

Po chwili Shiv pyta:

– Gdy stąd wyjdiesz, znowu zaczniesz palić?

– Mam nadzieję. Byłabym sobą bardzo rozczarowana, gdybym tego nie zrobiła.

„Gdy stąd wyjdiesz...”

Nie mogą uwierzyć, że ich pobyt w Klinice Korsakoffa zbliża się do końca. Shiv ma wrażenie, że zaledwie parę dni temu odwróciła się od okna i zobaczyła, jak do jej pokoju wchodzi dziewczyna w jaskrawoczerwonej sukience. Czy po wyjściu stąd będą utrzymywały ze sobą kontakt? Nie pyta o to. To kolejny temat, którego rezydenci unikają. Życie po wyjściu z kliniki to zbyt wiele niewiadomych.

Shiv kładzie nogi na kolanach Caron, która zaczyna łagodnie je masować.

– Masz stopy pianistki – mówi Caron, rozpoczynając kolejną abstrakcyjną wymianę zdań.

– Mmm. – Shiv przymyka powieki. – Mam nadzieję, że ta

pianistka pozwoli mi je zatrzymać.

– Shiv – odzywa się nagle ktoś inny.

Otwiera oczy i widzi stojącego nad nimi Mikeya. Nie słyszała, jak wszedł do świetlicy. Jakby przyłapał ją na czymś, czego nie powinna robić, szybko zdejmując nogi z kolan Caron i siada normalnie, oplatając kolana ramionami.

– Cześć, Mikey.

Nie pamięta, kiedy ostatni raz widziała go w tym pomieszczeniu.

Mikey stoi w całkowitym bezruchu, jakby udawał rzeźbę. Nie odrywa oczu od twarzy Shiv, zarazem nie zwracając najmniejszej uwagi na Caron, jakby jej tu nie było.

– Muszę z tobą pogadać – mówi wreszcie.

– Mikey...

– To nie zawracanie gitary.

Caron parska śmiechem. Mikey zupełnie ją ignoruje. Wciąż wpatrując się w Shiv, pokazuje ręką drzwi.

– Idziesz czy nie?

Odkąd wróciła do terapii, unika Mikeya. Nie dlatego, że tak kazała jej dyrektorka. Po prostu zdała sobie sprawę, że Mikey źle na nią wpływa. Nie wiadomo, czego chce od tej kliniki, ale na pewno nie tego co ona. Zajęło jej to sporo czasu, ale wreszcie to zrozumiała. Mikey chodzi na Rozmawianie i Pisanie, ale prawie w ogóle się nie odzywa. Udaje, że bierze udział w zajęciach, ale tak naprawdę ma je głęboko gdzieś. Jakby realizował jakiś własny, sekretny plan. Shiv nie może go rozgryźć. Kiedy rozwalał sobie głowę o drzewo albo kaleczył ręce, taszcząc kłodę, przynajmniej jego gniew był czymś widocznym, łatwym do zrozumienia.

– Mikey, nie widzisz, że... – zaczyna Caron.

– W porządku – przerywa jej Shiv, wstaje i wychodzi z nim na korytarz.

– Co się stało? – pyta Shiv.

– Nic.

– To o co ci chodzi?

Słyszy w swoim głosie ostrą nutę, której wcześniej nigdy nie było, gdy z nim rozmawiała. Wiedziała, że to będzie trudne – odcięcie się od

niego po tym, jak z trudem zdobyła jego zaufanie. Spodziewała się, że Mikey będzie to jeszcze bardziej utrudniał. Ale tego nie robił. Gdy wróciła do terapii, a on zauważył, że coś się między nimi zmieniło, sprawiał wrażenie, jakby to zaakceptował, zrozumiał, że to naturalna kolej rzeczy.

Przeprosiła go. Powiedziała, że od tej pory musi opiekować się sama sobą. On skinął tylko głową i powiedział: „Ja tak samo”.

Teraz stoją w korytarzu, po którym łatwo roznosi się echo. Światło odbijające się od ścian nadaje jego twarzy chorobliwy, zielonkawy odcień, a jego kombinezon wygląda bardziej na szary niż żółty. Patrzy na nią w taki sposób, jakby to ona poprosiła go o rozmowę.

Shiv chce znowu zapytać, o co chodzi, gdy nagle Mikey mówi:

– Nie mów nic nikomu.

Z początku sądzi, że Mikey niedokładnie przywołuje cytat z Salingera, ten na koszulce Declana.

– Co masz na myśli?

– Nie opowiadaj o mnie. O tym, o czym gadaliśmy wcześniej, dobra? O Feebs.

– Komu mam nie mówić?

– Nikomu.

Shiv marszczy czoło.

– Mikey, dlaczego miałabym...

– Możesz już wrócić. – Pokazuje głową drzwi do świetlicy. – To wszystko.

Odwraca się i odchodzi korytarzem. Shiv jest pewna, że zanim skręci i zniknie, obejrzy się i do niej pomacha.

Ale on tego nie robi.

– Nie zwracaj sobie nim głowy – radzi jej Caron, gdy wieczorem żegnają się przed drzwiami swoich sypialni.

– Chyba chciał powiedzieć mi coś ważnego.

– Shiv, nie jesteś za niego odpowiedzialna.

– Wiem. Nie jestem.

– Liczysz się tylko ty i Declan.

– Wiem.

Przytulają się.

– Zobaczymy się jutro, tak? – pyta Caron.

Jutro. Ich ostatni dzień pobytu w tym miejscu. Za czterdzieści osiem godzin ta klinika i ci ludzie będą już częścią jej przeszłości. Jakby każdy dzień jej życia, każda osoba, którą zna, każde miejsce, które opuszcza, wszystko, co się jej przydarza – i wszystko, co robi – można było wyłączać jak światło w pokoju.

Kiedy alarm wyrywa Shiv ze snu, najpierw myśli, że to pobudka. Ale to nie może już być poranek, prawda? W pokoju jest jeszcze zupełnie ciemno.

Zaspana odszukuje dłonią zegarek leżący na nocnym stoliku i patrzy na podświetlone wskazówki. Dziesięć po dziesiątej? Nie, za dziesięć druga. *Jezu*.

Alarm dalej wyje. To nie dźwięk budzika, tylko ostrzejszy odgłos dobiegający spoza jej pokoju. W momencie gdy to zauważa, dźwięk przybiera na sile, zmienia się w głośne wycie. Poznaje ten sygnał.

Alarm pożarowy.

Zapalają się światła awaryjne. Mdła, zielonkawa poświata z panelu nad drzwiami wystarcza, żeby Shiv widziała, co robi, gdy potykając się, wychodzi z łóżka, zakłada dżinsy i bluzkę. Słyszy głosy. Krzyki. Walenie do drzwi, szybkie kroki. Wsuwa stopy w buty i wychodzi na korytarz. Spodziewa się, że będzie cały wypełniony dymem.

Nie, jest tylko wypełniony ludźmi: Caron, Helen, widzi też Docherty'ego i Lucy, i sanitariusza biegnącego w ich stronę ze szczytu schodów. Krzyczy coś do nich, lecz alarm zagłusza jego słowa. Do tego włączają się dodatkowe alarmy uruchomione przez rezydentów, którzy wyszli ze swoich sypialni w czasie ciszy nocnej. Sanitariusz krzyczy im do uszu, że muszą się ewakuować z budynku.

Zbierają się za Eden Hall. Rzędy pustych okien wyglądają jak gapiące się na nich ślepia. Dołączają do nich asystenci Hesnher i Sumner, siostra Zena i ochroniarz. Kakofonia alarmów nawet tu, na zewnątrz, jest ogłuszająca, brzmi jak jakaś muzyka eksperymentalna. Docherty jest bez koszulki, Lucy i Helen nadal mają na sobie piżamy i kapcie. Caron jest ubrana, ale zasypia na stojąco.

Pani Sumner, z rozczochranymi włosami i skórą świecąca się w blasku światła awaryjnych, zbiera wszystkich razem i zaczyna ich liczyć.

– Gdzie jest Mikey? – pyta Shiv.

W tej samej chwili zza rogu wyłania się pan Webb. Bez tchu krzyczy coś do krótkofalówki. Opuszcza ją i mówi:

– Nie ma...

– Mikey nadal jest w środku – przerywa mu pani Sumner.

Shiv, tak jak reszta, wpatruje się w budynek, jakby czekała, aż w jednym z okien na tle dymu i płomieni pojawi się twarz Mikeya, jak na filmach.

– Wchodzę – mówi Hensher, ruszając do drzwi.

– Nie – odzywa się Webb. – Nie pali się. To Mikey włączył alarm. Przed chwilą rozmawiałem ze Steve’em z sali monitoringu.

Podobno Mikey włączył pierwszy alarm, wychodząc ze swojej sypialni, potem pokonał korytarz i rozbił panel alarmu pożarowego na ścianie. Zanim wszyscy zaczęli wychodzić ze swoich pokoi, Mikey był już na dole i wybiegł przez wyjście awaryjne, przez co uruchomił trzeci alarm.

– Jest na terenie posesji – mówi Webb. – Całe to zamieszanie ma tylko odwrócić naszą uwagę.

Jak na zawołanie wszystkie alarmy milkną. Cisza, która po nich następuje, brzęczy w uszach. Nagle noc wydaje się zimniejsza i ciemniejsza niż przed chwilą.

– Wysłałem wiadomość dyrektorce – mówi Webb do pani Sumner, a potem odwraca się do siostry Zeny i każe jej zaprowadzić rezydentów z powrotem do pokoi. Reszta personelu ma wziąć pochodnie z magazynu i wyruszyć na poszukiwania Mikeya. – Ostatnim razem, kiedy złapała go kamera, szedł w stronę lasu.

– Wiem, gdzie jest – mówi Shiv. Ma całkowitą pewność. To jedyne miejsce, gdzie Mikey mógł pójść. Wie również, co zamierza zrobić.

– Gdzie? – pyta Webb.

– Nad jeziorem.

Zanim ktokolwiek może ją powstrzymać, Shiv zaczyna biec.

W blasku półksiężyca cały świat wydaje się zrobiony z szarego plastiku. Trawa, krzaki, kwiaty, drzewa – wszystko wygląda sztucznie, jak filmowa scenografia. Oddech pali ją w gardle. Jej stopy, jej nogi, całe jej ciało dygocze, jakby przepływał przez nie prąd.

Tylko raz w życiu biegła tak szybko, jak teraz.

Jaką przewagę ma Mikey? Niezbyt dużą. Ale wystarczającą, żeby być już w wodzie.

Pan Webb dogania ją jakieś pięćdziesiąt metrów przed jeziorem. O dziwo, nie łapie jej za rękę, nie zatrzymuje, tylko zaczyna biec obok niej, jakby biegli w maratonie.

– Skąd wiedziałaś? – pyta, sapiąc głośno. Jego tupot prawie zagłusza słowa.

*Z powodu Phoebe. Bo wiem, jak zginęła jego siostra. Ponieważ wczoraj wieczorem próbował się ze mną pożegnać, a ja nie słuchałam.*

Nie musi odpowiadać, bo ledwie Webb zadał pytanie, ukazuje im się jezioro. Dostrzegają Mikeya, którego podświetla światło księżyca odbijające się od wody.

Webb zwalnia, gdy dobiegają do tabliczki „UWAGA: GŁĘBOKA WODA”.

– Jak on się tam dostał? – pyta, wyciągając pęk kluczy.

– Może wspiał się po ogrodzeniu? – odpowiada Shiv, nie kryjąc sarkazmu.

Najważniejsze pytanie teraz to: co Mikey robi?

Jest odwrócony do nich plecami. Idąc wzdłuż brzegu – chyba na czworakach – ładuje coś do torby, a potem rusza dalej. Kamienie chrzęszczą mu pod stopami. Wygląda jak cień, a nie prawdziwa osoba. Shiv byłaby w stanie uwierzyć, że jest tylko wytworem jej wyobraźni. Kolejną konfabulacją. Wyjątkowo nie ma na sobie kombinezonu. Cały jest ubrany na czarno, w bluzie z kapturem, który zasłania prawie całą jego twarz. Nawet jeśli ich zauważył, nie daje tego po sobie poznać.

– Mikey! – krzyczy Shiv.

On dalej robi to, co robił, tyle że szybciej.

Webb ciągle szuka właściwego klucza. Przybiega pani Sumner, zatrzymuje się i z trudem łapie oddech. Zanim jest w stanie zapytać, co się dzieje, Webb wreszcie znajduje klucz pasujący do bramki i przekręca go w zamku. W tym samym momencie Mikey wyprostowuje się, podnosi torbę – mały czarny plecak – zakłada go na plecy i rusza w stronę drewnianego pomostu. Jego plecak jest cały wypchany. Wygląda, jakby był bardzo ciężki. Shiv robi się niedobrze, bo wie, do czego jest mu potrzebny.

– Kamienie – mówi pod nosem.

Gdy Webb wreszcie otwiera skrzypiącą głośno bramkę, Mikey jest już na końcu pomostu.

– Niech nikt się nie zbliża! – krzyczy, odwracając się do nich bokiem. Jego twarz jest biała jak kreda. Celuje w nich palcem, jakby trzymał pistolet.

Zatrzymują się, choć Shiv dobrze wie, że Webb aż się pali, żeby iść dalej. Prawie słyszy, jak oblicza w głowie, czy zdążyłby dobiec do chłopaka.

– Idę do niego – mówi Shiv.

Webb powstrzymuje ją ręką.

– Nie mogę ci na to pozwolić.

– Tylko ze mną porozmawia.

– Nie pozwolę, żebyś...

– Ona ma rację – wtrąca pani Sumner. – Pozwól jej pójść.

– Żartujesz?

– Clarence, jeśli ten chłopak...

– Powiedział „nikt” – mówi Webb. – To oznacza, że nie możemy podejść ani my, ani ty, Siobhan.

– A więc co mamy robić? – pyta Shiv. – Stać i patrzeć?

Webb spogląda na nią i na panią Sumner. Shiv nie czeka na jego odpowiedź. Przepycha się i wbiega przez bramkę.

– Hej – mówi.

Mikey się nie odwraca.

– Jeszcze krok... – Ostrzeżenie jest wystarczająco jasne.

Shiv stoi tuż przy pomoście. Jezioro rozciąga się przed nią jak rozlany atrament. Trzyma się kurczowo słupka z zawieszonymi kołami ratunkowymi. Drzazgi wbijają się jej w skórę. Nocna cisza szumi w jej uszach.

Zaczyna dygotać. Nie odrywa wzroku od Mikeya, który siedzi na końcu pomostu, z nogami zanurzonymi w wodzie.

– To o tym próbowałaś mi wczoraj powiedzieć? Właśnie to planowałaś od samego początku?

Bez odpowiedzi.

Jest świadoma, że Webba i Sumner podchodzą bliżej, obserwując.

– Mogę z tobą usiąść? Nic ci nie zrobię.



Nie mówi „nie” ani jej nie grozi.

To przecież nie jest morze, przypomina sobie Shiv. Nie ma tu skał, nie ma fal. Woda nie może nagle ściąć kogoś z nóg albo rzucić nim o skały, albo wciągnąć pod powierzchnię. Jezioro jest idealnie spokojne. W blasku księżyca wygląda nawet nie jak woda, tylko jak srebrnografitowe niebo rozpościerające się pod tym prawdziwym, zawieszonym nad ich głowami.

Więc... Robi jeden krok. Drugi.

Na chwilę staje. Mikey trochę się napina, sztywnieje, tylko tyle. Woda wcale nie jest nieruchoma. Małe fale uderzają o brzeg, ochlapują słupki podtrzymujące podziurawiony, nadgniły pomost. Shiv wmawia sobie, że to tylko niegroźny, łagodny odgłos, jak bryza szepcząca w koronach drzew czy chlupot wody napełniającej wannę. Dźwięk, którego nie trzeba się bać.

Jej oddech spowalnia, jej serce się uspokaja.

Ostrożnie stawia kroki na kolejnych deskach, niczym linoskoczek idący po linie, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z Mikeya. Dochodzi do końca. Siada obok niego, ale niezbyt blisko. Podwija pod siebie nogi. Nie ma mowy, żeby spuściła je za krawędź jak on.

– Nie myśl sobie, że mnie powstrzymasz – mówi Mikey.

– Czy wcześniej przed czymkolwiek cię powstrzymywałam?

– Tak tylko mówię.

– Mikey – odzywa się Webb za ich plecami.

– Powiedz mu, żeby się zamknął! Żeby się cofnął! No, powiedz mu!

Shiv nie powtarza tych słów Webbowi, który i tak je usłyszał – Mikey krzyknął tak głośno, że spłoszył ukryte w zaroślach kaczki i inne ptaki, które wydały z siebie skrzekliwe odgłosy, jakby jezioro zaprotestowało, że ktoś śmiał je obudzić.

Czeka, aż zwierzęta się uciszą, a Mikey się uspokoi.

– Słyszałeś, jak nazwała go pani Sumner? – pyta szeptem.

Mikey pociąga nosem i przełyka ślinę.

– Jak?

– Clarence. Tak ma na imię – śmieje się Shiv. – Jak udało mu się tak długo to ukrywać?

Nie widzi jego twarzy, którą zakrywa kaptur, ale czuje, że jego też rozbawiło imię ich opiekuna. Mikey poprawia plecak wiszący na ramieniu. Woda sięga mu do łydek. Machając nogami, tworzy fale.

– Tu jest ich grób – mówi nagle.

– Czyj? – Shiv kładzie dłonie na kolanach, spina się, próbując powstrzymać dreszcze.

– Feebs. Declana.

Shiv spogląda w wodę, jakby nagle mieli się z niej wynurzyć jej brat i siostra Mikeya.

– To nie stało się tutaj.

– Woda to woda.

Shiv wyobraża sobie ogromny, podziemny ocean, który łączy wszystkie rzeki, jeziora i morza na całym świecie. Podwodne zaświaty, które zamieszkują topielcy. Czy Mikey wierzy, że też tam trafi, jeśli utopi się w tym jeziorze? Znowu spotka się z Phoebe? Nie, chyba nie, biorąc pod uwagę wszystko, co wcześniej mówił. On nie wierzy w takie bajki. Uważa, że jego siostra utonęła przez niego. Chce po prostu ukarać się za zbrodnię, którą popełnił. Tylko o to mu chodzi.

– Jesteśmy tacy sami. Ty i ja – mówi Mikey.

Shiv chce zaprzeczyć, powiedzieć, że Declan nie zginął w taki sposób jak Phoebe, ale to nieprawda. Patolodzy stwierdzili, że obecność wody w jego płucach wskazywała na to, że jej brat wciąż oddychał, gdy połknęło go morze. Obrażenia, jakich doznał wskutek wypadku oraz upadku z klifu „prawie na pewno spowodowałyby jego zgon”, ale wciąż jeszcze żył, gdy Shiv stała na skałach, sądząc, że jest już martwy.

Musi żyć z tą świadomością.

– Nie jesteśmy tacy sami – mówi jednak.

Mikey obraca się, żeby na nią spojrzeć. Kaptur naciągnięty na głowę sprawia, że wygląda upiornie.

– To dlatego przestałaś jeść. I robiłaś wcześniej te wszystkie rzeczy, miałaś ataki i tak dalej. Tutaj – dotyka lekko palcami jej czoła, jakby ją błogosławił – ciągle nie możesz sobie wybaczyć.

Opuszcza rękę, ale ona dalej czuje jego dotyk na swojej skórze.

*I nigdy sobie nie wybaczę.* Właśnie to powiedziała dyrektorce: „Nigdy sobie nie wybaczę. Nigdy nie będę nienawidzić siebie

wystarczająco mocno, bez względu na to, jak bardzo się staram”. Doktor Pollard zapytała: „A czym mierzysz tę nienawiść do samej siebie?”. Shiv odparła: „Tym, jak bardzo codziennie rano nie chcę się obudzić. Jak przed snem modłę się o to, żeby nie było jutrzejszego dnia. Jak marzę o tym, żebym nie musiała przeżyć kolejnego dnia ze świadomością tego, co zrobiłam”. Dyrektorka westchnęła i powiedziała: „Jak dla mnie, czujesz do siebie już wystarczająco dużo nienawiści, Siobhan”. Shiv pokręciła głową. „Problem polega na tym, że jednak codziennie się budzę. Każdego ranka. Budzę się, choć nie chcę”.

Nie chcieć żyć z tym, co się zrobiło – czy jest to równoznaczne z pragnieniem śmierci? Dla Mikeya tak. A dla niej?

Wpatrując się w powierzchnię jeziora, wyobraża sobie, jak nagle wstaje i – raz, dwa, trzy – wskakuje do wody z głośnym pluskiem. Jezioro eksploduje. Lodowata woda wdziera się do jej oczu, nosa, ust. Nie może oddychać. Wpada w czarną otchłań, bezradnie wymachując rękami. Bąbelki powietrza uderzają ją w twarz. Góra, dół – te pojęcia tracą znaczenie. Wszędzie dookoła tylko woda. Woda, która jednocześnie wypycha ją i wsysa; chce ją wypluć, ale nie chce jej puścić.

*Właśnie tak było z tobą, Declan?*

Leci w dół, coraz głębiej i głębiej. Jej płuca zaraz pękną.

Czy to właśnie to? Jej skrucha, jej pokuta: oddać tysiące dni swojego życia, które jej pozostały, za tysiące dni życia, które zabrała bratu.

Przestaje walczyć z wodą. Pozwala, żeby jezioro ją połknęło. Znika strach. Wyobraża sobie, że to nawet nie woda, tylko pióra – morze czarnych piór, miękkich i ciepłych, w które może się wtulić i zasnąć. Zamyka oczy. Kiedy się obudzi, będzie się unosiła na plecach w basenie na Kyritos.

Będzie tam Declan, w czerwonych spodenkach, siedzący ze skrzyżowanymi nogami na końcu trampoliny, z uśmiechem na twarzy, gotowy, żeby rzucić w nią piłeczką do tenisa.

Nagle jej brat otwiera usta.

– Nie.

– Co?

– Nie – powtarza.

– Dec, już idę...

Ale on wstaje, schodzi z trampoliny i oddala się od basenu, odbijając piłeczkę o ziemię. Odbija i łapie, odbija i łapie. Nawet kiedy znika jej z oczu, Shiv wciąż słyszy ten odgłos brzmiący jak bicie ludzkiego serca. Po chwili jednak staje się coraz słabszy i wolniejszy. Otwiera usta, żeby do niego krzyknąć, ale jej płuca są pełne wody...

Wizja się urywa. Shiv wraca do rzeczywistości. Zadziera głowę i patrzy na postrzępioną chmurę zasłaniającą połówkę księżyca, widok ten przypomina zdjęcie rentgenowskie płuca. Deski, na których siedzi, są twarde i zimne.

– Miałam kiedyś sen – mówi do Mikeya – w którym zanurkowałam w morzu, podpłynęłam do Declana i zdołałam wyciągnąć go na brzeg. Próbowałam wypompować wodę z jego płuc, ratować go metodą usta-usta, masować mu klatkę piersiową, żeby jego serce znowu zaczęło bić. – Jej głos się łamie. – Ale wszystko na nic. On już tylko leżał i... nie żył.

Mikey nie słucha.

Patrzy przed siebie, na wodę, ciemną i spokojną, obojętną na ich obecność, na ich tragedię. „To nie jest rzeka, w której utonęła Phoebe, ale i tak mi wystarczy” – tak na pewno sobie myśli. To właśnie ta chwila, na którą tak długo czekał.

– A jeśli to wcale nie na tym ma polegać? – pyta Shiv.

Mikey zerka na nią z ukosa.

– Co?

– Twoja kara.

Dalej na nią patrzy, garbiąc się pod ciężarem wypchanego plecaka.

– Mówiłaś, że nie będziesz próbowała mnie powstrzymać.

– A może twoją karą ma nie być śmierć, tylko życie?

– Głupie gadanie.

– Bo u mnie tak właśnie jest – ciągnie niezrażona. – Każdego dnia, aż do końca, będę musiała żyć z tym, co się stało. Z tym, co zrobiłam.

Mikey wstaje, powoli, ostrożnie. Poprawia plecak, prostuje się i stawia stopy na krawędzi pomostu, jak olimpijczyk na trampolinie, szykujący się do skoku. Shiv kątem oka dostrzega, że za ich plecami

Webb i Sumner podchodzą coraz bliżej pomostu. Jest z nimi ochroniarz.

I ktoś jeszcze: doktor Pollard.

*Nie teraz. Błagam, nie teraz.* Jedno słowo, jeden nagły ruch i Mikey skoczy do wody, a plecak pociągnie go prosto na dno.

Zatrzymują się. Milczą. Shiv wypuszcza wstrzymywany oddech.

– Przyjechałam do tej kliniki – zaczyna mu opowiadać – bo chciałam, żeby mnie nauczyli, jak żyć z tym, co zrobiłam Declanowi. – Mówi opanowanym głosem. Nie chce, żeby poznał, że jest zdenerwowana, ani się zorientował, co się dzieje za ich plecami. – Chyba chciałam, żeby uwolnili mnie od poczucia winy i straty. I od tego bólu.

Mikey nie odpowiada, ale stoi w bezruchu.

– Bez tego wszystkiego mogłabym dalej żyć. *Chciałabym dalej żyć.*

– Nie gadaj ze mną. Nie chcę...

– Ale nie mogę się od tego uwolnić, prawda? I właśnie to jest prawdziwa kara, Mikey. Declan umarł... a ja muszę żyć.

Ona też wstaje. Łapie go za rękę. Mikey próbuje się wyrwać, ale jej uścisk jest zbyt mocny.

– Teraz Declan żyje *tutaj*. – Wolną dłonią dotyka swojego czoła, w miejscu, którego wcześniej dotknął Mikey. – I . – Kładzie sobie dłoń na sercu. – Ty masz tak samo z Feebs – dodaje cichym głosem. – Jeśli się zabijesz, twoja siostra nie będzie miała się gdzie podziać.

Mikey drży. Trzęsie się. Być może płacze, ale Shiv nie przekręca głowy. Patrzy prosto przed siebie, na jezioro. Mocno trzyma jego rękę.

– Puść mnie. – Próbuje się jej wyrwać.

Jeszcze bardziej zaciska dłoń.

– Nie puszczę cię, Mikey. Jeśli skoczysz, skoczę z tobą.

– Puszczaj.

– Nie.

W jej głowie pojawiają się dwa scenariusze.

W pierwszym Mikey rzuca się z pomostu, zabierając ją ze sobą. Ciężar plecaka ściąga ich na samo dno. Toną razem, trzymając się za ręce.

W drugim scenariuszu Mikey nie skacze.

Na razie nie wie, co się stanie, co Mikey wybierze. Poczeka tutaj

razem z nim, aż on podejmie decyzję.

Najpierw lecą na sąsiednią wyspę, a dopiero potem płyną na Kyritos – wszystko po to, żeby uniknąć konfrontacji z fotoreporterami i ekipami telewizyjnymi. Shiv na wszelki wypadek zakłada czapkę i ciemne okulary. W porcie czeka już na nich prawnik, z którym tato od dawna współpracuje. Mężczyzna zabiera ich w „bezpieczne” miejsce, do domu jego wujka w wiosce oddalonej od głównego miasta.

Dzięki temu odłożą w czasie kontakt z prasą, chociaż dziennikarze i tak jutro rano będą czekali na nią przy wejściu do sądu.

– To tutaj z reguły się zatrzymujesz? – pyta Shiv.

Tato potrząsa głową.

– Nie. W mieście.

No jasne, to nie jego twarz pokazują na pierwszych stronach gazet i w wiadomościach telewizyjnych. To nie on jest „słynnym” świadkiem w głośnej sprawie sądowej.

Ich prawnik jest niski, niższy od Shiv, ma niemożliwe do wymówienia nazwisko i dłonie porośnięte czarnymi włoskami. Cały ranek przygotowuje ich do wystąpienia w sądzie. Przerabia z Shiv pytania, które prawdopodobnie zostaną jej zadane. Instruuje ją, jak powinna odpowiadać, a przede wszystkim – jak ma zaprezentować się przed sądem.

Wyjaśnia, że obaj oskarżeni przyznają się do jazdy pod wpływem alkoholu – nie mogą dyskutować z wynikami badania alkomatem i analizą krwi, które przeprowadzono w noc wypadku. A ponieważ w rezultacie zginął młody chłopiec, ciężą na nich dużo poważniejsze zarzuty. Obaj oskarżeni zaprzeczają, że się ścigali. Jeśli jednak prawnik zdoła udowodnić, że kłamią, wylądują w więzieniu na długie lata.

Shiv jest kartą atutową oskarżenia – piętnastoletnia, pogrążona w żałobie dziewczyna, żyjąca w cieniu koszarnej traumy, tragicznej śmierci brata. Jeśli jako świadek w sądzie będzie mówiła odpowiednie rzeczy i płakała w odpowiednich momentach oraz sugestywnie odmaluje ostatnie chwile życia Declana, ława przysięgłych uwierzy właśnie jej, a nie dwójce oskarżonych.

– To ja ich do tego namówiłam – mówi Shiv prawnikowi, zresztą

nie pierwszy raz.

– To nie ma znaczenia, Siobhan.

– Ale taka jest prawda.

– Powiedzieć ci, jaka jest prawda? To oni jechali po pijaku na skuterach. Ścigali się ze sobą. To jeden z nich stracił kontrolę nad motorem i się rozbił.

– Ale...

– To oni zabili Declana, a nie ty. – Wpatruje się w nią intensywnie, po czym dotyka skóry pod oczami. – Połóż się dziś późno spać, dobrze? I jutro zero makijażu.

*A ty ogól sobie ręce* – dogryza mu w myślach.

– Chciał, żeby mama też zeznawała w sądzie – mówi tato po wyjściu prawnika. – Podobno to jeszcze bardziej podziałałoby na ławę przysięgłych.

Tak by było.

Stan jej matki się poprawił, ale już nigdy w życiu nie zamierza wrócić na Kyritos, a na pewno nie z powodu rozprawy sądowej, z którą nie chce mieć nic wspólnego.

W krępującej ciszy, która zapadła, Shiv zastanawia się, czy tato też zaczyna mieć wątpliwości. Zanim pojechała do kliniki, „walka o sprawiedliwość” – a raczej pragnienie zemsty – była jego obsesją. Chciał, żeby Joss i Nikos zostali ukarani. Teraz, gdy wreszcie rozpoczyna się proces, wydaje się spięty, zagubiony. Jak ktoś, kogo przerasta sytuacja, którą sam zapoczątkował, a potem stracił nad nią kontrolę. Wcześniej to on mówił prawnikowi, co ma robić, a teraz jest odwrotnie.

Po obiedzie Shiv ucina sobie godzinną drzemkę, leżąc pod wielkim, wirującym wiatrakiem w obcym pokoju, w którego kącie znajduje się malutka kapliczka ku czci jakiegoś greckiego świętego z aureolą nad głową.

Ostatnio dużo śpi. Przeważnie bez koszmarów. Pomiędzy jednym snem a drugim zajmuje się głównie jedzeniem, które przynosi jej ciocia Rosh. Właśnie u niej mieszkają – z powrotem w Anglii – razem z mamą i tatą, czekając, aż ktoś kupi ich dom, żeby mogli zacząć wszystko od nowa w miejscu, gdzie nie mieszkał Declan.



To, że pojechali do cioci Rosh, a nie do ich domu, było dla niej drugą niespodzianką, która ją spotkała, gdy tato zabrał ją z kliniki.

Pierwszą był widok mamy, która stała obok niego na parkingu.

To było siedem tygodni temu. Jej mama wciąż jest cieniem kobiety, którą była przed Kyritos, ale dzień po dniu jakby ewoluuje w nową wersję siebie. Nigdy nie wyzdrowieje, ale podobnie jak tato i Shiv, szuka sposobu, jak żyć z tym, co jej pozostało. Gdy przytulały się na parkingu, Shiv miała wrażenie, jakby to mama spędziła dwa miesiące w klinice, a ona przyjechała z tatą, żeby ją zabrać do domu.

Rodzice i ciocia prawie nie pytają o pobyt w Klinice Korsakoffa.

Traktują ją jak żołnierza, który wrócił z wojny – i przy którym nie wolno wspominać o wojnie. Zazwyczaj siedzą więc w salonie cioci Rosh, oglądają telewizję albo filmy na DVD, grają w Scrabble albo czytają. Shiv nie czuje potrzeby rozmawiania o swoim leczeniu, tak samo jak oni nie mają potrzeby, żeby o tym słuchać. Próbuje znowu mieć coś, co przypomina normalne życie. Parę razy – w kawiarni, w kinie – spotkała się z Laurą i Katy. Zaczęła nawet nadrabiać zaległości w nauce. Może w styczniu wróci do szkoły.

To faza trzecia jej terapii, jak wyjaśniła doktor Pollard na ich ostatnim spotkaniu: życie bez Declana.

Pomiędzy powrotem z Kyritos a pobytem w Klinice Korsakoffa podobno – tak twierdzi dyrektorka – Shiv nie miała szans nauczyć się żyć bez brata. Jej największym urojeniem, podstawową konfabulacją, było to, że gdy patrzyła w „lustro swojego życia”, widziała tam tylko Declana, ucieleśnienie własnego wiecznego poczucia winy.

– Próbowaliśmy pomóc ci rozbić to lustro – powiedziała dyrektorka.

– Zmuszając mnie do tego, żebym bez przerwy w nie patrzyła?

– Tak. Jeśli wpatrujesz się w coś dość długo i mocno, ta rzecz zaczyna się zmieniać, zaczyna oznaczać coś innego.

Shiv zaśmiała się głośno, beztrąsko, podekscytowana perspektywą opuszczenia kliniki.

– I tak uważam, że psychoterapia to same bzdury – powiedziała. – Chyba po prostu muszę oddzielać dobre bzdury od złych bzdur.

Twarz doktor Pollard rozjaśnił uśmiech.

– Zacytuję cię w materiałach promocyjnych naszej kliniki.

Shiv znowu ujrzała w niej kobietę, która dwa miesiące temu wyrzuciła do śmieci teczkę wszystkich rezydentów. Wtedy uznała, że ją lubi. Teraz, po całej tej terapii, uważała, że słowo „lubić” nie jest odpowiednie. Na pewno jednak ufała doktor Pollard.

I była jej wdzięczna.

Nie rozumiała by metafory lustra, której użyła dyrektorka, gdyby nie Mikey. Tamtej nocy, gdy siedziała obok niego na pomoście, wpatrując się w jezioro, w otchłań, którą miał przed sobą Mikey, nagle ujrzała otchłań, która mogłaby się otworzyć przed nią, gdyby na to pozwoliła. Terapia zaprowadziła ją na samą krawędź, żeby mogła zobaczyć to, czego chciała uniknąć i od czego chciała uciec. Stojąc obok Mikeya na końcu pomostu, odkryła, że słowa, które do niego wypowiedziała, były również tymi, które sama musiała usłyszeć. Zrozumiała, że tak samo jak on nie powinien się zabić, ona powinna na nowo nauczyć się żyć.

Mikey.

Przypuszcza, że już nigdy go nie zobaczy. Chyba nawet by nie chciała. On pewnie też nie miałby ochoty na ponowne spotkanie. Trudno jest zaprzyjaźnić się z kimś, komu uratowało się życie, ponieważ ten fakt przyćmiewa całą resztę. A jeszcze trudniej jest wtedy, gdy ta uratowana osoba wcale nie chciała zostać ocalona.

Gdy odwrócili się od jeziora i trzymając się za ręce, zeszli z pomostu, Mikey wyglądał na załamane. Jakby przegrał.

Może znowu spróbuje odebrać sobie życie, kiedy nie będzie nikogo, kto mu w tym przeszkodzi.

A może pewnego dnia poczuje się inaczej. Znowu zacznie cenić życie. Znajdzie sposób, jak istnieć bez Feebs. Cieszyć się drugą szansą, którą Shiv pomogła mu dostrzec. Może za parę lat zobaczy go w autobusie czy pociągu, na ulicy, w kawiarni albo pubie i w jego oczach dostrzeże przeblysk rozpoznania. Oboje uśmiechną się nieśmiało. Początkowo rozmowa będzie niezręczna, ale może coś z tego spotkania wyniknie, a może nie.

Shiv budzi się z drzemki, opłukuje twarz zimną wodą i schodzi na dół. Tato siedzi w kuchni z wujkiem prawnika. Popijają kawę. Widok

malutkich filiżanek i gorzki aromat kawy sprawiają, że nagle odżywa w niej wspomnienie tamtego dnia, gdy tańczyła z Nikosem na ulicy.

Przez chwilę zanurza się w tym wspomnieniu.

Na stole leżą kwiaty owinięte w srebrną folię. Tato zaczyna pytać, czy udało się jej zasnąć, ale Shiv mu przerywa, wskazując na bukiet.

– To dla kogo?

– Myślałem, że moglibyśmy pójść.... tam. – Waha się. – Jeśli chcesz.

„Tam”. Ma na myśli miejsce, gdzie wydarzył się wypadek. Albo plażę, na której znaleziono ciało Declana. Dla niej odwiedzenie tych miejsc nic nie zmieni.

– Tato – mówi – chcę pójść do willi.

Wujek prawnika proponuje, że ich podwiezie. Zgadzają się. Jadą wzdłuż wybrzeża jego starym, niebieskim fiatem. Zatrzymują się nagle, gdy w oddali można już dostrzec wille do wynajęcia. Shiv wychodzi z samochodu i stoi w chmurze kurzu, która unosi się w powietrzu długo po tym, jak auto wyhamowało. Tato prosi mężczyznę, żeby na nich poczekał. Tamten odpowiada coś po grecku i włącza radio.

Tato wyjaśnia, że kazał mu zatrzymać się tutaj, a nie przy willi, na wypadek gdyby akurat byli w środku jacyś turyści. Poza tym w ten sposób będą mogli zrobić dyskretny rekonesans.

– Rekonesans? – pyta Shiv.

– To oznacza...

– Wiem, co znaczy to słowo. Zastanawiam się tylko, czy powinniśmy pomalować sobie twarze na czarno i założyć ubrania maskujące.

Tato patrzy na nią z niepewną miną – taką samą, jaką widuje u mamy i cioci. Jakby pytały: „Czy możemy już żartować?”.

Shiv zarzuca torebkę na ramię i idzie w milczeniu obok ojca, wbrew sobie wspominając, jak siedziała na schodach willi i czekała, aż przyjedzie po nich Nikos i zabierze ich na lekcję windsurfingu. Albo gdy weszła za Declanem do willi tamtej nocy, kiedy przyłapał ich na pocałunku.

– Ciągle uważam, że to nie jest dobry pomysł – odżywa się tato.

Shiv nie odpowiada. Już wcześniej, w kuchni, odbyli na ten temat

rozmowę. Powiedziała mu wtedy, że musi tam pójść, bo ma tam coś do zrobienia. To wszystko. Odkąd wyszła z kliniki, rodzice niczego jej nie zabraniają. Pewnie za jakiś czas znowu nauczą się mówić „nie”, ale na razie nie używają tego słowa.

Gdy zbliżają się do willi, tato skręca na zarośniętą ścieżkę.

Jego plan jest taki: chce pójść ścieżką prowadzącą do gaju oliwnego, skąd zza niskiego murku będą mogli spokojnie zerknąć na willę, ogród i basen. Jeśli ktoś tam będzie, po prostu będą udawali, że sobie spacerują, a potem wrócą do samochodu.

Shiv patrzy na niego podejrzliwie.

– Już wcześniej to robiłeś, prawda?

Ojciec przez chwilę nie odpowiada.

– Tak – przyznaje wreszcie stłumionym głosem. – Zajrzałem tu parę razy.

– Po co?

– Siadam na murku przy ogrodzie. I... patrzę sobie. To wszystko, Shiv. Po prostu siedzę i patrzę. – A potem, śmiejąc się pod nosem, dodaje: – Wiesz, myślałem nawet o wynajęciu tego domu na stałe, żebym mógł przychodzić tutaj, kiedy tylko będę miał ochotę.

– Kurczę, tato...

– Wiem, wiem.

– I to ja zostałam wysłana do kliniki?

Tato śmieje się głośno, a potem spogląda na nią z taką miłością, że aż zapiera jej dech w piersi.

Willa wygląda inaczej niż w jej wspomnieniach, które podczas pobytu w klinice połączyły się ze zdjęciami wyświetlanymi w jej Osobistej Sali Terapeutycznej. Prawie spodziewa się ujrzeć Caron, ubraną w jaskrawoczerwoną sukienkę, opalającą się na leżaku przy basenie, z papierosem w ustach. „O, wreszcie przyszłaś” – powiedziałby na jej widok. Gdy Shiv poinformowała ją na Facebooku, że zamierza odwiedzić willę, Caron odpisała: „TOTALNIE cie porabalo dziewczyno?!?”. Po chwili przysłała drugą wiadomość: „nawet mi sie NIE WAZ wracac z opalenizna!! ;- ) xx”.

Co dziwne, od Laury i Katy usłyszała prawie dokładnie to samo.

W przyszły weekend jedzie do Londynu odwiedzić Caron. Poznać

jej rodziców, pochodzić po mieście. To będą pierwsze dni z dala od taty, odkąd wyszła z kliniki.

– Nie ma kozy – mówi do niego, wskazując głową gaj oliwny.

Może zmarła, a może stoi przywiązana w innym miejscu. Pyta tatę, czy pamięta, jak Dec próbował nakarmić kozę jabłkiem, ale on tego nie pamięta.

Shiv wchodzi do ogrodu.

– Nie! – woła za nią tato. – A jeśli wrócą?

Nie słucha go. Idzie dalej. Ojciec nie ma wyboru i dołącza do niej. Zatrzymują się przy basenie.

Jest późny październik. Koniec sezonu wakacyjnego, ale willę ktoś wynajmuje. Przy basenie leżą różowy dmuchany delfin, materac i piłka plażowa. Są też inne ślady obecności mieszkańców: szklanka na stoliku pod pergolą, cztery pary kłapek (dwie pary dla dorosłych i dwie dziecięce) pod drzwiami, ręczniki rozwieszane na sznurkach. Okna są jednak pozamykane i panuje tu całkowita cisza.

– Ciekawe, czy wiedzą... – pyta Shiv. Przemilcza zakończenie: „o nas”. O nich, którzy wynajmowali tę willę wiosną. I o tym, co się przytrafiło ich synowi.

– Jakby nas tu nigdy nie było – szepcze pod nosem.

Tato, stojąc obok niej, mówi:

– Pomyślałem sobie to samo, gdy pierwszy raz tu wróciłem.

– Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że miejsca, w których zatrzymujemy się na wakacjach, istnieją tylko wtedy, gdy w nich jesteśmy. Nie mogłam znieść myśli, że ktoś inny spał w naszych łóżkach, pływał w naszym basenie albo bawił się w miejscach, w których my się bawiliśmy.

My. Ona i Declan.

Wsuwa dłoń w rękę taty.

– Dlaczego chciałaś tu przyjść, Shiv? – pyta ją łagodnym głosem, ale widać, że jest trochę spięty. Boi się, że w każdej chwili mogą wrócić turyści, którzy teraz zajmują ten dom.

Skoro nie chciała złożyć kwiatów, po co chciała tutaj przyjść?

Shiv spogląda na basen. Spędziła w nim tyle godzin razem z Declanem. Nagle przypomina się jej tamto jezioro, tamten pomost. To

zabawne: najpierw jezioro przy Eden Hall przypominało jej morze na Kyritos, a teraz basen przypomina jej tamto jezioro.

Dłoń taty jest wilgotna. Pogoda jest upalna, słońce przypieka, ale jej ramiona pokrywa gęsia skórka.

– Dajesz radę? – pyta tato.

– Nie, raczej nie. A ty?

– Też nie. – Ściska jej dłoń. – Powinniśmy już...

– Dobra, zaraz.

On jeszcze o tym nie wie, ale jutro w sądzie Shiv nie złoży takich zeznań, jakich chce ich prawnik. Nie pomoże im „wygrać” sprawy.

„Oskarżeni się nie ścigali – powie głośno i wyraźnie. – To był wypadek. Po prostu wypadek”. Popełniła błąd, idąc z Nikosem na tamtą imprezę. Popełniła błąd, zgadzając się, żeby Nikos i Joss – po wypiciu alkoholu – odwieźli ich do domu. Powinna zadzwonić do rodziców i poprosić, żeby przyjechali po nich taksówką, nie przejmując się tym, że będą na nią wściekli.

Następnie opíše, jak Nikos narażał własne życie, schodząc z klifu na skalisty brzeg obmywany dzikimi falami, i nie pozwolił jej wskoczyć do morza za Declanem.

„Zginęłabym, gdyby nie on” – oświadczy przed sądem.

Tato wpadnie w szal. A może nie. Może wcale nie będzie aż tak zdziwiony. Z czasem może zda sobie sprawę, że postąpiła słusznie.

Trzymał się tej rozprawy tak kurczowo, jak mama trzymała się pokoju Declana, a Shiv – przed pobytem w klinice – swojego poczucia winy. Z całych sił łapali się czegoś, co miało związek z Declanem, jakby to w pewnym sensie utrzymywało go przy życiu.

Choć jej brat nie żyje, miłość, którą Shiv go darzy, nigdy nie umrze, tak samo jak nie umrą jej wspomnienia. Tych rzeczy nie można zobaczyć, nie można ich dotknąć, ale pomagają jej unosić się ponad otchłanią i pozwalają jej żyć w świetle. Nie została uwolniona od poczucia winy, od bólu, od tęsknoty – ale to wszystko jakby w siebie wchłonęła; te uczucia stały się częścią osoby, którą jest teraz. Płaci za śmierć Declana, próbując żyć dalej, dzielić się z nim każdą radością i każdym smutkiem.

Wchodzi na taras i podnosi plastikową łopatkę oblepioną

zaschniętym piaskiem. Stojące obok wiaderko jest w połowie zapełnione kolorowymi kamykami.

– Co robisz? – pyta tato.

Shiv nie odpowiada. Podchodzi do żywopłotu, znajduje kawałek czystej ziemi, klęka i zaczyna kopać łopatką, odgarniając ziemię na kupkę. Czuje na sobie wzrok taty.

Gdy dołek jest wystarczająco głęboki, otwiera torbę i ubrudzonymi rękami sięga do środka.

– Co tam masz? – pyta tato.

Nie usłyszała, jak się zbliżył, więc podskakuje na dźwięk jego głosu.

Wyciąga koszulkę z cytatem z *Buszującego w zbożu*. Pokazuje ją tacie, który nic nie mówi, tylko patrzy.

Znowu zwija koszulkę i wkłada ją do dołka. Przez parę chwil spogląda na T-shirt, a następnie zasypuje go ziemią, którą potem dokładnie uklepuje, żeby nikt nie poznał, że ktoś tutaj kopał.

Podnosi się z kolan i strzepuje ziemię z dłoni. Tato nadal nic nie mówi. Nie bierze jej za rękę, nie przytula jej ani nic w tym stylu. Ale stoi obok niej, a gdy Shiv się odwraca, rusza za nią.

Musi zrobić coś jeszcze.

Przechodzą przez murek i wracają do gaju oliwnego. Shiv zatrzymuje się i wyciąga kolejny przedmiot z torby.

Żółta piłeczka tenisowa.

Staje na murku, bierze lekki zamach i wrzuca piłkę do basenu, żeby później znalazło ją któreś z dzieci mieszkających teraz w willi.

## Podziękowania

Jestem bardziej wdzięczny, niż mogę to wyrazić słowami, moim redaktorkom – Marze Bergman z wydawnictwa Walker Books w Londynie oraz Wendy Lamb z Random House w Nowym Jorku – za ich cierpliwość, umiejętności i staranność. Ich szczegółowe, wnikliwe uwagi dotyczące rozmaitych wersji tej książki, tak samo jak wskazówki koleżanek Wendy, Day Carey, Caroline Gertler i Jane Brachfeld, wykraczały daleko poza sferę ich obowiązków.

Wielkie dzięki dla moich amerykańskich i brytyjskich agentek – Stephanie Thwaites z agencji Curtis Brown oraz Tinie Wexler z ICM Partners – które również przekazywały mi cenne uwagi redakcyjne oraz wspierały w trudnych momentach. Nigdy nie traciły wiary w tę powieść, nawet gdy mnie dopadały kryzysy.

Przede wszystkim z całego serca dziękuję mojej żonie, Damaris. To dzięki niej wszystko jest możliwe. Ciężkie chwile, których ostatnio doświadczała, pomagają mi bardziej docenić to, czym życie mnie obdarowuje.



<sup>1</sup> Chodzi o amerykański film katastroficzny pt. *Tragedia „Posejdona”* (przyp. red.).

Przekład: Kamil Maksymiuk

Redakcja: Danuta Kownacka

Korekta: Julia Ardyn, Jolanta Gomółka

Projekt logo imprintu: Julia Karwan-Jastrzębska

Opracowanie okładki polskiej na podstawie wersji oryginalnej:  
Krzysztof Rychter

Projekt okładki oryginalnej: Kate Gartner

Fotografia wykorzystana na I stronie okładki: © Colin  
Anderson/Getty

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-372 Warszawa, ul. Foksal 17

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-1766-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza  
Foksal Sp. z o.o.  
i Tomasz Szymański / Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO  
Digital platform of tomorrow

